

Klasyka literatury



e-tekst.pl
twoja czytelnia

ŁOWCY PRZYGÓD

Curwood James Oliver

JEDNA KULA

Szelest...! Rod stanął jak wryty i odwrócił się gwałtownie, jednym rzutem podnosząc fuzję do ramienia. Lecz zamiast spodziewanej zwierzyny zobaczył tylko małą wiewiórkę, śmigającą niby strzała po burym podłożu leśnym. Zamiatając ziemię puszystym ogonem, rude zwierzątko śpieszyło co tchu do najbliższego drzewa. Dopadłszy pnia gonnej sosny, poczęło się piąć w górę zrećnie i tak szybko, że już po chwili znikło wśród gałęzi.

Wówczas Rodryg Drew parsknął śmiechem, bez powodu właściwie, jedynie wskutek wielkiej, wewnętrznej radości, i ruszył znowu dalej.

Przed kwadransem rozstał się z Wabigoonem Newsome, synem księżniczki indiańskiej i agenta Kompanii Zatoki Hudsona. Obaj przyjaciele wyszli z obozu na łowy, rozdzielili się zaś by móc łatwiej podejść zwierzynę. Nie powinno zresztą być o nią trudno w tej puszczy niemal dziewiczej, z rzadka jedynie odwiedzanej przez białego trapera lub czerwonoskórego myśliwca.

Rod, niestety, nie miał zbyt wiele wpraw w łowach, jakkolwiek już drugi rok spędzał na Dalekiej Północy. Zimą, jak przypuszczał, szłoby mu lepiej, gdyż śnieg zdradzał tropy zwierzęce, teraz jednak podściółka leśna z mchu, igieł i liści taiła ślad każdy. Pod nogą co prawda ugięła się miękko niby gąbka, ale ledwoś przeszedł, powierzchnia wygładzała się magicznie. Jeśli tak było z niezgrabnym, krokiem ludzkim cóż mówić dopiero o leciuchnych susach królika lub zająca, a nawet o sprężystym chodzie łosia.

Tymczasem Rodryg dałby wiele, żeby popisać się dziś celnością strzału. Widział już w wyobraźni powrót do obozu i pytające oczy siostry Wabigoona, ślicznej Minnetaki, oraz słyszał siebie mówiącego skromnie:

— No tak, poszcęściło mi się trochę. Nic wielkiego zresztą, Starczyło jednej kuli...!

Jednej kuli mogło starczyć w istocie, ale gdzie ją umieścić, w tym sęk! Chłopak wyteżał wzrok i słuch, obracając głowę jak na śrubie. Bór stał wokół ogromny i trochę ponury, gdyż choć słońce patrzyło z wysoka, zbity gąszcz konarów w górze przesiewał jedynie drżący półmrok. W tym zwodniczym świetle trudno było doprawdy dojrzeć cokolwiek, tym bardziej że cała przyroda miała jednolity na pozór, a tak w gruncie rzeczy wielobarwny kolor rdzawy. Pnie sosen, jodeł i świerków, pręty leszczyny, suche liście i gałęzie, mech i igliwie mieniły się szatą brunatną, wpadającą w szkarłat, to znów brąz albo zgoła w miedź czy złoto.

Nie tylko zająca, ale nawet łosia dojrzeć trudno! — pomyślał Rod frasobliwie.

Lecz nagle stanął znowu i całym ciałem przywarł do stuletniego świerka. O sto kroków przed sobą, w gąszczu karłowatej sośniny i malin, ułowił ruch jakiś nieznaczny, raczej cień ruchu. Może po prostu wiatr targnął gałęzią albo zleciała szyszka. Rodryg patrzył z zapartym oddechem. Nie widział nic, żadnych szczególnych zarysów, jednakże instynkt mówił mu, że coś żywego się tam czai.

Podniósł broń do oka i znów ją opuścił ku ziemi. Jakże tu strzelać na ślepo? Kiedy się tak wahał, w krzakach załomotało raptem i wspaniały jeleń *wapiti* wypadł z gęstwy niby pocisk. Zanim Rod oprzytomniał, zanim zmierzył, zwierz ginał już w głębi kniei, ledwo wśród drzew majacząc. Chłopak pocisnął jednak cyngiel, mając cel o dwieście jardów niemal. Strzał huknął donośnie i tysięcznym odbity echem, zadudnił niby grzmot. Jeleń nawet się nie zachwiał. Dał jeszcze parę susów i znikł w lesie na dobre.

Idąc śladem Rod zagryzał wargi. Prawie że mu się płakać chciało z żalu i wstydu. Dobrze, że nikt nie widział. Chociaż Wabi i tak się dowie — musiał przecie słyszeć wystrzał — i naturalnie

powtórzy siostrze.

Odnalazł miejsce, gdzie się jeleni znajdował w chwili strzału, i z poczucia obowiązku, choć bez cienia nadziei badał tropy. Wcale się nie zdziwił nie mogąc dojrzeć na ziemi nawet kropli farby. W chwilę później zresztą zobaczył na sąsiednim drzewie białe piętno — ślad po kuli — końcem noża zaś bez trudu wymacał ją samą, głęboko tkwiącą w mięszu pnia. Westchnął wtenczas, zacisnął zęby i z głową spuszczoną poszedł dalej.

Obrał teraz inny kierunek, wręcz przeciwny temu, w którym umknął jeleni. Wiedział, że mieszkańców leśnych w tym dzikim zakątku mniej spłoszy strzał, przypominający przecie słyszany przez nich często piorun, niż widok uciekającego zwierza. Licząc się jednak z tym, że w bezpośredniej bliskości nie trafi mu się już nic godnego uwagi, szedł czas jakiś bardzo szybko, mało zważając na otoczenie. Zwolnił dopiero u skraju lasu, kędy cyplami wchodziły między drzewa zielone pasma łąki. Tu począł się skradać krawędzią chaszczy, chwilami zgięty wpół, to znów wspinając się na palce, by dalej rzucić wzrokiem. Przystanął wreszcie koło jakiegoś pnia i patrzył ściągając brwi.

Wabi mówił mu kiedyś, że karibu, jelenie i łosie, podjadłszy trawy rankiem, kryją się potem od skwaru południa i ukłuc moskitów w cień najbliższych zagaj ów. Na razie wprawdzie była wczesna wiosna, upał nie dawał się więc we znaki; brakło przy tym komarów, owej plagi puszczy kanadyjskich. Skraj łączki jednak wydał się Rodrygowi tak ponętny, iż nie wątpił, że jakiejś łani czy rogaczowi mógł również przypaść do gustu.

Drgnął nagle, gdyż o kilkadziesiąt jardów, w kępie leszczyny, ułowił podejrzaną ruch. Brunatne śmigłe pręty, owiane mgłą seledynowych listków, zachwiały się leciuchno. Wprawdzie Rod nie widział nic określonego — załedwie gęstszy cień w pomroce chaszczy — podniecony jednak niedawnym, pudłem, stracił wszelką rozwagę. Ani dbał, że ma przed sobą może starego łosia, niezdatnego na mięso, który natomiast podrażniony lekką raną, może go łatwo Wziąć na rogi. Równie dobrze zresztą mógł to być niedźwiedź, poszukujący zeszłorocznych orzechów. By od jednego strzału niedźwiedzia położyć, trzeba dobrego oka i dobrej kuli. Niejeden myśliwy przypłacił życiem zbyt ni pośpiech, gdyż ranny miś atakuje niemal zawsze, i to z szybkością cwałującego konia.

Rod jednakże nie myślał o niczym. Gwałtownie podrzucił broń do ramienia i nie mierząc prawie, pocisnął cyngiel.

Huknął strzał. Rod wypuścił naraz fuzję z rąk i zamknął oczy, czując, że mu się robi słabo. Jednocześnie bowiem z grzmotem strzału zabrzmiał krzyk donośny — pełen trwogi wrzask ludzki.

Rod poznał głos Wabiego. Nie mógł jeszcze zrozumieć dokładnie, co się właściwie stało, wiedział już jednak, że kula przeznaczona dla łosia lub jelenia trafiła brata Minnetaki.

Przez głowę mknęły mu okropne myśli. Wabi ranny, konający, może już martwy! Jak wróci teraz do obozu? Jak się ludziom na oczy pokaże? Jak w ogóle będzie mógł żyć z taką zbrodnią na sumieniu?!

Należało śpieszyć rannemu z pomocą, lecz Rod nie mógł kroku zrobić. Nogi ugiwały się pod nim. Miał wrażenie, że męczarnia trwa wieki, choć od chwili strzału upłynęło załedwie kilkadziesiąt sekund. Wtem uczuł, że, obejmują go mocno czyjeś silne ramiona, a znajomy, drogi głos szepcze na ucho:

— Rod, to ja, Wabi! Rod, nie gniewaj się, ja tylko chciałem zażartować! No, Rod, proszę...

Otworzył oczy; musiał być jednakże strasznie blady, gdyż Wabi ujął go nagle wpół i przemocą prawie przygiął do ziemi.

— Siadaj, bo mi zemdlejesz! Ach, ty, czyż warto się tak wrzuszać!

Rod odzyskał wreszcie zdolność mowy. Drżącymi rękoma chwytając dłonie przyjaciela, jakby

się chciał upewnić, że go naprawdę ma przy sobie, rzekł głucho:

— Wabi, więc to ty tam w krzakach...? Myślałem, że cię trafiłem! Wielki Boże, co za szczęście, że spudłowałem znowu!

Młody Indianin parsknął śmiechem.

— Właśnie że tym razem strzeliłeś celnie! — zaprzeczył. Rod wytrzeszczył oczy ze zgrozą.

— Żartujesz?! Czyż jesteś ranny...?

— I tak, i nie. Patrz!

Wskazał lewe ramię, nieco powyżej łokcia. Jelenia skóra kurty przecięta była niby nożem na przestrzeni paru centymetrów, a rozdarta również koszula nosiła ślady krwi.

— Tylko powierzchowne zadrapanie! — tłumaczył Wabi z humorem. — Nawet nie boli i krew już przyschła. Ale wiesz, Rod, prawdę mówiąc, należała mi się kula prosto w łeb. Może bym się raz odzwyczaił od głupich psikusów!

— Och, Wabi! — zaprzeczył Rod gorąco. — To przecie wyłącznie moja wina! Powinienem raz na zawsze stracić prawo do noszenia fuzji!

Ku wielkiemu zdziwieniu białego chłopaka młody Indianin objął go raptem za szyję i gorąco ucałował w policzek.

— Rod, jesteś najszlachetniejszym kolegą pod słońcem! Bierzesz winę na siebie, a powinieneś właściwie dać mi w kark i zwymyślać od ostatnich! Bo zgadujesz już pewnie, jak się rzecz miała? Usłyszawszy twój pierwszy strzał i widząc śmigającego wśród drzew jelenia, zrozumiałem, co zaszło. Wróciłem wtenczas, żeby zobaczyć z daleka, jak przyjąłeś niepowodzenie, no, i nie gniewaj się tylko, taki byłeś zabawny z tą strapioną miną, że postanowiłem cię śledzić. Później zgłupiałem do reszty. Chciałem cię nastraszyć czy też wywieść w pole, sam już nie wiem, no i rozumiesz... Zmierzyłeś tak niespodzianie, że nie zdążyłem cię przestrzec. Rod, raz jeszcze przepraszam cię z całego serca!

Wyciągnął rękę, Rodryg zaś uderzył w nią dłonią, aż klasnę ło. Złączem mocnym uściskiem, chwilę patrzyli sobie w oczy poprzez mimo woli nabiegłe łzy.

— Wiesz co, Wabi! — przemówił nagle Rod głosem, któremu silił się nadać brzmienie spokojne. — Nie sądziłem doprawdy, że tak bardzo cię kocham! Ale teraz to już chodźmy!

I zerwał się na równe nogi, nieznacznie zmiatając z powiek wilgoć zdradliwą.

W DROGĘ

Już po powrocie obu chłopców z pierwszej wyprawy w niezbadane tundry i knieje kanadyjskie Minnetaki przysięgła sobie, że musi im kiedyś towarzyszyć. Słuchając fantastycznej wprost opowieści o wilczych łowach, o walkach z Indianami, o samotnej chacie, wreszcie o tajemnicy szkieletów, rozchylonymi wargami i dwojgiem szeroko rozwartych źrenic chłonęła chciwie każde słowo i zaciskała ręce na kolanach. Jakżeby chciała być tam na owym białym jeziorze, po którego skutej lodem tafli jej brat, Wabi, uprowadzał rannego Rodryga Drew, ścigany przez zajadłą horde wilczą. Albo móc obserwować niewidziana te wszystkie stworzenia dzikie, ptaki i zwierzęta, podglądać ich tajemnice, śledzić przebliski rozumu, podziwiać inteligencję, zmysł orientacji, poświęcenie ich i odwagę.

Minnetaki, niezwykle dobra z natury, nie tylko gorąco kochała swego ojca, Jerzego Newsome, agenta z Wabinoosh House, oraz matkę, księżniczkę indiańską, nie tylko wielbiła jedyne brata, Wabigoona, lecz ponadto darzyła skarbami uczucia całą służbę osady, z wiernym Mukokim i piastunką Mballą na czele. Miłość, jaką czuła do ludzi, nie przeszkadzała jej jednakże kochać całej przyrody, zwierząt domowych i leśnych, drzew, kwiatów, nawet robaczek najlichszych. Godzinami potrafiła siedzieć bez ruchu nad brzegiem jeziora Nipigon, obserwując lot dzikich kaczek czy gęsi; to znów w głębi boru przyglądała się skokom i gonitwie Wiewiórek albo z zapartym tchem śledziła budowę mrowiska.

Chęć przygód i chęć poznania tajników natury walczyła w niej o lepsze. Na samą myśl, że dane jej będzie zobaczyć na swobodzie i z bliska łosia, karibu, niedźwiedzia — klaskała w ręce z uciechy. Niezmiernie jednak trudno było wydobyć od rodziców potrzebne pozwolenie, a trudniej jeszcze przekonać ich, że podobna wycieczka nie grozi ukochanej córce niczym strasznym. Minnetaki bowiem wyrzekłaby się raczej wszystkiego, niż miałaby się stać powodem troski matki i ojca.

Gdy Wabi, przyjaciel jego Rodryga Drew i Mukoki ruszyli na awanturniczą wyprawę po złoto, posługując się mapą znalezioną w dłoni kościotrupa, Minnetaki odebrała solenne przyrzeczenie od obu chłopców, że po raz ostatni jadą bez niej. Zostawszy sama w domu, z daleka i ostrożnie poczęła urabiać opinię rodziców oraz pani Drew. To w chwili właściwej rzuciła, czasem jakieś słowo, to przytoczyła odpowiedni przykład, aż starsi mniej sceptycznie poczęli się zapatrywać na jej zuchwałe plany. Jednocześnie w tajemnicy przeprowadzała odpowiedni trening. Mając na widoku trudy podróży, uprawiała się w długi chód czy nawet bieg bez wypoczynku, uczyła się w rekordowo krótkim czasie wspinać na drzewa i wzgórze, skakać przez rozpadliny, pływać wytrwale i szybko.

Pielęgnowała także cnoty indiańskie: wytrzymałość na głód, znużenie i ból. Gdy raz, rozpalając w lesie ognisko, dotkliwie sparzyła dłoń, nie dała nic po sobie poznać, a przy obiedzie śmiała się i rozmawiała jak zwykle. Jakże była wtenczas uradowana i dumna! Innym znów razem umyślnie nie kładła się spać dwie noce z rzędu. Wprawiała się też w strzelanie z lekkiego karabinka, który otrzymała od ojca ukończywszy lat piętnaście, i z uproszonego niedawno rewolweru. Nim Wabi, Rod i Muki wrócili z podróży, przywożąc mieszki pełne złota oraz nieprzytomnego Johna Balla, Minnetaki o sto jardów trafiała z fuzji w cel wielkości dłoni, a o trzydzieści jardów strącała z rewolweru szyszkę jodłową.

Nigdy chyba dotąd nie słuchała z tak napiętą uwagą opowiadań brata i przyjaciela; czuwając zaś przy nieprzytomnym Johnie Ballu, chciwie łowiła rzucone przezeń w malignie bez ładne słowa.

Jaskinia pełna złota, dziwaczny świat podziemi, nieznanne zwierzęta — jakże to wszystko było bajkowe i nęcące. Póty więc przymilała się do matki i ojca, póty patrzyła w oczy pani Drew, a brata i Rodryga prosiła o wstawiennictwo, aż dopięła swego. Pewnego dnia Jerzy Newsome wziął córkę na kolana — czynił to jeszcze nieraz, choć była panną dorosłą — i gładząc jej śliczne włosy, spytał:

— Bardzo chcesz jechać?

A Minnetaki, pewna już, że pozwolenie otrzyma, objęła ojca mocno za szyję i tuląc ciemną główkę do jego piersi, szepnęła cichutko:

— Bardzo!

— No, to pojedziesz, jeżeli...

Nie zdążył skończyć, gdyż dziewczyna zasypała go gradem pocałunków, po czym, zerwawszy się, jak szalona pobiegła przez dom, wołając na całe gardło:

— Rod, Wabi, Muki, jadę z wami, jadę!

I tańczyła, i śmiała się, i płakała niemal ze szczęścia, obcałowując wszystkich po kolei, gdy zaś Rod jej się nawinął, pocałowała i jego, po czym, pokraśnawszy jak wiśnia, uciekła do swego pokoju. Rod natomiast stał bez ruchu, trochę speszony, a w gruncie rzeczy rad niezmiernie.

Minęło jednakże dobre kilka miesięcy, zanim nadszedł wreszcie dzień podróży. Minnetaki doczekać się go nie mogła. Wyprawa do Złotej Jaskini stała się teraz ulubionym tematem jej rozmów. Nigdy dość jej nie było gawędy na ten temat. Gdy wieczorem gromadzili się wszyscy przed trzaskającym na kominku ogniem, Minnetaki, z łokciami na kolanach, a brodą wspartą na dłoniach, mówiła:

— No Wabi, opowiadaj, jak to będzie!

— Co takiego? — pytał Wabi filuternie, udając, że nie rozumie.

— Nasza wyprawa, naturalnie! Kędy pojedziemy, co zabierzemy ze sobą, co będziemy robić?

— Pojedziemy prosto jak strzelił, zabierzemy samych siebie, a robić będziemy, co nam się podoba! — odpowiadał Wabi ze śmiechem.

Wtenczas Minnetaki wydymała śliczne pąsowe usta i zwracała się do Rodryga:

— Wabi jest nieznośny! Nie ma nawet krzty wyobraźni! Mów ty, Rod!

Więc Rod zaczynał posłusznie:

— Pojedziemy czółnem przez jezioro Nipigon najpierw, a potem w dół Ombabiki do trzeciego wodospadu. Tam właśnie stoi chata, którą zbudowali John Ball, Henryk Langlois i Piotr Plante, a opodal chaty, za zasłoną wodną, jest jaskinia pełna złota. W głębi tej jaskini mogą się kryć rzeczy najfantastyczniejsze!!

— Na przykład co? — pytała Minnetaki, patrząc w twarz chłopca oczyma jak gwiazdy.

Lecz Rod tylko rękoma rozводził.

— Nie wiem — przyznawał. — Słyszałeś, co opowiadał John Ball w malignie. Tyle samo mówił i nam. Kto wie, ile w tym prawdy, a ile fantazji chorego mózgu.

W istocie, John Ball, biedny obłąkany pustelnik, którego chłopcy znaleźli podczas poprzedniej wyprawy i kosztem wielu wysiłków dowieźli do faktorii, nie odzyskał dotąd równowagi umysłu. Minnetaki kiwała głową w zadumie.

— Tak, właściwie więc nie wiemy nic a nic. To strasznie ciekawe, Rod. To właśnie najciekawsze!

Uśmiechając się bezwiednie, patrzyła w ogień, w grze płomieni szukając zarysów widmowych postaci. Szła potem spać z głową pełną marzeń, a rankiem, po przebudzeniu, pierwszą jej myślą było: ile też dni zostaje do wyjazdu?

Aż nadszedł wreszcie dzień podróży. Ostatnią noc Minnetaki spędziła niemal bezsennie. Taka ją

rozpierała radość, że musiała chwilami tulić dłonie do piersi, by uciszyć gwałtownie bicie serca. Coraz też unosiła się na łóżku, wypatrując w oknie pierwszych blasków świtu. Nad ranem za to usnęła snem kamiennym; zbudził ją dopiero stuk w drzwi oraz wesoły głos Wabigoona:

— Minnetaki, już jasno! Komu w drogę, temu czas!

— Zaraz będę gotowa! — odrzyknęła mu rażno, po czym porwawszy się z pościeli, skoczyła wpierv do okna. Wabi przesadził oczywiście, twierdząc, że jest już jasno, świt bowiem ledwo szarzał i z trudem tylko bystre oczy dziewczyny wypatrzyły smugę boru, opasującego zewsząd Wabinosh House.

Był koniec kwietnia. Daleką Północ jednakże nawiedzają jeszcze o tej porze silne przymrozki, toteż Minnetaki przywdziewała na drogę odpowiednio ciepły strój. Jakże wypieściła z dawna każdy jego szczegół; jakże ją radowało wszystko, od mokasynów począwszy, a kończąc na małej, futrem obrzeżonej czapeczce. Ten ekwipunek niewiele się właściwie różnił od ubioru noszonego zazwyczaj, a jednak był stanowczo inny, miłszy, ładniejszy, woniejący już drogą daleką, zapachem lasów świerkowych, żywicznym dymem ogniska.

Włożyła więc Minnetaki mocne, sznurowane mokasyny z grubej skóry łosiowej oraz spódniczkę i bluzkę z pięknie wyprawnej, mięciutkiej niby safian skórki sarniej. Miała jeszcze potem wdziac krótką dachę reniferową, ciemnobrunatną, pięknie zdobną na szwach aplikacjami z czerwonego sukna i białego futerka. Do rzemiennego paska przytroczyła futerał z rewolwerem i tak gotowa, roześmiana, promieniejąca wybiegła do jadalni.

W ogromnej izbie, od dwu wieków przeszło służącej za jadalnię agentom Kompanii Zatoki Hudsona, płonął na kominku siarczysty ogień i białął stół nakryty do śniadania. Wnet też zasiedli przy nim wszyscy: państwo Newsome, pani Drew z synem Rodrygiem, Minnetaki i Wabi. Panował nerwowy nastrój, pełen wesela dla trójki podróżników, z odcieniem melancholii u starszych. Pani Newsome miała oczy lekko zaczerwienione i głosem trochę drżącym dawała córce ostatnie rady:

— Pamiętaj, Minni, uważaj na siebie i słuchaj Wabiego. Nie tylko dlatego, że starszy, lecz i dlatego również, że ma więcej doświadczenia...

— Ale przede wszystkim uważaj na to, co mówi Mukoki — wtrącił Jerzy Newsome. — Wiesz, ile ma rozwagi i jak bardzo ciebie kocha!

— No i Mballa — dodała jeszcze pani Newsome. — Już ją prosiłam, żeby dbała o twoje zdrowie.

— Mnie także musisz słuchać, Minnetaki! — wyrwał się raptem Rod. — Bo ponieważ ja najwięcej prosiłem, by pozwolono ci jechać, więc jestem za ciebie poniekąd odpowiedzialny!

— Ojej! — westchnęła Minnetaki tragicznie. — Ładnie się moja wyprawa zapowiada! Wabi, Muki, ty Mballa — ostentacyjnie liczyła na palcach — czterech aniołów stróżów, czy nie za wiele przypadkiem? Oczywiście, przy takiej opiece jestem zupełnie bezpieczna, ale jak zaczniecie mnie wszyscy musztrować, jeden tak, drugi inaczej, to w rezultacie nic mi nie wolno będzie robić!

Melancholijnie schyliła głowę niby pod brzemieniem rezygnacji, lecz spod czoła błyskała oczyma w figlarnym uśmiechu. Wiedziała przecie doskonale, że z Mukim, Mballa i Wabim zrobi mniej więcej wszystko, co zechce, co do Roda zaś — tu zarumieniła się niepotrzebnie — miała mocne podejrzenie, że on raczej będzie jej słuchał.

Po skończonym posiłku — przy czym biesiadnicy więcej udawali, że jedzą, niż jedli — nastąpiły ostatnie pożegnania. Krótkie, mocne uściski, czułe słowa, szeptane głosem zdławionym, pocałunki i na czołach dzieci matczyną ręką kreślone znaki krzyża. Na dworze dniało już. Szron srebrzył się na ziemi i drzewach. U brzegu jeziora czekała wielka łódź z kory brzozonej, wyladowana wszelkiego rodzaju zapasami, w łodzi zaś siedział wierny Muki oraz piastunka Wabiego i Minnetaki, Mballa.

Chłopcy zajęli miejsca przy wiosłach, Minnetaki na dziobie, po czym Muki odepchnął czółno od brzegu.

Pędzone silnymi uderzeniami wiosła, czółno pomknęło naprzód tak szybko, że już po upływie paru minut brzeg oraz stojące na nim osoby zlały się w jedną szarą całość.. Nawet wyęzając wzrok, Minnetaki nie mogła już ułoić żadnej z dro gich sylwetek, toteż po chwili, westchnąwszy, zwróciła oczy w inną stronę.

Jezioro kryła lekka mgła, tak zwiewna i subtelna, iż zdało się, że ruchem ręki można ją rozproszyć. Od dołu ołowiana toń wodna nadawała jej barwę ciemniejszą, lecz im bliżej nieba, tym mgła stawała się przejrzystsza, bledsza, bardziej opalowa. Tu i ówdzie majaczyły w niej smugi złote i różowe, niby rozwieszona w przestworzu girlandy kwietne; to słońce, wyzierając nad horyzont, słało pierwsze swe blaski. Minął jednakże dobry kwadrans, zanim nagły poryw wiatru rozdarł mgłę, podzielił ją na strzępy i rozproszył w przestrzeni bez śladu. Słońce bluznęło światłem tak jaskrawym, aż Minnetaki na chwilę musiała przymknąć oczy. Jednocześnie zacisnęła palce rąk na burcie, gdyż krótka, stroma fala gwałtownie zakołysała łodzią. Wabi parsknął śmiechem i przemówił, pierwszy naruszając ciszę panującą od chwili wyjazdu.

— Pamiętasz, Rod, jak to było w zeszłym roku: pole. lodowe, nasza kąpiel i różgi! A gdyby tak obecnie powtórzyć?

Rod skrzywił się, głową wykonując gest przeczący.

— Co do mnie, dziękuję serdecznie! Nie lubię odgrzewanych potraw. Ale ty się nie krępuj, proszę bardzo...

— Ee... samemu to nieciekawie! — protestował Wabi. — Zresztą, jako opiekun Minnetaki, nie chcę jej dawać zdoznanego przykładu. Niech więc Muki decyduje! Muki, jaką drogę obierasz? Na przełaj przez jezioro czy też prawą stronę lub lewą?

Mukoki, siedzący na rufie i krótkim a szerokim wiosłem nadający łodzi właściwy kierunek, odpowiedział krótko i bez wahania:

— Na przełaj tymczasem. Pod wieczór dobijemy do prawego brzegu.

— No, dobrze — powątpiewał Rod — ale jeśli przy tym prawym brzegu będzie pole lodowe tak jak w zeszłym roku?

— Nie będzie! — stanowczo oznajmił stary Indianin. — Skąd wiesz?

Mukoki zachichotał w swój zwykły, gardłowy sposób.

— Wiatr dmie od tygodnia ze wschodu na zachód — rzekł. — Cała kra poszła od prawego brzegu pod lewy. Prawy brzeg wolny!

Tu Minnetaki wtrąciła się do rozmowy.

— Muki jest genialny! — rzekła. — Doprawdy, czuję, że po tej podróży mój szacunek dla ciebie wzrośnie stokrotnie.

— Ach, Minni, zostawże trochę komplementów dla nas! — błagalnie zaprotestował Rod.

— Powinniście na nie zasłużyć. A tymczasem wiosłujecie jak z łaski.

— Prawda — przyznał Wabi. — Minni ma rację. Dalej, Rod, pokażmy, co umiemy!

Raźno wzięli się do wiosła, toteż łódź śmignęła naprzód niby strzała. Wiatr przycichł znowu, więc pod błękitną kopułą niebios srebrna tafla jeziora leżała gładka i lśniaca jak olbrzymie, kosztowne zwierciadło. Tu i ówdzie jedynie, w załomach drobnych fal, jaskrawe refleksy świetlne migotały niby łuska rybia. Górą ciągnęły klucze żurawi, stada dzikich gęsi, gromady łabędzi, bielejące pod słońce śniegiem wielkich skrzydeł. Czasem orzeł ważył się w powietrzu nieruchomy prawie lub spadał niby pocisk na upatrzoną zdobycz. Lecz najwięcej było kaczek — chmary całe. Roily się jak muchy: cyranki, krzyżówki, to śmigające szybkim lotem, to znów wdzięcznie kolebiące

się na wodzie.

— Nietrudno nam będzie zdobyć obiad dzisiejszy — rzekł Rod.

— Warto ubić parę sztuk teraz — dodał Wabi — to nam do wieczora skruszeją.

Mukoki spozierał na ptaki okiem znawcy.

— Te czarne do niczego — rzekł, brodą wskazując kierunek. — Małe to i suche. Chyba na bardzo głodny żąb. Ale, o, tamta para ujdzie. Możecie spróbować, chłopcy!

O sto jardów dwie kaczki szybowały bok o bok. Prawa, ogromna, lecąc wyciągała przed się szyję barwy szmaragdowej, a za każdym ruchem skrzydeł migotały końce lotek jak żywe turkusy. Lewa, drobniejsza, miała jednolite szare upierzenie, jak przystoi skromnej samce.

— Ty kaczora, a ja kaczkę — rzekł Wabi. — Strzelamy razem!

Obaj chłopcy złożyli wiosła i wzięli fuzje z dna łodzi. Porozumieli się wzrokiem. Dwa strzały padły jak na komendę i obie kaczki, wirując w powietrzu, głucho plasnęły o wodę.

— Brawo! — zawołała Minnetaki.

Muki pchnął łódź w kierunku kołyszących się na fali ptaków. Strzelano potem jeszcze, aż Mballa, jednogłównie okrzyknięta gospodynią wyprawy, orzekła, iż zwierzyny starczy stanowczo nie tylko na dziś, ale i na jutro. Wtenczas ruszono w dalszą drogę. Po upływie godziny Mukoki zajął miejsce Roda. Minnetaki zaś uprosiła brata, by jej pozwolił zastąpić się w pracy. Około południa, podczas gdy łódź kolebała się leciutko na wyiskrzanej słońcem gładzi, zjedzono z apetytem drugie śniadanie, a o godzinie trzeciej, zrobiwszy spory szmat drogi, wędrowcy nasi przybili wreszcie do brzegu.

Zgodnie z zapowiedzią Mukiego był on tym razem wolnym od kry i tylko przy samym lądzie cienka, szklista skorupa próżno broniła dostępu. Pękła zresztą łatwo pod energicznym ciosem wiosła i czółno wpędzono na ląd. Rod wyskoczył pierwszy, podając rękę Minnetaki, lecz ona zbyła go śmiechem i jednym susem, niby sarna, znalazła się na trawie.

Teraz Mukoki samorzutnie objął komendę, wydzielając każdemu odpowiednie zajęcie. Rod i Wabi ścinałi młode sosenki na budowę szałasów, Mukoki, sam, rąbał drzewo i rozpalał ogień, Minnetaki i Mballa wreszcie słały posłanie z igliwia oraz przyrządzały kolację.

Nim zapadła noc, siedli wszyscy przy ognisku w ciepłym żółtym kręgu, roztaczanym przez płomień jaskrawy. Jakże smakowała Minnetaki zrumieniona na różnie kaczka, placki pieczone w popiele i kawa parzona nad węglami w zwykłym garnczku żelaznym. Jakże piękny wydał się jej zachód słońca nad jeziorem, krwawe refleksy na wodzie i liliowy odcień nieba. A nade wszystko jakże strasznie były ciekawe półgębkiem przez Mukiego rzucane uwagi na temat dalszej jazdy. Słuchałaby do świtu chyba, gdyby nie oczy, klejące się dziwnie, i ogólna błoga ociężałość. Bez sprzeciwu zatem poszła spać, ledwie skończywszy posiłek. Nie interesowała się nawet wcale, która może być godzina. Leżąc w szałasie obok Mballi, na wonnym posłaniu z łapek świerkowych, z uśmiechem poczęła snuć plany na dzień jutrzejszy i tak, uśmiechnięta, usnęła.

KNIEJA

Tss... — szepnął Wabi i Rod zatrzymał się wpół kroku. — Uważaj, Rod!

Znajdowali się właśnie w połowie lesistego zbocza, górującego nad krętą doliną. Dzień był ciepły, prawdziwie wiosenny, a słaby wietrzyk, dmący chwilami, niósł już w sobie zapowiedź upalnych dni letnich. Ten wietrzyk właśnie przywiał do nozdrzy Wabigoona specyficzny zapach oraz pozwolił mu usłyszeć wyraźny, choć słaby i daleki chrzęst.

— Słyszałeś? — szepnął Wabi na ucho przyjaciela. Rod poruszył głową przecząco.

— Nie!

Wabi roześmiał się bezgłośnie, błyskając białymi zębami w pięknej, ogorzalej twarzy.

— Ach, ty mieszczechu, przecież aż ziemia dudni! Jakiś wielki zwierz...

— Łoś?

— Gdzie tam! Łosia by już dawno było widać pośród tych niskich krzaków. Zresztą, po co by laź pod górę? Niedźwiedź!

— Grizli?

— Grizli albo czarny. Tego już nie wiem. Tss... słyszysz?

— Nie! Chociaż zdaje mi się... Tak, słyszę!

Zastygli obaj w naprężonym oczekiwaniu, przyczajeni za rozłożystą choiną. Naprzeciwno w odległości dobrej mili widniał drugi stok doliny, kamienisty, spękany, niemal nagi. Jaskrawy błękit nieba oraz złoto promieni słonecznych pod kreślały surowe piękno tego krajobrazu. Tam gdzie zbocze przechodziło w falistą równinę, zieleńta się już murawa, tu i ówdzie jedynie znaczone srebrnymi wydrami piasku. Białe główki rumianków, szafranowe kielichy lilii i ciemne fiołki ciekawie wyzierały spośród szmaragdowych bujnych źdźbeł. Środkiem pieniście tańczył strumień wezbrany po niedawnych roztopach. Poprzez krzaki rosnące nad brzegiem przezierała modra woda, to ściśnięta w wąskim łożysku, to znów szeroko rozlana po mieliznach. Krzewy i chaszczce zwartą gęstwą dochodziły niemal do połowy stoku, by tu ustąpić nagle miejsca z rzadka rozsianym wyniosłym sosnom i jodłom. — Tam, widzisz?! — wskazał dłonią Wabi.

Rodryg posłał wzrok we wskazanym kierunku. Szczytowe gałęzie krzaków falowały słabo, niezależnie od powiewu wiatru. Falowanie, idąc ukośną smugą, zbliżało się powoli do otwartej przestrzeni. Chwilami ustawało zupełnie: widać zwierz zatrzymywał się wietrząc, lecz wnet rozpoczynało się na nowo, coraz bliższe i wyraźniejsze.

Nagle Rodryg wstrzymał oddech i serce zabiło mu mocniej. Spomiędzy zielonych chaszczki wyjrzał wielki, ciemny łeb, a w ślad za nim wynurzyło się cielsko rozmiarów tak potwornych, że Wabi aż rozdziawił usta z podziwu.

Grizli był nie dalej niż o sto pięćdziesiąt metrów, toteż widzieli go wyraźnie. Stał zwrócony frontem, bez ruchu, niby bury, prymitywnie ciosany głąz. Potem podniósł nieco głowę, wchłaniając powietrze w czarne, wilgotne nozdrza. Spomiędzy rudych kudłów ledwo błyskały drobne szparki głęboko osadzonych ślepi. Wietrzył długo, starannie, aż z głuchym chrząknięciem zwrócił nieco łeb ku zaroślom. Wabi mocno uszczypnął przyjaciela w ramię, lecz Rod się nie obruszył. Całą jego uwagę pochłoneła scena w dole. Oto spomiędzy krzewów, goniąc się i przepychając, wypadły trzy drobne, ciemne stworzonka — trzy paromiesięczne niedźwiadki.

Były spalone tak dokładnie, że robiły wrażenie włochatych piłek. Popiskując wesoło,

przewracały się w trawie, mama niedźwiedzica zaś obserwowwała je uważnie, z dobrodusznym — jak osądził Rod — grymasem burego pyska. Lecz zabawa dzieciarni przybierała formy coraz gwałtowniejsze. Już się targały wzajem za zmierzwione kudelki, warcząc niby zagniewane szczenięta. Wtem któryś wrzasnął wniebogłosy, więc niedźwiedzica momentalnie rzuciła się robić porządek. Paroma uderzeniami wielkiej łapy rozepchnęła smarkaczy, mruknęła pod nosem jakąś groźbę i płynnym, kołyszącym się chodem ruszyła od zarośli w górę, jakby ku młodym myśliwcom, podczas gdy niedźwiadki, pogodzone od razu, dreptały u jej pięt.

Rod, przekonany, że niedźwiedzica kieruje się w ich stronę, zręcznym ruchem sięgnął po karabin przewieszony przez ramię, zdjął go i już zamierzał podnieść broń do oka, gdy wstrzymał go gest Wabigoona. Młody Indianin machnął wpierw ręką przecząco, a potem wskazał coś w dole na prawo. Rod wychylił się nieco zza gałęzi, o ile pozwalała ostrożność, usiłując zrozumieć, co przyjaciel ma na myśli. Był ciekaw niezmiernie, tym bardziej że niedźwiedź zbaczał w istocie w tym kierunku.

Nie dostrzegł na razie nic godnego uwagi. Rzadko rozsiane pnie wyniosłych sosen lśniły w blasku słońca jak kolumny z brązu. Ziemię wyściełała gęsta warstwa jesiennego igliwia. W jednym miejscu, pod stuletnim chyba chojarem, leżał maleńki wzgórek.

Rod zwrócił na towarzysza wzrok pytający. Wabi uśmiechał się, brodą i oczyma dając znaki porozumiewawcze, więc Rodryg wpatrzył się znowu w niedźwiedzicę, z ruchów jej usiłując odgadnąć, o co tu właściwie chodzi.

Potężny zwierz, kolebiąc się całym ciałem, szedł ku owemu pagórkowi. Znalazłszy się tuż, wciągnął powietrze z krótkim parsknięciem, a na głos ten dzieciarnia, drepcząca dotychczas z tyłu, nadbiegła spiesznie. Wtenczas wielki grizli kucnął na zadzie niby pies i uderzył przednią łapą w pagórek, zmiatając całą jego część górną. Potem, mrużąc z zadowolenia, oblizał łapę szerokim jęzorem i znów wetknął ją w głąb kopca.

Rod zrozumiał nareszcie. To było mrowisko. Z opowiadań Wabigoona oraz innych bywalców kniei wiedział, że niedźwie dzie przepadają za cierpkim smakiem mrówek. Udało mu się zresztą kiedyś zobaczyć samemu, jak potężny miś, ważący tyle co dobry wół, odwracał potworną łapą ciężkie głazy, by starannie złowić językiem parę rozproszonych owadów. Cóż więc to była obecnie za uczta dla starej grizli! Jej błogie chrząkania i pomruki zadowolenia brzmiały coraz donośniej. Nurzała łapę w kopcu, jak dziecko macza palec w słoju konfitur, czekała trochę, by mrówki dobrze obsiadły przynętę, i starannie zlizywała je potem, mlaskając z rozkoszą.

Rodrygowi przyszło raptem na myśl, że zaraz pewno zacznie się po brzuchu głaskać, toteż ledwo nie parsknął śmiechem. Małe niedźwiadki tłoczyły się wokół mrowiska, wchodziły doń z wszystkimi czterema łapami, popychały się i przewracały, liżąc to kopiec, to siebie nawzajem i zjadając z pewnością więcej ziemi, igieł i sierści niż ruchliwych mrówek. Czasem któryś zaczynał piszczeć, pocierając łapką nos, widać ukąszony boleśnie. Wtenczas stara niedźwiedzica przestawała jeść na chwilę i ciekawie wyciągała ku dzieciarni swój ciężki bury łeb.

Rod absolutnie nie zdawał sobie sprawy, jak długo trwa to widowisko. Gotów byłby w każdym razie stać tak do jutra, lecz oto Wabi trącił go w ramię, gestem wskazując najpierw niebo, a potem głąb lasu. Rod zrozumiał. Wyszli przecie na polowanie, a chociaż słońce poczęło już spływać ku zachodowi, nie ustrzelili dotychczas nic zgoła. Należałoby śpieszyć, jeśli nie mieli wrócić do obozu z próżnymi rękoma.

Rod skinął głową na znak zgody. Wobec bliskości niedźwiedzia trzeba było zachować jak największą ostrożność, oczywiście więc Wabi, jako lepiej znający puszcę, musiał ruszyć pierwszy. Porozumieli się oczyma. Wabi rzucił wzrokiem wkoło, wybrał szeroką kępę karłowatej sośniny, leżącą na lewo pod górę, a odległą o kilkanaście metrów, i zgarbiony zaczął iść ku niej szybkim,

cichym krokiem. Na ziemi miękkiej od igliwia jego indiańskie skórnice nie sprawiały najmniejszego szelestu. Rod spojrzął raz jeszcze w stronę mrowiska. Zarówno stara grizli, jak i jej młode były całkowicie pochłonięte ucztą.

Tymczasem Wabi, dotarłszy do gęstwiny, dawał ręką znaki nagłace. Rod, usiłując naśladować lekki krok przyjaciela, ruszył jego śladem.

Trochę mu serce biło, tym bardziej że widział, jak Wabi zdejmuje fuzję z ramienia i trzyma ją w pogotowiu. Wciąż mu się zdawało, że lada moment usłyszy ryk wściekły i ziemia zadudni pod ciężarem atakującej bestii. Ale się omylił. W kniei panowała nadal cisza zupełna. Gdy zaś dotarłszy do boku Wabigoona, przystanął, spocony nieco, stwierdził natychmiast, że z tego miejsca nie mogą już w ogóle dojrzeć ani mrowiska, ani nawet rodziny niedźwiedziej.

Wabi uśmiechnął się do towarzysza, poklepał go po ramieniu i stawiając długie, ciche kroki, ruszył znów pod górę. Dobre parę minut szli tak milcząc, po czym Wabi ozwał się półgłosem:

— Możemy teraz mówić, nie usłyszy nas na pewno. A choćby usłyszała, nie ma *to* już żadnego znaczenia.

Rodrygowi język rozwiązał się od razu.

— Ależ wielka bestia! — rzekł z podziwem. — Co za bary! Co za łeb! Ciekawym, ilu kul trzeba by było, aby taką matronę powalić. Lepiej, że nas nie zauważyła, choć przygoda byłaby wtenczas jeszcze ciekawsza. Co o tym sądzisz, Wabi?

— Naturalnie, że lepiej — odparł Wabigoon poważnie. — Gdyby nas dostrzegła, prawdopodobnie ruszyłaby do ataku, jest bowiem stara — ma co najmniej osiem lat — zatem na pewno drażliwa na punkcie swej wielkości i zła jak osa. Ma przy tym małe ze sobą, a niedźwiedzica z małymi to rzecz niebezpieczna. Gdyby się na nas rzuciła, oczywiście musielibyśmy strzelać, i to celując dobrze, nie żeby ranić, tylko żeby zabić. A gdyby padła, co by się stało z małymi? Nie, stanowczo lepiej, że jest tak, jak jest!

— Cóż, z małymi? — wzruszył ramionami Rod. — Wzielibyśmy na wychowanie. Ty jednego, ja drugiego, a trzeci, najładniejszy, byłby dla Minnetaki. Jestem pewien, że ucieszyłaby się strasznie. Nauczylibyśmy je różnych sztuczek i mielibyśmy wspaniałą gwardię przyboczną!

— Pyszny pomysł! — Wabi udawał powagę. — Tylko jeszcze Mballa będzie je niańczyć, a Muki liczyć dobrych manier. Ty zaś będziesz przede wszystkim dbał o należyte pożywienie dla wychowanków. Wiesz, jaki jest jadłospis niedźwiedzica? Pierwsze śniadanie — kłaczka lilii, drugie śniadanie — mrówki, trzecie śniadanie — myszy polne, czwarte śniadanie — gniazdo os, piąte...

— Dosyć! Dosyć! — Rod machnął rękoma przerażony. — Rezygnuję, Wabi! Proponuję natomiast, byśmy się na razie zajęli wyszukaniem jakiegokolwiek jedzenia dla nas samych, gdyż inaczej nasza trzecia wyprawa może się skończyć tragicznie — po prostu pomrzemy wszyscy z głodu!

— To by było istotnie fatalne! — przyznał Wabi. — Sądzę jednak, że tak źle nie będzie. Ale wiesz, ciekaw jestem, co nas tym razem czeka w podróży. Bo właściwie jedziemy bez określonego celu. Pamiętasz, za pierwszym razem szukaliśmy skór wilczych, za drugim złota, a teraz...

— Teraz szukamy przygód! — triumfalnie obwieścił Rod. — Oby ich było jak najwięcej!

— Oby nie za dużo! — roztropnie dodał Wabi. — Ale słuchaj, Rod, jeśli chcemy coś upolować naprawdę, musimy milczeć i uważać!

Rod skinął głową energicznie i uderzył się dłonią po ustach na znak, że już ich nie otworzy. Po czym z karabinami w rękach obaj przyjaciele szybko i cicho ruszyli przez las.

PRZYGODA MINNETAKI

Muki — mówiła Minnetaki, ślicznie wydymając pąsowe usta. — Pójdę na spotkanie chłopców!

— Oni przecie zaraz wrócą — flegmatycznie oponował stary Indianin, nie odrywając oczu od roboty. Mukoki siedział bowiem przed szałasem na podwiniętych nogach, pracowicie czyszcząc strzelbę. Wytarł ją najpierw pękiem suchej trawy, potem nasmarował wszystkie metalowe części sadłem jelenim, obecnie zaś polerował lufę miękkim skrawkiem skóry, nadając jej lustrzany niemal połysk. Było to, właściwie mówiąc, sprzeczne z elementarną zasadą łowiecką, gdyż blask słońca, odbity od lufy, płoszy niejednokrotnie zwierzynę, toteż myśliwi często rozmyślnie osmalają broń nad ogniskiem. Ale Muki, o sto mil w krąg słynący jako znawca kniei i łowów, był pod tym względem niepoprawny. Namiętnie lubił rzeczy błyszczące,

— Zaraz wrócą? Tym lepiej! — wesoło odparła Minnetaki. — Nie będę się dłużej nudzić sama. Ty i Mballa jesteście oczywiście strasznie mili — dodała śpiesznie — ale okropnie poważni, a mnie się tak chce trochę poswawolić!

Czule uśmiechnęła się do Mukiego i do piastunki, zajętej przyrządzaniem kolacji. Mballa, klęcząca nad miską pełną mąki, wlała do niej właśnie rozczyniony z wodą proszek do pieczenia, wsypała nieco soli i silnymi, brunatnymi palcami poczyniała wygniatać ciasto. Na uśmiech Minnetaki odpowiedziała szerokim uśmiechem, ukazując dwa rzędy wspaniale białych zębów w twarzy jeszcze czerstwej mimo nadchodzącej pięćdziesiątki.

— No, to idę! — rzuciła Minnetaki, na pół z pytaniem, dając już parę kroków naprzód.

Lecz Mukoki potrząsnął głową.

— Nie, nie można, jeszcze zabłądzisz! Poza tym to w ogóle niebezpiecznie. To nie jest przecie Wabinosh House, tylko prawdziwa knieja!

W istocie obóz, rozłożony nad brzegami Ombabiki, był z trzech stron opasany odwiecznym borem. Wędrowcy nasi popasali tu od wczoraj, od dnia zaś wyjazdu z Wabinosh House minął blisko tydzień. Dwie doby zajęła im przeprawa przez jezioro Nipigon, a gdy łódź wpłynęła na rwące wody wezbranej Ombabiki, podróż przybrała jeszcze wolniejsze tempo. Po co się zresztą mieli śpieszyć? Czyż nie była to przede wszystkim wspaniała majówka, wycieczka dla przyjemności? Tajemnica jaskini zeszła wyraźnie na drugi plan.

Pogoda była wymarzona: jaskrawe słońce jeszcze bez upału. Lecz ręce wiosłarzy omdlały nieco przy wiosłach, nogi Minnetaki ścierpły, toteż jednogłośnie postanowiono odpocząć dłużej. Gdy wczoraj wieczorem na prawym brzegu rzeki Rod wypatrzył tę kotlinę, bronioną od zimnych powiewów zwartym murem lasu, zaproponował natychmiast, by tu zabawić parę dni. Wniosek przyjęto przez aklamację. Dziś rankiem Rod i Wabi ruszyli na polowanie, chcąc zaopatrzyć spiżarnię w świeże mięso, i obiecali, że nieobecność ich długo nie potrwa. Minnetaki, Mballa i Muki pozostali w obozie.

— Ależ ja daleko nie pójdę! — zaprzeczała Minnetaki gorąco. — Tylko kawałeczek im naprzeciw. Sam mówiłeś, że zaraz muszą wracać. A jeżeli chodzi o jakąś napaść, mam przecie rewolwer!

Z dumą uderzyła się po biodrze, gdzie w skórzanym futerale wisiał miniaturowy browning. Mballa uśmiechnęła się tylko, lecz Mukoki począł chichotać otwarcie, aż jego chude oblicze pokryła gęsta sieć głębokich zmarszczek.

— Z tego rewolweru możesz zabić wiewiórkę, jeżeli trafisz, albo zająca, jeżeli nie będzie zbyt wielki.

— W takim razie wezmę fuzję!

— Jeżeli cię napadnie wilk, ryś albo niedźwiedź, to i tak fuzję zgubisz.

— Niemądry jesteś, Muki! — nachmurzyła się Minnetaki. — I mówiłam ci przecież, że nie pójde nigdzie daleko, tylko kawałeczek.

— Żeby prędzej Roda zobaczyć — porozumiewawczo mrugał stary.

Twarzyczkę Minnetaki oblał silny rumieniec.

— Właśnie że nie Roda, tylko Wabiego — rzekła prędko. — Rod nic mnie nie obchodzi! Zaproponowałabym ci, Muki, abyś poszedł ze mną, ale wiem, że wolisz zostać z Mballą. Wobec tego do widzenia! Wesołej zabawy!

Powiała ku nim ręką, parsknęła śmiechem widząc zmieszane twarze obojga i skoczyła w las. Ukryta za pierwszym grubym pniem, raz jeszcze rzuciła wzrokiem na obozowisko. Muki wstawał właśnie, patrząc w ślad za nią, lecz po chwili machnął ręką i opadł na poprzednie miejsce. Najwidoczniej dał za wygraną. Wtenczas Minnetaki roześmiała się cichutko sama do siebie i poszła dalej.

Wiedziała, w którą stronę skierowali się chłopcy; była o tym mowa przed ich odejściem. Mieli ruszyć w lewo i odnaleźć wąwóz biegnący równoległe do rzeczno łożyska. Minnetaki, idąc, szukała wkoło śladów ich niedawnej obecności. Nie mogła jednakże nic zauważyć. Mech gęsty i sprężysty jak materac uginał się co prawda pod stopami, lecz natychmiast wygładzał swą zieloną powierzchnię. Drzewa — olbrzymie jodły, sosny i świerki — stały rzadko rozsiane, niby się bocząc jedne na drugie, a pośród nich rosły kępami krzaki malin, przewijane splotami pnączy *baknisz*. Ogromny spokój i surowość biły z głębi boru. Mimo jasnego jeszcze dnia panował tu siny półmrok jak w nawie kościelnej. Z rzadka ćwierkały ptaki. Dziewczyna, podnosząc oczy, szukała ich wśród gałęzi. Nagle zastygła bez ruchu. Oto po pniu stuletniego świerka szybko mknęło w górę jakieś drobne stworzonko, a za nim drugie, jeszcze mniejsze bodaj, wysmukłe, zwinne niby żmija.

Ścigane zwierzątko dopadło pierwszego konara, wśliznęło się nań i gnało całym pędem po gałęzi, mając prześladowcę tuż za sobą. Minnetaki wstrzymała oddech. Tragiczny wynik zdawał się nieunikniony. Lecz raptem drobny kształt oderwał się od gałęzi, rozpostarł łapy i frunął niby ptak na sąsiednie drzewo. Oczywiście nie był to lot w całym tego słowa znaczeniu, tylko coś na kształt fantastycznego skoku, gdyż stworzonko nie było ptakiem, ale po prostu latającą wiewiórką, czyli polatuchą. Minnetaki, zachwycona, klasnęła w ręce, dając brawo zręczności. Wówczas ścigająca łasiczka wrzasnęła ostro ze zdziwienia i złości, po czym znikła tak raptownie, jakby się w powietrzu rozwiąła.

Minnetaki śmiejąc się poszła dalej. W prawo, między drzewami, zdało się jej, że widzi jaśniejsze przebłyski. Rzeczywiście był to początek doliny. Już na skraju lasu mech przetykały wonne zioła, a — dalej z murawy gęstej jak kobierzec wyrastały rozmaite kwiaty: fiołki, rumianki, irysy i lilie, o barwach tak jaskrawych, aż dziewczyna krzyknęła z zachwyty.

Minnetaki niezmiernie lubiła kwiaty — któraż kobieta ich nie lubi? — toteż pochyłona jęła rwać najpiękniejsze, podziwiając wszystkie razem i każdy z osobna. Umiejętnie mieszając kolory, układała śliczną wiązanekę i w pogoni to za irysem, to za lilią coraz dalej zagłębiała się w dolinę. Na razie zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy, lecz w pewnej chwili doznała uczucia chłodu. Wtenczas, podniósłszy głowę, zdziwiła się, widząc nieznaną zupełnie krajobraz.

Po lewej stronie miała strumyk, płytko rozlany na złocistych mieliznach, za strumykiem na łagodnym zboczu las wysokopienny, niby ciąg dalszy tej kniei, w którą weszła zaraz za obozem. W

prawo nieprzerwany łańcuch chaotycznych rumowisk skalnych ciasno zamykał horyzont. Słońce znikło już za widnokretem, więc na dnie parowu leżał głęboki, chłodny cień. Zszarzały barwy kwiecica. Niebo straciło pyszny kolor błękitny, niby zasnuła lekką mgiełką dymu.

Minnetaki uczuła wyraźnie niezadowolenie. Wszakże obiecała Mukiemu wrócić zaraz, a tymczasem nieobecność jej trwała już chyba przeszło godzinę. Oczywiście na otwartej przestrzeni nad rzeką musiał być jeszcze dzień zupełny, ale tu, w kotlinie, zapadał zmierzch.

Wyprostowawszy się, stała chwilę niezdecydowana, po czym z westchnieniem zawróciła w stronę obozu. Widocznie chłopcy poszli inną drogą albo się może z nimi rozminęła w lesie. Stąpiła już parę kroków, gdy stanęła ponownie. Gdzieś blisko, o milę może, huknął strzał. Poznała natychmiast wysoki jasny ton dubeltówki Wabigoona. Parsknęła śmiechem radosnym. Więc jednak spotka myśliwych! I ma właśnie dla nich kwiaty. Każdemu wręczy bukiet. Nie, jeszcze lepiej, da każdemu wieniec, jak na zwycięzców przystało. Zanim nadejdą, zdąży upleść dwie równianki.

Rzuciła wzrokiem wkoło. Niezbyt daleko po prawej stronie widniało parę płaskich głazów, zapraszających do spoczynku. Minnetaki ruszyła ku nim. Obuta w miękkie skórznie, szła po gładkiej murawie zupełnie bez szelestu. Doszedłszy do pierwszego głazu, złożyła na nim kwiaty i już zamierzała sama usiąść, gdy wtem usłyszała jakiś pisk i szamotanie, dochodzące spoza pobliskiej skały. Wiedziona ciekawością, wstała, zrobiła kilka kroków i znieruchomiała ze zdziwienia, gdyż oczom jej przedstawił się widok zupełnie niezwykły.

Na otoczonej głazami łączce walczyły, ze sobą zajadle trzy małe niedźwiadki. Były tak zajęte własnymi sprawami, że żaden z nich nie zauważył obecności dziewczyny. Minnetaki natomiast, stojąc o kilkanaście kroków zaledwie, widziała je wyraźnie. Jeden był niemal czarny, z białą łatką, na podgardlu; drugi ciemnobury; trzeci największy, jasnopopielaty, prawie srebrny. Mimo różnorodności barw doświadczony myśliwy poznałby natychmiast, że ma przed sobą młode grizli, lecz Minnetaki, ubawiona w najwyższym stopniu, nie myślała o tym wcale. Niedźwiadki walczyły o zwłoki wielkiego śnieżnego królika, z którego pozostał już zresztą tylko bezkształtny ochłap mięsa, odziany w strzępy siwej turzycy. Szary braciszek trzymał zdobycz za jakąś wystającą część, nogę przypuszczalnie, i rozparty na krótkich łapkach, co siłą ciągnął w swoją stronę; bury natomiast, rozkraczony szeroko, brzuszkiem prawie szorując ziemię, opierał się energicznie i trzymał królika wpół. Trzeci miś, najmniejszy, doskakiwał z boku, warcząc i piszcząc niby szczenię, chwycił w pyszczek kłaki króliczego futra i w ogóle robił zamieszanie, gdyż sam najwidoczniej nie wiedział, któremu z rodzeństwa ma pomóc.

Dwaj zapaśnicy walczyli coraz zacieklej. Szary oczywiście wygrywał. Z groźnym mrukiem, potrząsając głową, cofał się tyłem jak rak i włókł za sobą opornego przeciwnika. Tamten sunął na rozkraczonych łapach niby żaba, rozpaczliwie wczepiając pazurki w nierówności gruntu. W jakiejś chwili zdołał się zatrzymać, tylko szyja wydłużyła mu się tak dalece, jakby wraz z głową miała się oddzielić od tułowia. Szary niedźwiadek warknął gniewnie i targnął mocniej. Nastąpiła katastrofa. Królik rozdarł się na dwoje, niedźwiadki zaś, jakby je ktoś rozepchnął gwałtownie, potoczyły się w dwie przeciwne strony, przy czym mały bury miś wylądował tuż pod nogami Minnetaki.

Niedźwiadek wrzasnął przeraźliwie i porwawszy się na łapy, począł zmiatać co siłą. Nigdy dotąd nie oglądał człowieka, wyczuł jednakże instynktem, że postać, którą ma przed sobą, należy do rasy wrogów; toteż darł się ze strachu wniebogłose. Na widok jego przerażenia Minnetaki parsknęła śmiechem. Lecz śmiech ten zamarł jej wnet na ustach, a śmiertelna bladość pokryła rysy, gdyż spoza pobliskiego głazu zahuczał, niby grzmot, straszny ryk dorosłego niedźwiedzia.

Stara niedźwiedzica grizli najadła się dziś do syta, pochłonawszy od rana tuzin myszy, tłustego świstaka oraz niezliczoną ilość mrówek, korzonków i wszelakich bulw, toteż schwytawszy królika,

pozostawiła go dzieciom, rada, że podczas igraszek bębnow chwilę spokojnie poleży. Ucięła sobie zatem słodką drzemkę pod nagrzaną słońcem skałą, a choć słońce już do pewnego czasu znikło, skała zachowała dotąd nabyte za dnia ciepło, nic więc nie mąciło rozkoszy wypoczynku. Niedźwiedzica słyszała co prawda przez sen piski i warczenie swych pociech, lecz nie zwracała na to uwagi. Nagle uszu jej dobiegł wrzask przeraźliwy, krzyk trwogi najwyższej, wołanie o pomoc — i stara grizli z rykiem porwała się na nogi.

Na ryk niedźwiedzicy Minnetaki skamieniała, lecz zanim jeszcze rozjuszona bestia wypadła z gąz, dziewczyna porwała się do ucieczki. W popłochu i przerażeniu trudno jej było obierać drogę, toteż skoczyła przed siebie na oślep w labirynt skalny. Gdyby miała do czynienia z innym niedźwiedziem, starczyłoby przypuszczalnie zejść mu z oczu, by zaniechał pościgu. Nieszczęście jednak chciało, że Minnetaki trafiła na tę właśnie starą grizli, osobę nie odznaczającą się nigdy dobrym charakterem, a w okresach piastowania dzieci wprost straszną.

Gdy niedźwiedzica wyleciała spoza zakrętu, dziewczyna ginęła w korytarzu skalnym, lecz pozostała przecie woń, wyraźna zupełnie, wstrętna woń ludzka. Stara grizli już od roku nosiła w prawym biodrze kulę indiańską, że zaś źle zagojona rana dolegała jej często, więc wrodzona niechęć do dwunogich stworzeń przeszła z czasem w zajadłą nienawiść. Ułowiwszy teraz znany zapach, ryknęła ponownie i z zadziwiającą dla tak ciężkiego ciała szybkością pognęła śladem.

Minnetaki sekundę tylko łudziła się, że zwierz zaniecha pościgu. Zanim jeszcze potrafiła ubiec sto kroków, usłyszała za sobą gwałtowny tętent, pod którym ziemia zdała się drżeć. Zaciskając zęby, zdwoiła pęd. Serce waliło jej w piersi jak szalone ze strachu i zmęczenia. Drożyna szła pod górę, a na nierównym terenie nogi potykały się często. Przy tym szlak był kręty, zawikłany. Dziewczyna rzucała się to w prawo, to w lewo, a ściany skalne obstępowały ją coraz ciasniej, tworząc wąski, mroczny korytarz. Cwał zwierza dudnił w tyle, monotony i uparty. Gdyby pościg odbywał się na równinie, dawno by już doszło do tragicznego końca, tu jednakże masywny zwierz obijał nieraz boki o występy skał, co hamowało jego rozpęd.

Raz grizli uderzył tak mocno chorym biodrem o nawisły głąz, że aż przystanął, rycząc gniewnie. Nie zaniechał jednak pościgu, przeciwnie, po chwilowej przerwie cwał jego zadudnił jeszcze gwałtowniej. Tymczasem Minnetaki wyraźnie opadała z sił. Biegła resztką tchu, łowiąc powietrze rozwartymi ustami i wyciągając przed siebie ręce. W skroniach biły jej młoty, serce konało, oczy zasnuwała ciemność. Zatoczyła się wreszcie i oparła o skałę, mało co widząc wokół.

A niedźwiedź nadbiegał właśnie. Na widok zdobyczy ryknął i podniósł się na tylne łapy, wyciągając przednie niby do uścisku. Potworny strach dodał dziewczynie sił. Ze 'zdławionym krzykiem skoczyła w bok, gdzie ziało Wąskie przejście, i leciała znów przed siebie. Była na pół przytomna, czuła jednakże resztką świadomości, że koniec bliski. Ciężki krok zwierza dudnił tuż. Gorący jego dech owiewał jej plecy. Naraz straszny ból rozdarł jej ramię. Coś jakby ją wstrzymało w biegu. Uczyniła ostatni rozpaczliwy wysiłek, szarpnęła się ku przodowi, uderzyła całym ciałem o jakąś zaporę i osunęła się na klęczki bezwładna.

POPŁOCH

Wabi położył Rodrygowi rękę na ramieniu, ruchem tym nakazując ciszę i uwagę. Rod powiódł wzrokiem wkoło i natychmiast zrozumiał, o co chodzi. W odległości dwustu jardów, na przeciwległym końcu długiej polany, duży płowy zwierz kręcił się między drzewami. Był to młody łoś, roczniak. Znalazszy dogodny pień, począł się on czochrać, ścierając zapewne resztki zimowej sierści, a może uwalniając się również od dokuczliwych pasożytów. Wabi przytknął wargi do ucha Roda.

— Za daleko na pewny strzał! — szepnął. — Trzeba się podkraść bliżej. Prawą stroną pod wiatr. Idziesz?

Lecz Rodryg ruszył głową przecząco. Nie był bynajmniej przesadnie skromny, umiał jednak spoglądać trzeźwo na własne wady i zalety innych. Otóż wiedział doskonale, że jeśli idzie o podchodzenie zwierzyny na trudnym terenie, Wabi przewyższa go bezspornie zręcznością i umiejętnością. A czas naglił. Do zupełnego mroku pozostawała najwyżej godzina. O ile zatem nie chcieli wracać do obozu z pustymi rękoma, nie należało marnować okazji.

— Idź ty — odszepnął Rod, ledwo poruszając wargami. Wabigoon skinął głową i począł się skradać od drzewa do drzewa. Szedł tak umiejętnie, a jego skórzana kurta tak doskonale harmonizowała z poszyciem leśnym, że Rod wkrótce stracił przyjaciela z oczu. Próżno go wypatrywał, wyteżając wzrok; gdy zaś wydało mu się wreszcie, że widzi ludzką postać w kępie jedliny, huknął strzał z zupełnie innego miejsca. Po strzale łoś drgnął, dał szalonego susa w powietrze i zwałił się na ziemię martwy.

Wabi wypadł spośród drzew, wrzeszcząc radośnie, a Rodryg, wtórując mu dzikimi okrzykami, puścił się pędem przez polanę. Dopadli zwierza niemal jednocześnie i pochyłili się nad nim, badając ranę. Strzał był wspaniały. Kula weszła pod lewą łopatkę, przebiła serce i ugrzęzła w kości prawego ramienia. Rod pokiwał głową z zachwytem.

— Wspaniale strzelasz, stary!

Na co. Wabi, śmiejąc się, odparł skromnie:

— Potrafiłbyś równie dobrze. Zresztą strzał nie był trudny. Około stu jardów za ledwie i łoś w tej chwili właśnie ani drgnął, jakby pozując po prostu dla malarza czy rzeźbiarza.

— Kto wie, może to naprawdę był model jakiegoś leśnego duszka — zażartował Rod i rzucił wzrokiem w las. Między drzewami mrok się już zbierał i tylko pośrodku polany leżała słoneczna plama, tworząc na szmaragdowej murawie błyszczące złote jeziorko.

Tymczasem Wabi zabrał się już do pracy, nie tyle miłej, ile koniecznej. Dobywszy noża, opracował zwierzynę. Na ten widok Rod rzucił się mu pomagać. Długą chwilę pracowali w milczeniu. Wabi wyciął łośiowi polędwicę, język, wątrobę oraz najlepsze części zadnich pieczeni, po czym owinął wszystko w płaty skóry, tworząc dwa spore pakunki. Rod wytarł mchem skrwawioną rękę. Spoglądając na szczątki łośia, rzekł z żalem:

— Szkoda, że nie można zabrać wszystkiego. Tyle tu tego zostaje. Zmarnuje się tylko!

Ale Wabi machnął ręką.

— Nie kłopotz się o to. Już się tacy znajdują, co zjedzą. W puszczy nic się nie marnuje. O, patrz, jeden gość już jest.

Ruchem głowy wskazał kierunek. Śród suchych liści opodal śmigał jasny, wąziutki kształt, niby

ćwierćmetrowa żmijka.

— Gronostaj? — spytał Rod.

— Gronostaj. Głodny widać, że się nas wcale nie boi. Choć ciąż to w ogóle bezczelne stworzonko, przy tym odważne niezwykle. Ale ręczę, że puszcza wkoło roi się od stołowników, tylko my ich nie widzimy. Łasice, kuny, ptaki rozliczne. Nie zdążymy się o milę oddalić, jak przybiegną wilki albo ryś. Wiatr już im nawiał woń krwi, wiedzą więc, że jadło czeka. Wziął pakunek z mięsem na ramiona; Rod podźwignął drugi. Wyciągniętym krokiem szli przez las, przy czym Wabi, jako orientujący się lepiej, wybierał kierunek, Rod zaś stosował się doń bez sprzeciwu. Między drzewami panował wyraźny zmierzch, a nawet gdy wydostali się wkrótce na otwartą dolinkę, nie mogli już dojrzeć słońca. Rod przełożył ciężar z jednego ramienia na drugie i parsknął śmiechem.

— Minnetaki musi być Wściekła — zaczęła. — Obiecaliśmy wrócić za parę godzin, a tymczasem zabawiliśmy cały dzień.

— Trudno! — rzekł Wabi. — Przecie potrzebowaliśmy mięsa koniecznie. Jutro za to możemy ruszyć w dalszą drogę, gdyż mamy jedzenia na dwa, trzy dni co najmniej. A przyznaję, że jestem szalenie ciekaw, co też znajdziemy w głębi Żłotej Jaskini. Doczekać się nie mogę! Żeby tylko...

Urwał w pół zdania. O kilkaset jardów zabrzmiał ryk niedźwiedzia, tak straszliwy, aż się chłopcy wzdrygnęli. Rodryg rzucił pakunek z mięsem na trawę i porwał za karabin.

— Co to? — szepnął niepewnie.

Wabi przystanął również, lecz po chwili tylko machnął ręką.

— To pewnie ta sama niedźwiedzica, którą spotkaliśmy w południe — rzekł. — Może robi scenę dzieciarni albo się z kim poróżniła. Chodźmy!

Rod jednakże tkwił w miejscu, bardzo blady.

— A może ona kogo napadła! — odezwał się głucho.

Ryk zahuczał znowu, tym razem bardziej odległy, cichszy. Pochodził z chaosu skał, spiętrzonych po przeciwległej stronie doliny.

— Kogóż by? — powątpiewał Wabi. — Okolica jest bezludna zupełnie. Najprawdopodobniej spotkała innego niedźwiedzia i wymyślają sobie wzajem. W takich okolicznościach lepiej trzymać się z daleka.

Ruszył przodem, a uparcie stojącemu w miejscu Rodrygowi rzucił przez ramię:

— Minnetaki czeka!

Rod poczerwieniał, chciał coś rzec, jednakże tylko otworzył usta i zamknął je bez słowa. Po czym podjął z ziemi swój pakunek i podążył za towarzyszem.

Było mu dziwnie głupio. Jakiś nieokreślony niepokój wkraść się do serca, gasząc całą uprzednią radość. Miał po prostu wrażenie, że nieszczęście wisi w powietrzu. Szedł ponuro, ze zwieszoną głową, machinalnie krocząc śladami Wabigoona. Ten obejrzał się raz i drugi, wreszcie, zwalniając nieco, by się zrównać z towarzyszem, rzucił trochę drwiąco:

— Rod, co za mucha cię ukąsiła? Oniemiałeś może? Rodryg uśmiechnął się z przymusem.

— Nie, nic, tak tylko! — tłumaczył niezręcznie. — Może po prostu jestem trochę zmęczony i głodny.

— Ładnie trochę! — oburzył się Wabi. — O zmęczenie zresztą mniejsza, ale głód wyprawia po prostu nieprzyzwoite harce. Gotów jestem zacząć jeść surowe mięso jak moi indiańscy przodkowie. Och, Rod, pomyśl tylko, za pół godziny najdalej będziemy w obozie, legniemy sobie na trawie jak sybaryci, a Minnetaki z Mballą zaczną piec i smażyć. Już mi ślinka idzie do ust. Polędwica z łosia, świeże placki, kawa! Hi...i...i...!

Zamierzał wydać dziki wrzask wojenny, lecz urwał na pierwszej nucie. O ćwierć mili najwyżej

huknął strzał. Obaj chłopcy stanęli i spojrzeli na się wzajem pytająco.

— Co u licha?! — zaczął Wabi.

Przerwał mu nowy strzał, nim zaś ochłonął ze zdumienia, huknął wystrzał trzeci.

— To Mukoki! — rzekł Wabi. — Poznają jego rusznicę. Grzmi jak armata.

— Ale co mu się stało? — pytał Rod oszołomiony. — Poluje chyba. Może sądzi, że wrócimy z pustymi rękoma, i chce sam zdobyć mięso. Tylko przecie już ciemno. Cóż to za łowy o tej porze?!

— To w ogóle nie łowy! — zaprzeczył Wabi z pewną irytacją w głosie. — Czyś nie zauważył, że strzały dane były w równych odstępach. To sygnał!

— Sygnał? Ale po co? Dla kogo?!

— Pewnie dla nas. Myśli może, żeśmy zblądzieli.

— Też pomysł!

Wabi milczał chwilę. Nagle rzekł:

— A może... w obozie się co stało?

Rod uważnie spojrział na przyjaciela. Mimo zmroku widział wyraźnie jego rysy, jednakże niewiele z nich wyczytał. Po przodkach indiańskich Wabi wziął zdolność ogromnego panowania nad nerwami. Tylko jego głos brzmiał trochę inaczej niż zwykle.

— Myślisz... że... w obozie? — spytał Rod głucho. — Że może Minnetaki?...

— Nic nie myślę! — przerwał Wabi szorstko, ale ta szorstkość właśnie świadczyła o tym, jak bardzo jest niespokojny. — Cóż może grozić Minnetaki? Przecie Woonga nie żyje!

Błyskawicznie wspomnieli obaj niedawne przejścia z czerwonoskórym wodzem bandy opryszków: uprowadzenie Wabigoona, porwanie Minnetaki, rozpaczliwą walkę Rodryga z potwornym Woongą, wreszcie śmierć tegoż. Rod odetchnął głęboko.

— Tak, chwała Bogu! — rzekł z widoczną ulgą. — Z tej strony przynajmniej nic już nam nie grozi.

W tej chwili nowa seria strzałów rozdarła powietrze. Obaj chłopcy liczyli je wstrzymując oddech. Jeden, dwa, trzy, w równych odstępach, co dziesięć sekund, jakby je kto podług zegarka odmierzał. Gdy umilkł strzał ostatni, Wabi spojrział na Roda, nie usiłując już ukryć przerażenia.

— Tam się jednak coś stało! — rzekł prędko. Podniósł fuzję do ramienia i trzykrotnie wypalił w powietrze, po czym wyciągniętym krokiem ruszył w kierunku strzałów Mukiego.

Rod śpieszył za nim, biegnąc prawie, a serce kołatało w nim boleśnie. Minnetaki! Mimie taki! Był niemal pewien, że chodzi właśnie o nią. Ale co się stało? Co się stać mogło? Jakiś napad? Wykluczone! Słyszeliby strzelaninę przedtem. Może kąpała się w rzece i prąd ją porwał? I to nie, pływa przecie jak ryba. Więc co? Co, na miłość Boską!

Wyprzedził przyjaciela, lecąc przodem, lecz Wabi doścignął go i chwyciwszy za ramię, osadził na miejscu.

— Puść! — gniewnie szarpnął się. Rod.

— Czekaj! — mitygował go Wabi. — Chcesz się rozminąć z Mukim? Nie wiemy przecie wcale, gdzie on jest, a ściemniło się już zupełnie!

Rod stanął dysząc ciężko, nie ze zmęczenia bynajmniej, tylko z trwogi, która mu rozsadzała serce. Było już w istocie tak ciemno, że o pięćdziesiąt kroków nie odróżniłbyś człowieka od pnia drzewa. Wabi podniósł dłonie do ust i huknął donośnie:

— Muki! Muukii!

— Hoo! — odpowiedziało mu niedalekie wołanie..

— Jest tam! — rzekł Wabi wskazując w prawo. — Chodźmy!

Lecz Rod nieczekał zaproszenia. Pierwszy puścił się kłusem, więc Wabi począł biec również,

pokrzykując niekiedy dla zachowania kierunku. Odpowiadał mu głos Mukiego coraz bliższy. Wreszcie zamajaczyła przed nimi w mroku wysoka, szczupła postać starego Indianina. Dopadłszy tuż, zatrzymali się obaj zdyszani. Wabi szarpnął Mukiego za rękaw.

— Co się stało, Muki? — pytali jeden przez drugiego. — Co się stało, prędej—!

Zamiast odpowiedzieć Mukoki odsunął ich nieco od siebie, po czym, pochylony ku przodowi, obracając głowę to w prawo, to w lewo, usilnie badał ciemności. Wabi tupnął nogą.

— Gadajże wreszcie! — syknął. — Co się stało? Po coś strzelał?

Wtenczas Mukoki przemówił, lecz jego odpowiedź zamiast cokolwiek wyjaśnić, wprawiała tylko obu chłopców w osłupienie.

— Gdzie Minnetaki?!!

— Jak to gdzie? — spytał Rod, czując, że lęk coraz bardziej ściska mu serce. — Przecie została w obozie.

— Więc nie widzieliście jej? — badał Mukoki dalej, kolejno przysuwając sępie oblicze to do twarzy Rodryga, to znów do twarzy Wabigoona. — Nie żartujcie, chłopcy, pytam poważnie.

— Ależ my wcale nie mamy ochoty żartować! — zaprzeczył Wabi ze złością i strachem zarazem. Rodryg milczał. Wiedział, że za chwilę usłyszy coś strasznego, coś, co może go w ostatecznej rozpaczce pograżyć, i silił się zachować spokój mimo wszystko.

— Więc nie widzieliście jej — powtórzył Mukoki takim tonem, że chłopcy się wzdrygnęli. Wabi nie wytrzymał. Porwał Mukiego za ramiona i trząśł nim z pasją.

— Gadaj wreszcie, słyszysz, gadaj! — wołał, a twarz kurczyła mu się niby pod wpływem bólu. — Będiesz mówił czy nie?!

Muki odetchnął głęboko i odwracając nieco głowę, rzekł głosem stłumionym:

— Minnetaki wyszła z obozu na dwie godziny przed zachodem słońca i dotąd nie wróciła.

Wabi odstąpił o krok, rękawem bluzy ocierając czoło zroszone potem. Rod czuł, że kolana uginają się pod nim. Siłą woli opanowując nerwy, spytał spokojnie na pozór:

— Jak się to stało? Mów prędko! Dlaczego poszła? Dokąd?

— Poszła na wasze spotkanie — potulnie wyjaśniał Mukoki, tak był bowiem strapiony, że stracił zwykłą ironiczną zadzierzystość. — Nie chciałem jej puścić, ale się uparła. Gdy nie wracała, po godzinie jakoś poszedłem jej szukać. Potem wróciłem do obozu, myśląc, że może jednak już tam jest. Ale nie! Dałem więc Mballi karabin, że ma niby strzelać, gdyby Minnetaki wróciła. Ale karabin Mballi milczy.

Umilkł oddychając ciężko. Głuchy głos Wabiego przerwał ciszę:

— Czyś nie widział żadnych śladów, Muki? Czy nic więcej nie możesz powiedzieć?

Stary Indianin, nie otwierając ust, poruszył głową przecząco. Rod, tkwiący dotąd bez ruchu, zawrócił nagle i począł się szybko oddalać. Wabi dopędził go w paru skokach i przytrzymał, chwytając za ramię.

— Dokąd idziesz? — spytał.

— Szukać jej — odparł Rod z wysiłkiem. — Puść mnie! Szarpnął się chcąc iść, lecz Wabigoon zastąpił mu drogę.

— Poczekaj chwilę! Naradzimy się najpierw. Trzeba coś obmyślić. Poczekaj! Rod spojrział na niego półprzytomnie.

— Nie mogę czekać — rzekł nerwowo. — Nie mogę! Zrozum! Przecie ja ją kocham, Wabi!

SKALNA PUŁAPKA

Kłęcząc pod ścianą skalną Minnetaki słyszała tuż za sobą złowrogi ryk niedźwiedzia. Lada moment oczekiwała śmiertelnego ciosu. Zdało się jej, że widzi, nie patrząc, jak kosmate ramię, zbrojne w straszliwe pazury, zawisa nad jej głową i opada niby żywa maczuga. Potworna paszcza, pełna białych, lśniących zębów, rozwiera się do chwytu.

Przeczuwała niewysłowienie straszny ból dartych mięśni, kości miażdżonych w potężnych szczękach. Z przeraźliwym krzykiem osłoniła głowę rękoma, instynktownie, po dziecinnemu broniąc się przed niebezpieczeństwem. W ciągu paru sekund przeżyła całą mękę konania. Serce przestawało jej bić, mózg tępiał, śmiertelny pot rosił czoło. Członki stężały tak dalece, że utraciła możliwość ruchu.

Czekała całą wieczność, kuląc ramiona, robiąc się jak najmniejsza. Ryk niedźwiedzia huczał tuż ponad nią, lecz cios wciąż nie spadał. Czowała, że rozum się jej maci, że chwila jeszcze, a dostanie chyba obłądu. Nerwy miała napięte do ostatnich granic. Wreszcie, nie mogąc znieść męczarni, poderwała się z ziemi i stanęła twarzą do bestii.

Pierwszą rzeczą, jaka się jej rzuciła w oczy, był potworny łeb zwierza, oddalony zaledwie o dwa metry. Gorący, smrodliwy oddech uderzył jej wprost w twarz. Niedźwiedź miał paszczę szeroko rozwartą, pełną piany, błyskającą bielą kłów. Zmarszczony pysk żłobiły głębokie bruzdy, niby od cięć topora. Małe ślepia płonęły zielonkawym ogniem.

Minnetaki krzyknęła i rzuciła się w tył, plecami przywierając do skalnej ściany. Nie dbała, że ostre krawędzie głazów kaleczą jej ciało. Nie czuła bólu, tylko strach okropny, niewysłowiony. Widok niedźwiedzia działał na nią, jak działa na ptaka widok żmii. Nie mogła oczu od zwierza oderwać. Patrzała jak urzeczona. I patrząc tak, zrozumiała raptem.

Grizli nie rzucał się na nią, gdyż po prostu nie mógł tego uczynić. W tym miejscu bowiem korytarz skalny zwężał się gwałtownie, powstrzymując niedźwiedzia niby drzwi zbyt ciasne. Zwierz więc miotał się tylko w furii daremnej, rozwścieczony co prawda, lecz równie mało groźny jak dzika bestia zamknięta w klatce.

Minnetaki przymknęła oczy z westchnieniem głębokiej ulgi. Roześmiała się nawet cichutko z wielkiej radości. Strach już ją odbiegł. Nie darmo była córką zimnokrwistego Anglika i odważnej, o mocnych nerwach Indianki. Z uśmiechem, rozejrzała się wkoło, po raz pierwszy starannie badając otoczenie.

Parów kończył się tu ślepym zaułkiem, tworząc coś na kształt wnętrza studni lub baszty średniowiecznej. Z trzech stron ściany skalne pięły się ku niebu, z czwartej natomiast kaprys przyrody pozostawił wolną szczelinę, zwężoną bryłami nawisłych głazów. Minnetaki przypomniała sobie, jak biegnąc uczuła raptem ból w prawym ramieniu. Musiała widać zawadzić o głaz, ten sam, który tak skutecznie powstrzymywał teraz atak niedźwiedzia.

Grizli nadal czatował w przesmyku. Uprzykrzył snadź sobie jednak próżne wysiłki, gdyż stał obecnie na czterech łapach i tylko strzygł uszami, obserwując dziewczynę złośliwie i uważnie. Minnetaki wiedziała, że niedźwiedzie potrafią godzinami pilnować upatrzonej zdobyczy. Należało zatem szukać innego wyjścia, jeśli chciała być w obozie przed nocą. Nie umiałaby co prawda powiedzieć, jak długo trwała jej ucieczka przez labirynt skalny, zauważyła jednak, że mrok już gęstnieje z zadziwiającą szybkością. Jakże się chłopcy będą niepokoić, jeśli jej po powrocie nie znajdą? A Muki, który ją tak przestrzegał przed samotnym spacerem! A Mballa! Zamartwią się

wszyscy...!

Skoro niedźwiedź pilnował przesmyku, zatem jedyna droga ucieczki leżała oczywiście w górze. Minnetaki podniosła głowę i aż krzyknęła z radości, widząc, że górna krawędź studni znajduje się najwyżej o trzy metry nad jej głową. W pierwszej chwili możliwość wydobycia się tamtędy wydała się jej rzeczą niezmiernie łatwą. Ściany były co prawda niemal prostopadłe, lecz tyle w nich widniało wgłębien i wypukłości, że miejscami przypominały prawie bardzo strome schodki.

Minnetaki, nie patrząc nawet, zmacała nogą jakiś kamień, lewą ręką uczepliła się występu i podciągnęła ciało w górę. Łatwość, z jaką to przyszło, dodała jej otuchy. Oderwawszy lewą nogę od ziemi, wyszukała wyżej nieco gzyms tak wygodny, że stanęła na nim pewnie całą stopą. Wypoczęła teraz chwilę, nabierając oddechu, gdyż poprzednie znużenie i przestrasz pozbawiły ją normalnych sił, po czym znowu poszukała chwytu dla prawej ręki. O ćwierć metra nad głową znalazła kamień, niezbyt wygodny co prawda, gdyż gładki i śliski, uczepliła się go jednakże kurczowo całą dłonią.

Teraz, ostrożnie unosząc lewą stopę, sunęła nią po skale na oślep. Szpara jakaś pozwoliła jej ledwo zaczepić palce, dając mniej więcej tyle oparcia co chropowatość kory sosnowej. Minnetaki ścisnęła zęby i uwieszona na obu rękach, oderwała od skały prawą stopę.

W tejże chwili wyczuła nadchodzącą katastrofę. Kamień pod prawą dłonią drgnął, jakby raptem życia nabrawszy. Minnetaki zrozumiała, co jej grozi. Szybko zsunęła lewą nogę, szukając poprzedniego gzymsu, lecz nie zdołała już go odnaleźć. Kamień wyskoczył z osady, zostając jej w ręku. Minnetaki, tracąc równowagę, runęła w dół.

Szczeniem spadła z wysokości dwóch metrów zaledwie, przy czym w ostatniej chwili zdołała dać coś na kształt niezręcznego skoku; mimo to, dotykając stopami dna studni, uczuła ból w całym ciele. Na chwilę zapomniała o niedźwiedziu, przeraził ją więc nagły głuchy ryk zwierza i jego oczy, świecące w mroku zielonkawym ogniem. Ciężko dysząc oparła się o skałę. Siły odbiegły ją całkowicie. Pragnienie poczyniło dokuczać. Miała ochotę paść na twarz i usnąć, zapomnieć o całym świecie. W parowie mrok się już zbierał, niemal czarny od dołu i w licznych załomach skał. Przyczajony niedźwiedź sprawiał wśród ciemności wrażenie bestii apokaliptycznej. Jeszcze trochę i zapadnie noc zupełna. Minnetaki otarła pot z czoła, wyszukała wzrokiem miejsce, jak się zdawało najdogodniejsze, i znów poczęła się piąć w górę. Tym razem wiodło się jej lepiej. Próbowwała zresztą najpierw ostrożnie każdego oparcia, badając jego wytrzymałość, zanim się poważyła przerzucić ciężar ciała na inny punkt.

Bardzo wolno, lecz stale zbliżała się ku wolności. Zarzucając w tył głowę, widziała w górze coraz bliższą wolną przestrzeń, niebo białe od zmierzchu i widok ten dodawał jej energii. Jeszcze chwila, jeszcze tylko parę minut — mówiła sobie, zaciskając zęby, siłą woli opanowując okropny ból mięśni i zawrót głowy. Gdyż ze znużenia, głodu i wzruszeń poczęło jej się w głowie kręcić, aż chwilami miała wrażenie, że straci równowagę i spadnie.

Nagle całkowicie odzyskała zimną krew. Uprzytomniła bowiem sobie ze zgrozą, że oto od dobrej już chwili maca prawą ręką ścianę skalną, nie znajdując żadnego występu, żadnej szpary, niczego, co by jej mogło użyczyć oparcia. Strach ścisnął jej serce, lecz się nie poddała. Prawą ręką odszukała poprzedni chwyt — głębokie wyżłobienie o twardej krawędzi — i uczepiwszy się mocno, lewą poczęła błędzić po skale. Metodycznie, niestrudzenie szukała najpierw w górze, potem sunęła na boki — z jednakim niestety rezultatem. Wszędzie napotykała gładką, zwartą ścianę, niby świeżo wzniesiony mur. O nic nie mogła zahaczyć nawet czubkiem paznokcia.

Tymczasem nogi jej zdrętwiały, ramiona odmawiały posłuszeństwa. Wreszcie, nie chcąc upaść, musiała się ześliznąć po skale na sam dół i tu, kucnąwszy, zakryła twarz rękoma. Łzy ją dławily. Sama przed sobą wstydząc się głośnego szlochu, łkała cichutko, choć miała ochotę wybuchnąć

płaczem ogromnym, jak skrzywdzone dziecko. Tak się szczyliła poprzednio, że ma siedemnaście lat, że jest już panną dorosłą, teraz jednak czuła się zupełnie mała i strasznie słaba. Chlipiąc żałośnie, łykała słone łzy i powtarzała bezwiednie niemal:

— Mamo, mamó!

W jakiejś chwili dreszcz nią wstrząsnął. Kuląc ramiona, próżno starała się wywołać złudzenie ciepła. Noc już zapadła, skała dawno wypromieniowała nabyte za dnia. gorąco i chłód pociągał od niej przenikliwie wilgotny. Minnetaki podniosła głowę. Siny płat nieba w górze zahaftowały złote arabeski gwiazd. Panowała ogromna cisza. Dziewczyna zrozumiała raptem, że już od dłuższego czasu nie słyszy ryku ani pomruków niedźwiedzia. Z trwogą i nadzieją zarazem spojrzała ku szczelinie, w której czatował grizli. Przejście było wolne. Niedźwiedź znikł. Minnetaki porwała się na równe nogi, lecz w kolanach poczuła od razu taką słabość, że musiała znów usiąść na ziemi. Serce biło jej radośnie aż do bólu. Niedźwiedź odszedł. Jest wolna! Oczywiście — rozumowała z przejęciem — nie mógł przecie pozostać wiecznie, choćby z uwagi na małe niedźwiedziąta. Odszedł zatem w poszukiwaniu nocnego legowiska. Odszedł! Co za szczęście...!

Wstała powtórnie, dając krok ku szczelinie, lecz tu osaczyły ją wątpliwowilgci. Wychowana od dziecka na Dalekiej Północy, nasłuchiwała się niemało opowieści wszelakich, to od białych traperów, to od Metysów czy Indian, dostarczających futra do faktorii jej ojca. Śród gawęd łowieckich przewijały się wszelkie zwierzęta kanadyjskich kniei: rysie i wilki, łosie i karibu, lecz bezspornie królował w nich niedźwiedź, władca puszczy, najsilniejszy, najmędrzy z dzikich stworzeń.

Stojąc u wejścia do pułapki skalnej, Minnetaki przypomniawszy sobie szczegóły niektórych wydarzeń. Przed paru laty na przykład głośna była przygoda Piotra Leroi, Metysa zamieszkałego o sto mil na południe od Wabinosh House. Leroi ranił kiedyś wielkiego grizli i uciekając przed rozwścieczonym zwierzęciem, zgubiwszy fuzję, wdrapał się na sosnę. Niedźwiedź po paru daremnych próbach wywrócenia sosny oddalił się pozornie, lecz zaledwie człowiek, przekonany, że nic mu nie grozi, zeskoczył na ziemię, zwierz wypadł z pobliskich chaszczy i Leroi musiał znów szukać ratunku na drzewie. Ta ponura gra trwała pełne trzy doby. Gdy wreszcie inny myśliwy przypadkowo odnalazł Metysa, Leroi był prawie konający z głodu i znużenia, a grizli nadal pilnował swej ofiary. Dopiero parę celnych kul położyło kres męczarni człowieka i ponurym igraszkom zwierzęcia.

Myśląc o tej historii, której wysłuchiwała niegdyś z taką ciekawością, Minnetaki nieufnie patrzyła w głąb parowu. Miejsce to, jak żadne inne nadawało się do zasadzki. Raptowny załom dozwalał sięgnąć wzrokiem o parę jardów zaledwie, a i dalej, o ile mogła sobie przypomnieć, korytarz wił się stale w ostrych, nieprzewidzianych zakrętach.

Minnetaki wychyliła się spoza skalnego wiszaru, który tak skutecznie stawiał czoło furii niedźwiedzia, i wyteżyła słuch. Cisza dzwoniła jej w uszach. Nie mogła nic ułoić. Była jednakże niemal pewna, że w mroku za załomem coś się czai. Strach chwycił ją za włosy. Jakże tu iść w tę ciemność samej i z gołymi rękoma? Gdyby choć kij czy nóż! Gdyby broń jakakolwiek...!

I nagle roześmiała się cicho, radośnie. Boże, jakże była głupia! Jak mogła do tego stopnia stracić rozum! Ma przecież broń, ma, oczywiście! Drżącymi palcami sięgnęła do boku, gdzie w skórzanej pochwie u paska sukni wisiał miniaturowy browning. Zapomniała o nim dotychczas całkowicie, pod wpływem strachu zapewne, choć może i dlatego, że niewspółmiernie drobna była ta broń wobec gigantycznego zwierza, przeciw któremu miała służyć.

Browning, wyjęty z pochwy, znikł niemal zupełnie w wąskiej dłoni dziewczyny. Była to właściwie zabawka, mogąca co prawda celnym strzałem położyć trupem człowieka, lecz dla niedźwiedzia równie mało groźna jak dziecinna fuzyjka nabijana grochem. Ktokolwiek widział grizli

szarżującego wściekłym cwałem mimo dwóch, trzech kul karabinowych w okolicy serca, roześmiały się tylko, patrząc, jak Minnetaki z dumą i ufnością ogląda swój rewolwer.

Dziewczyna odzyskała całkowicie spokój i odwagę. Ściskając browning w prawej ręce, śmiało wstąpiła do przesmyku.

Prześlizgując się koło skalnego wiszaru, zdziwiła się teraz, jak mogła przebiec tamtędy. Szczelina była tak wąska, że mijając ją, otarła się teraz obu ramionami o twarde krawędzie. Prawe ramię uderzone w ucieczce, sprawiało jej dotkliwy ból. Syknęła mimo woli, myśląc, że skoro się tylko znajdzie na łące, przyłoży do stłuczenia garść świeżej trawy, by zaognienie złagodzić.

W korytarzu było tak ciemno, że raczej zgadywała, niż widziała drogę. Słaby blask gwiazd płonących w górze nie docierał tu wcale. Minnetaki dała parę szybkich kroków i już miała skręcić za węgiel skalny, gdy Wtem stanęła jak wryta. Nie słyszała co prawda nic, lecz prąd powietrza uderzył ją raptem w twarz falą silnej, specyficznej woni.

Zawahała się sekundę tylko, gdyż już w następnej chwili całym ciałem gwałtownie rzuciła się wstecz. Zza węgła wypadł niedźwiedź, niby żywy pocisk, i rycząc skoczył na zdobycz. Był tak blisko, że na otwartej przestrzeni schwytałby dziewczynę natychmiast, w tej ciasnocie jednak źle obliczył rozpęd. Nie zdoławszy skręcić w ostrym załomie korytarza, łbem i pierśią uderzył o ścianę, nim zaś zwrócił powtórnie, Minnetaki w paru susach dopadła swej kryjówki.

Przewijając się przez rozpadlinę, czuła na karku gorący dech niedźwiedzia. Mimo pośpiechu i trwogi wszakże nie wypuściła z ręki rewolweru, przeciwnie, ściskała go kurczowo, niby czyjąś dłoń chłodną i przyjazną, czerpiąc odwagę z tego uścisku.

Uderzyła w biegu o ślepy mur, lecz nie upadła jak za pierwszym razem. Błyskawicznie skręcając w miejscu, przyłgnęła plecami do skały i wysunawszy ramię, pociągnęła za cyngiel.

Grizli, z łbem wetkniętym w szczelinę, z szyją wydłużoną, kłapał paszczą w bezsilnej złości. Strzeliła mu prosto w jarzące ślepie, szybko, raz po raz, śląc sześć kul: cały magazyn browninga. Mimo bliskiej odległości jednak — lufę rewolweru od łba zwierza dzielił metr zaledwie — żadna kula nie uczyniła mu poważniejszej szkody. Jedna urwała strzęp ucha, druga przeorała dziąsło, wychodząc przez luźną skórę policzka, dwie ugrzęzły w gęstym futrze podgardla, pozostałe zaś poszły bokiem, odłupując po drodze okruchy skał.

Niedźwiedź zaryczał tak strasznie, że Minnetaki doznała wprost fizycznego bólu. Zdawało się jej, że ogłuchnie od tej fali dźwięków, rozsadzającej ciasne wnętrze studni. Lecz czekał ją wstrząs jeszcze okropniejszy. Oto zauważyła nagle, iż jeb zwierza przybliży się do jej twarzy. W przerażeniu najwyższym usiłowała się jeszcze cofnąć, rozplaszczając ciało na skale. Daremny trud. Głazy nie chciały się ugiąć, a paszcza niedźwiedzia ziała tuż, łyskając bielą kłów, brocząc krwią i pianą.

Minnetaki zamknęła oczy. Potrzebowała niesłychanego wysiłku, by je nawet przez chwilę zamknięte utrzymać, a przez ten czas sama sobie wymawiała uparcie zbielełymi wargami:

— To nieprawda! To nieprawda! Przecie skały mnie bronią! Przesmyk jest za ciasny! Niedźwiedź nie może tu wejść!

Postanowiła, że otworzy oczy wtenczas dopiero, gdy odzyska całkowity spokój. Nie chciała na nowo podlec halucynacji. To było zbyt straszne. Wiążąc rozproszone fragmenty myśli w logiczną całość, kombinowała spieszenie, że ostatecznie może tak wytrzymać do rana bez jedzenia i picia, a rano Rod, Wabi lub Mukoki na pewno ją odnajdą. Przyjemne to oczywiście nie jest. Chłód, głód, znużenie dotkliwie dadzą się we znaki, ale wytrzymać można. Jest chyba godzina dziesiąta, może nawet jedenasta, do świtu zatem nie tak daleko. Szkoda tylko, że strzelała niepotrzebnie. Lepiej było zachować naboje, by móc dać sygnał rankiem. Zresztą chłopcy i Mukoki przeszukają niewątpliwie każdą piędź ziemi. Byle rana doczekać. Ale że ma przygodę, to ma, zawsze przecie tęskniła do

przygód...

Serce, bijące poprzednio zwariowanym rytmem, uspokajało się z warkotu. Minnetaki, nie otwierając oczu, westchnęła głęboko pełną piersią. Senność poczynała ją ogarniać. Ciężka głowa, ześlizgując się z gładkiej skały, opadała na ramię. W myślach powstawał błogi zamęt. Niedźwiedź nie ryczał już, tylko sapał rytmicznie, tym bardziej usposabiając do snu.

Wabinosh House, ojciec, matka... To się dopiero będą dziwić, gdy im wszystko po powrocie opowie. Miała chwilę wrażenie, że jest już tam, w domu, zziębnięta i głodna po długiej zimowej wycieczce. Jakże cudownie płonie ogień na kominku, jak nęcąco dymi ze stołu gorąca kolacja. Minnetaki uśmiechnęła się przez sen. Lecz nagle wzdrygnęła się gwałtownie i w jednej chwili czujnie wyprostowana, szeroko otworzyła oczy.

Z trzaskiem i łomotem coś ciężkiego gruchnęło o podłogę skalną i potoczyło się jej do nóg. Pierwsza, niewysłowienie radosna myśl była: to chłopcy lub Mukoki odnaleźli ją i w ten sposób dają znać o sobie. Pod samymi stopami miała ciemną, wielką bryłę, której stanowczo nie było tu przedtem. Minnetaki pochyliła się szybko, by ją z bliska obejrzeć, i nagle wyprostowała się znów z krzykiem przerażenia.

Potwornej wielkości łapa, zbrojna w olbrzymie pazury, przecięła powietrze, o włos mijając jej twarz.

Minnetaki, znów przylepiona do skały, patrzyła oczyma rozszerzonymi grozą. Przyzwyczajona do ciemności, widziała wszystko wyraźnie i rozumiała — nazbyt dobrze, niestety.

Niedźwiedź póty rozbijał się w przesmyku, aż stracił głaz jakiś i oto przejście od razu stało się szersze. Co prawda grizli nie mógł jeszcze przepchać przezeń olbrzymiego cielska, lecz wsuwał już całe ramię wraz z łapą, sięgając pazurami do samej ściany niemal. Gdyby nie strącony głaz, dosięgnąłby nóg dziewczyny.

Na razie, chroniona przez tę bryłę, była jeszcze bezpieczna, lecz oto doznała wrażenia, że wielki blok kamienny przy samym wejściu chwieje się lekko. Był to olbrzymi złom, ważący chyba tonę, osadzony połową ciężaru w skalnej wnęce. Gdyby odpadł, przesmyk natychmiast poszerzyłby się dwukrotnie.

A blok chwiało się niewątpliwie, mimo że niedźwiedź, pchając od dołu, tylko karkiem o niego zawadzał. Minnetaki zo baczyła teraz przed sobą śmierć nieuchronną i bardzo bliską.

O ile nie zmiażdży jej spadający głaz, zginie pod pazurami i kłami niedźwiedzia. Nie widziała żadnej możliwości ratunku, bezbronna i zbyt zmęczona, by raz jeszcze próbować piąć się po skale w górę. Nie miała nawet sił wołać o pomoc, co by się na nic nie przydało zresztą. W głębi tej studni głos głuchł zapewne, nie docierając na powierzchnię, tak samo jak dźwięki z góry dochodziły tu tylko jako szept.

Wtenczas Minnetaki pomyślała o Bogu. Fala bezgranicznej ufności, pokory i uwielbienia zalała ją raptem tak gwałtownie, aż się zdziwiła i przelękała, że odczuwa ją teraz dopiero. Prędiutko uklękła pod skałą i zaczęła się modlić, wznosząc oczy ku niebu. W miarę jak usta szeptały znane od dziecka słodkie słowa modlitwy, spokój ogromny spływał na duszę i serce dziewczyny. Miała wrażenie, że się odrywa od ziemi, pozostawiając za sobą troski i strach wszelki...

W jakiejś chwili poczęła się bić w piersi z żarliwą pokorą, chyląc głowę w poczuciu swoich win, w głębokim zrozumieniu własnej słabości i niedoskonałości. Spływał na nią błogi spokój. Skończywszy modlitwę trwała czas dłuższy w cichym skupieniu, po czym podniosła twarz i oczy ku niebu.

Na tle jaskrawych gwiazd, ponad wykrojem górnej krawędzi skał, wyraźny, choć nieruchomy, widniał zarys głowy ludzkiej.

TAJEMNICZY WYBAWCA

Minnetaki z krzykiem porwała się na nogi. Zmęczenie opadło z niej całkowicie, jakby nie istniało nigdy. Wzniosła twarz ku górze i wyciągając ramiona jak najwyżej, zawołała radośnie:

— Rod!

Była pewna, że to on. Właśnie on, nikt inny. Nie umiałaby powiedzieć, skąd się bierze ta pewność, lecz nie wątpiła ani sekundy, że się marzenie spełnia. Gdyż teraz dopiero zdała sobie sprawę, że podświadomie od początku czekała, by Rodryg ją ocalił, tak jak ocalił dwukrotnie z rąk dzikich Woongów.

Serce jej drżało niewysłowionym szczęściem, słyszała już prawie w powietrzu szmer miłego głosu.

Niedźwiedź sapał i mruczał obok, mocując się ze skałą. W oddali niesamowicie hukała sowa.

— Rod...! — powtórzyła Minnetaki niepewnie. Człowiek bowiem w górze milczał. Przesądny jakiś strach ścisnął dziewczynę za gardło. Otrząsnęła się z niego szybko i z pewnym żalem rzuciła znowu w przestrzeń:

— Rod...!

Milczenie. Ale Minnetaki wydało się, że rozumie jukła jego powód. Na powierzchni księżyc i gwiazdy rozjaśniały mrok nocy, gdy tymczasem w dole dla patrzącego z góry panować musiała nieprzenikniona czerń. Wybawca usiłował więc najpierw dojrzeć cokolwiek. Postanowiła mu pomóc.

— Rod — zaczęła szybko — jestem w skalnej studni i nie mogę się stąd wydostać. Przejścia pilnuje niedźwiedź i... och, Rod, boję się, że tu zaraz wtargnie! Spuść mi ramię czy sznur. Trzy metry sznura wystarczy. Tylko śpiesz się... Rod! Niedźwiedź wydał naraz serię krótkich, urywanych ryków i kłapnął paszczą, aż zęby szczęknęły metalicznie. Minnetaki plecami przyłgnęła do skały jak najdalej od tych okropnych dźwięków. Krzyknęła, na pół z gniewem, na pół z rozpaczą.

— Rod, czy nie słyszysz?! Może to ty, Wabi? Mukoki, czy *to* ty? Ratunku...!

Nagle wydało się jej, że śni, że przeżywa niewypowiedziane okropny koszmar. W miejscu gdzie przed chwilą widniała głowa i bary człowieka, dojrzała łeb zwierzęcia. Na tle jasnego stropu niebios sterczało wyraźnie dwoje spiczastych uszu powyżej trójkątnego pyska. Minnetaki zatrzęsa się ze zgrozy, czując, że rozum ją odbiega. Gdzieś w komórkach mózgu błysnęła myśl, że jest już obłąkana. Bo tylko w obłądnie zdarzają się podobne rzeczy. Wilkołak! Nie wierzyła nigdy w te bajdy, dobre dla ludzi nieokrzesanych i dla małych dzieci. A jednak oto ma go przed sobą. Przybył na jej krzyk, żeby być świadkiem agonii, jak to zwykle czynią wilkołaki.

Ogarnęło ją takie znużenie, taka apatia, że zwiesiła ręce, przymknęła oczy i najzupełniej obojętnie pomyślała o śmierci. Wtem drgnęła i raz jeszcze wyprostowana czujnie, spojrzała ku górze. Serce przestało jej bić, wstrzymała oddech; w ogromnej ciszy zleciało w dół pytanie:

— Czy żyjesz jeszcze? — mówił głos ludzki. Niedźwiedź sapnął, jak wzdycha nieraz człowiek przed większym wysiłkiem, i widać mocniej naparł na skałę, gdyż oto oderwało się od niej parę drobnych kamieni i z suchym traskiem stoczyły się dziewczynie do stóp. Wtenczas Minnetaki zapomniała o wilkołaku oraz o tym, że głos nie należy stanowczo ani do Roda, ani do Mukiego, ani do Wabigoona. Starając się wyraźnie wymawiać słowa, rzekła spieszenie:

— Żyję. Ale prędko pomóż mi się stąd wydostać. Prędko...!

— Rzucę ci rzemień — odparł nieznajomy. — Uważaj! Ponad sylwetką ludzką — zarys zwierzęcego łba zmienił się znów dziwnym sposobem w kontur człowieka głowę — za kołował wąż rzemienny i miękko spłynął w dół skalnej ściany. Minnetaki, oparta piersią o spadzisty mur, zagarnęła powietrze rękoma. Sądziła, iż od razu pochwyci zbawczą linę, lecz zawiodła się srode. Coś ją w sercu ukłuło boleśnie, ale nie poddając się panice, gorączkowo szukała dalej. Sądząc z położenia człowieka na górze, rzemień winien był opaść wprost nad nią. Wspinając się na palce, wodziła rękoma po skale coraz wyżej, a jednocześnie wyteżała wzrok aż do bólu. Nic, wciąż nic. I nagle dojrzała luźny koniec, zwisający o dobre pół metra powyżej jej chciwych palców.

Próbowała się wspiąć do rzemienia, lecz nie mogła znaleźć na ścianie punktów oparcia. Nogi ześlizgiwały się jej z wnek nazbyt płytkich, skała kruszyła się pod ręką. Kilkakrotnie ponawiała próby. Wreszcie zastygła bez ruchu, dysząc ciężko.

— Nie możesz znaleźć? — pytał głos.

— Nie. To jest mogę, ale za wysoko. Nie dostaję. Trzeba niżej...

Wpatrzona w zbawczą linę, ciągnęła ją, zda się, wzrokiem w dół, jak magnes ciągnie żelazo. Lina istotnie poczęła się wydłużać, spleść bliżej do kurczowo rozchyłonych rąk. Pięć centymetrów.

Dziesięć. Za mało! Och, wciąż jeszcze za mało...! Ale lina kołysała się już tylko w powietrzu, zachowując jednak poziom.

— Łap teraz!

— Nie mogę! — odjęknęła Minnetaki żałośnie. — Jeszcze za wysoko!

Cisza, która zapadła obecnie, wydała się jej długa niesamowicie. Czowała szum w uszach, młoty w skroniach i taki zawrót głowy, że całe wnętrze studni zdało się kołować i zataczać. Wtem głos z góry zabrzmiał miarowy i wyraźny:

— Słuchaj. Dłuższego rzemienia nie mam. Co wolisz? Mogę pójść poszukać innego, ale to potrwa dziesięć minut co najmniej, może piętnaście. Mogę też spróbować wystraszyć niedźwiedzia albo zastrzelić, ale w dole jest bardzo ciemno, i nie widzę nic. A może ty możesz wspiąć się na co...?

— Mogę!

Mogła istotnie, jakkolwiek połączone to było z ogromnym ryzykiem. Wyboru jednak brakło. O tym, by pozwolić nieznajomemu odejść i pozostać znów samej w tej okropnej pułapce — nie chciała nawet myśleć. To by było wyjście najgorsze. Rozumiała też doskonale, że strzał z góry i na ślepo cudem chyba tylko położy niedźwiedzia trupem, z pewnością zaś rozjuszy go bardziej jeszcze, nawet gdyby go ranił niebezpiecznie. Mogła także prosić o rzucenie jej fuzji i naboji i sama spróbować zabić grizli. Lecz nie była wcale pewna, czy potrafi celować należycie. Zresztą nawet w agonii groźny potwór zdoła jeszcze sforsować przejście. Najcelniejszy nawet strzał z odległości pół metra do niedźwiedzia grizli skończyć się musi zarówno śmiercią zwierzyny, jak i śmiercią łowcy.

— Mogę! — powtórzyła Minnetaki. — Przesuń tylko trochę rzemień w prawo i trzymaj mocno... Już!

Oczyma nawykłymi do ciemności rozróżniała jaśniejszą od skał smugę rzemienia, kołyszącą się na tle czarnego muru. Zmierzyła wzrokiem odległość, odetchnęła głęboko i szybko uczyniła cna piersi znak krzyża, niby akrobata przed trudnym występem. Po czym jednym susem stanęła na głazie, zwalonym przez niedźwiedzia na dno studni.

Ratunek lub śmierć zależały obecnie od tego, kto będzie szybszy. Czy niedźwiedź, mający ją teraz na długość ramienia, pierwszy uderzy strasznymi pazurami, czy też ona zdąży wcześniej uchwycić linę i wspiąć się na skałę. Rozumiała, że tu każdy ułamek sekundy ma znaczenie decydujące, toteż usiłowała nie widzieć nic i nie myśleć o niczym poza celem głównym i jedynym, by nie rozpraszać sił i energii.

Ledwie stopami dotknęła głazu, już ręce wyciągnęła po linę. Była pewna, że uchwyci ją od razu, tymczasem w pomieszczeniu i ciemności źle obliczyła odległość. Chciwe palce zamiast zagarnąć rzemień, odtrąciły go tylko. Truchlejąc Minnetaki ponowiła próbę, lecz i tym razem z powodzeniem zaledwie połowicznym. Lewa ręka złowiła próżnię, prawa natomiast pochwyciła rzemień tuż nad zadzierzgniętym na końcu węzłem.

Jednocześnie ryk niedźwiedzia zadudnił jak grom w ciasnym przejściu. Głaz w przesmyku drgnął, zakolebał się i zwałił w dół z przerażającym hukiem. Lawina okruchów wszelakich, kamieni, żwiru posypała się zewsząd. Tuman kurzu zatamował dziewczynie oddech i oślepił oczy. Lecz w ostatniej ćwierci sekundy Minnetaki zdołała się oderwać od ziemi i oto kołysała się w próżni, jedną ręką ucepiona trzeszczącej liny.

Rozbujany rzemień to oddalał ją nieco od ściany skalnej, to znów trochę przybliżał. W jakiejś chwili lewą ręką uchwyciła twardą krawędź. Nogami zmacała drobną wnękę. W tej pozycji wypoczęła przez mgnienie, nabierając tchu. Potem zaczęła się piąć w górę, rękoma chwytając linę coraz wyżej, a nogami odszukując wyłobienia i wypukłości. Siły ją opuszczały, krew waliła w skroniach, ale zaciskając zęby, mówiła sobie: Jeszcze sekunda, jeszcze tylko trochę...! Uczuła wreszcie, jak ją czyjaś dłoń chwyta za ramię, szarpnęła się ku górze, uklękła na zrębie i zwałiła na równą ziemię twarzą naprzód.

Nie zemdląła właściwie, tylko czas jakiś nie mogła głosu z siebie dobyć ani wykonać jakiegokolwiek ruchu. Nawet powieki leżały na oczach ciężko niby ołowiane bryłki. Słyszała natomiast i czuła wszystko. W dole dudnił głucho chrapliwy ryk niedźwiedzia, niby grzmot podziemny. A tuż obok ktoś się krzątał — jedna osoba czy może dwie. Chrzęściły kroki. Silne ręce ujęły Minnetaki za ramiona i obróciły na wznak. Potem wiązka trawy mokrej od rosy przejechała jej po twarzy i skroniach. Westchnęła i otworzyła oczy.

Nad sobą bardzo wysoko miała wyzłocony gwiazdami strop nieba oraz księżyc żeglujący wśród bladych obłoczków. Na razie nie dojrzała nic więcej. Lecz oto ktoś się nad nią pochylił, jakaś głowa, wyrastająca z wąskich, smukłych ramion. Minnetaki wpatrywała się uważnie. Nie był to Rod ani Mukoki, ani Wabi — jakkolwiek obcy najbardziej jeszcze przypominał Wabiego. Zbawcą był młody Indianin, nieznanemu zupełnie.

Widząc, że Minnetaki otwiera oczy, Indianin uśmiechnął się.

— Czy jesteś ranna? — spytał.

Minnetaki uczyniła nad sobą pewien wysiłek, by odpowiedzieć wreszcie:

— Nie A po chwili, opanowana już całkowicie, dodała:

— Nic mi nie jest, zupełnie nic. Zaraz wstanę.

Na razie jednak siadła tylko, a siadłszy drgnęła mimo woli, W pobliżu na ziemi białął jakiś wydłużony kształt — niewątpliwie przyczajone zwierzę. Idąc za jej wzrokiem obcy wyjaśnił:

— To mój pies, Snow.

Na dźwięk swego imienia pies wstał i przeciągnął się, przy czym Minnetaki mogła do woli podziwiać jego ogrom. Był wzrostu dobrego cielaka i tym do cielaka podobniejszy, że sierść miał białą w ciemne łaty. I pod innymi względami zresztą mało przypominał wilka, do którego wszystkie kundły indiańskie są z reguły zbliżone. Był cięższej budowy, łeb miał masywniejszy i tylko spiczaste uszy oraz kudłate futro świadczyły o odległym pokrewieństwie z burą bracią leśną. Minnetaki, miłośniczka zwierząt w ogóle, a psów w szczególności, zapatrzyła się na niezwyklego czworonoga, lecz przeszkodził jej głos nieznanego wybawcy.

— Jeśli możesz iść, to chodźmy.

— Dokąd? — spytała dziewczyna wstając.

— Do mnie.

— Do wsi?

— Nie. Do mojego domu. Mieszkam tutaj sam. Niedaleko. Minnetaki zawahała się sekundę. Z własnego doświadczenia i z opowiadań chłopców wiedziała, ilu łotrzyków rozlicznych lub niebezpiecznych półgłówków wałęsało się po puszcach kanadyjskich. Z drugiej jednak strony, większość mieszkańców leśnych stanowią ludzie co prawda prości, lecz z tej prostoty właśnie czerpiący ogromną uczciwość i czystość obyczajów. Obecnego swego wybawcę mogła zaliczyć raczej do tych ostatnich, tym bardziej iż tak szlachetnie przyszedł jej z pomocą. Nie miała zresztą wyboru. Jeśli młody Indianin knuł złe zamysły, mógł je w czyn wprowadzić tu czy gdzie indziej. Był oczywiście silniejszy, niewątpliwie dobrze uzbrojony, a w swym wielkim psie posiadał strasznego sprzymierzeńca.

— Użyczysz mi gościny na noc, a rano wrócę do swego obozu — rzekła Minnetaki w formie twierdzenia raczej niż pytania.

Mężczyzna odwiązywał właśnie linę od pnia drzewa rosnącego tuż nad urwiskiem. Opasując się rzemieniem spojrzął ku dziewczynie przez ramię.

— A... mogłem się domyślić! Nie jesteś tutaj sama..

— Oczywiście, że nie! Jest nas pięcioro. Dwie kobiety i trzech mężczyzn.

Zamierzała początkowo podwoić liczbę mężczyzn dla wywołania większego efektu, lecz tak dalece nie przywykła do kłamstwa, że prawda mimo chęci sama wymknęła się jej z ust. Indianin odwrócił się zupełnie, przybliżył i spytał, ni to z obawą, ni to z niechęcią.

— Mieszkacie tu stale? Chyba przybyliście niedawno? Nie spotykałem w tych stronach tropów ludzkich...

— Przybyliśmy wczoraj... No tak, wczoraj, bo jest już zapewne po północy. Jesteśmy przejazdem. Za parę dni ruszamy dalej.

— Tak? Dobrze!

To był jedyny z jego strony komentarz, lecz Minnetaki wyczuła instynktownie, że jest rad, iż obecność ich ma być tylko przejściowa. Najwidoczniej zresztą nie grzeszył ciekawością lub też było mu naprawdę obojętne, kim są przybysze i skąd, pochodzą. Podjął z ziemi fuzję, po czym nachylił się nad zrębem skalnej studni. Z dołu nie dolatywał już żaden głos. Cisza panowała kompletna.

Indianin zachichotał cichutko.

— Mądry miś! — rzekł z uznaniem. — Zrozumiał, że nic nie wskóra, i poszedł sobie.

— To była niedźwiedzica grizli z małymi.

— Dobrze w takim razie, że nie strzelałem. Ale chodźmy i my.

Ruszył przodem, bardzo zręcznie obierając drogę w rumowisku skał. Minnetaki, obdarzona świetnym wzrokiem, nocą widząca jak ryś, dotrzymywała mu kroku bez trudu. Księżyc stwarzał co prawda rozliczne przeszkody, kładąc czarne cienie na kształt głębokich wyrw w miejscach zupełnie gładkich, to znów przerzucając eteryczne mosty świetlne przez węzowiska rozpadlin. Lecz ci dwoje instynktem odróżniali rzeczywistość od złudy. Wprawne ich stopy, którym miękkie mokasy nie odejmowały nic z wrodzonej ruchliwości, lgnęły do najbardziej urwistych stromizn, by w chwilę potem balansować ze zręcznością stóp akrobata na ostrych czubach głazów. Czasem trafiał się kawał gładkiej ścieżki i tu Minnetaki odpoczywała nieco. Podniecenie nerwów na razie zabiło w niej zmęczenie, teraz wszakże zaczynała odczuwać coraz silniej sztywną obolałość członków. Coraz trudniej było jej utrzymać nadane przez przewodnika tempo. Lecz właśnie gdy zamierzała spytać: „Czy daleko jeszcze?” — pies, idący dotychczas na samym końcu, minął ją ciężkim cwałem i zginął w mroku na przedzie. Indianin zaś odwrócił się i czyniąc dłonią nieokreślony gest, rzekł:

— Jesteśmy w domu.

Minnetaki na razie poczytała to za kpiny. Dzięki księżycowej jasności wzrok obejmował spory szmat kraju, a wszędzie widziała jedynie głązy większe i mniejsze oraz spadziste stoki skał. Przewodnik poprawił fuzję na ramieniu i pomagając sobie rękoma, wspiął się na małą platformę. Minnetaki, goniąc ostatkiem sił, poszła za jego przykładem. Czuła dobrze, że ostra krawędź skały rozdziera jej ubranie, lecz nie zwróciła na to uwagi. Doprawdy mało dbała, gdyby nawet jaki strzęp został po drodze.

Oparta plecami o skały, dyszała chwilę ciężko, gdy zaś obejrzała się wkoło, ogarnęło ją zdumienie. Była sama. Indianin znikł. Patrzyła bezradnie, nic nie rozumiejąc, lecz nagle wynurzył się tuż obok i wziął ją za rękę.

— Chodź! — rzekł.

Pociągnął ją ku wąskiej szczyrbie, pionowo rozłupującej na dwoje garb górski. Kroczyła posłusznie. Wszedł pierwszy, ona za nim. Ogarnęła ich zupełna ciemność. Sunęli czymś na kształt podziemnego korytarza, w czerni tak zupełnej, że Minnetaki skłonna była prawie wierzyć, iż raptem postradała wzrok. Nagle Indianin stanął. Wyczuła to nerwami, więc stanęła również. Coś zaszeleściło na przedzie, coś skrzypnęło i światło, słabe na razie, lecz potem coraz silniejsze, uderzyło od przodu, z wolna rozplływając się na boki.

Minnetaki na sekundę zmrużyła oczy, ale otworzyła je znowu szeroko. Znajdowała się u wejścia do jaskini, urządzonej jak izba mieszkalna. Przewodnik stąpił już przez próg otwartych drzwi drewnianych, więc machinalnie poszła za jego przykładem. Po czym, stojąc rozglądała się ciekawie. Jaskinia była obszerna, wysoka i widna, gdyż oświetlał ją ogień, buzujący w głębi. Bazaltowe ściany, krwawo lśniące w refleksach ogniska, podpierały harmonijny łuk sklepienia. Na ścianach wisiała broń europejska i indiańska: parę pięknych strzelb, rewolwery w pochwach, pasy z nabojami, łuki ciężkie i lżejsze, kołczany pełne pierzastych strzał, dzidy, noże, tomahawki, a nawet parę harpunów eskimoskich. Podłogę, wysypaną drobnym piaskiem, pokrywały tu i ówdzie rzucone skóry: niedźwiedzie, rysie, wilcze. Łaciaty Snow leżał na jednej z nich i — nie wiadomo ze zmęczenia czy uciechy — ział szeroko otwartym pyskiem.

— Co wolisz najpierw: jeść czy spać?

Minnetaki odwróciła się. Indianin stał pod ścianą w pełnym blasku ognia, obserwując ją z uśmiechem. Przy dobrym oświetleniu mogła go dokładnie obejrzeć. Był bardzo młody, w każdym razie poniżej dwudziestki, i uderzająco piękny. Zwłaszcza oczy miał cudne, ogromne, świecące, obrzeżone rzęsami bajecznej długości. Niskie czoło przecinały wąskie łuki czarnych brwi. Szczupłe policzki zbiegały ku pąsowym ustom, rozchylonym nad olśniewającą bielą zębów. Gładka, młodzieńcza broda miała czysty, choć silny zarys. Kolumna szyi miedzianej wrastała pięknie w smukłe, dziewczęce niemal barki; gibki stan przechodził w długą linię suchych, nerwowych nóg. Nosił zwykły strój indiański: spodnie i kurtę ze skóry jeleniej, zdobne na szwach haftem krzyżkowym i barwną frędzlą. W kruczych włosach, spiętych na ciemieniu w lśniący węzeł, tkwiły dwa orle pióra.

Z rękami splecionymi na piersi, z uśmiechem na pół drwiącym pytał:

— Co wolisz, jeść czy spać?

— Spać — odpowiedziała Minnetaki skwapliwie. Sama myśl, że będzie się mogła wyciągnąć i przytulić głowę do jednej z tych miękkich skór na ziemi, wywołała w niej takie znużenie, iż ledwo potrafiła ustać na nogach. Oczy jej się lepily. Coś tam w głębi mózgu przestrzegało co prawda, że lepiej czuwać, że spać nie jest bezpiecznie, ale senność tłumiała głos rozsądku.

Indianin wziął parę skór i w pobliżu ognia pod ścianą wymościł coś na kształt postania.

Minnetaki uśmiechnęła się do niego uśmiechem rozbrajająco naiwnym.

— Ja tylko na chwileczkę. Tylko się trochę zdrzemnę... — rzekła słabo. Lecz ledwo wyciągnęła na posłaniu wyczerpane ciało, ledwo wtuliła głowę w futra, zapadła natychmiast w głęboki, kamienny sen.

BATISI

Obudziła się przerażona i gwałtownie usiadła na pościeli, wodząc wkoło nieprzytomnym wzrokiem. Śniła, że ściga ją niedźwiedź i że ona, mając nogi ciężkie jak z ołowiu, nie może uniknąć przed rozjuszoną bestią. I teraz jeszcze serce tak gwałtownie łomotało jej w piersi, że musiała dłonią tłumić jego bicie. Tymczasem przyglądała się otoczeniu, nie bardzo rozumiejąc, gdzie jest. Czarne, błyszczące ściany, rozwieszona na ścianach broń, skóry... Wabinosh House? Nie, co znowu! Namiot...? Także nie! Ach tak, pieczara i tajemniczy wybawca...

Rozejrzała się uważniej. Przed ogniem płonącym w skalnej kotlinie dostrzegła postać młodzieńca. Klęczał zwrócony do niej plecami. Olbrzymie psisko warowało obok.

Minnetaki przeciągnęła się ze snu i omal nie krzyknęła, tak bardzo zabolęły ją ścięgna i kości. Z przyjemnością opadłaby znów na miękkie pościel, lecz wstyd jej było tak się pieścić. Czowała zresztą, że musi już być późno, gdy zaś uprzytomniła sobie, jak bardzo chłopcy muszą się o nią niepokoić, zerwała się od razu na równe nogi.

Na szmer, jaki sprawiła wstając, pies warknął i odwrócił się; Indianin odwrócił się również. Chwilę trwał milcząc, z dłonią opartą na łbie potężnego zwierzęcia. Płomienie oświetlały go z tyłu uroczo i fantastycznie. Uśmiechnął się. Minnetaki uświadomiła sobie nagle, że jak na Indianina chłopak uśmiecha się dziwnie często.

— Wyspałaś się już? — I znów Minnetaki zauważyła, że głos ma bajecznie dźwięczny i miękki. — Może teraz zjemy śniadanie?

— Z przyjemnością. Jestem strasznie głodna!

— Doskonale! Ale może chcesz się przedtem umyć? Trochę się uwalęłaś wczoraj.

Śmiał się oczyma i ustami. Minnetaki również parsknęła śmiechem, choć równocześnie ciemny rumieniec zalał jej policzki i spłynął aż na szyję. Poczynając od stóp, odzież jej stanowiła obraz nędzy i rozpacz. Z mokasynów pozostały strzępy, dziwnym trafem tylko trzymające się jakoś kupy. Żałosne frędzle spódniczki ledwo osłaniały kolana. Przez ogromną dziurę na łokciu przeglądało nagie ciało. Ręce pokrywała skorupa kurzu i skrzepłej krwi. Skołtunione warkocz pełne były szpilek sosnowych, mchu, drzazg, suchych liści, okruchów wszelkich, jak zimowa sierść niedźwiedzia. Jeśli twarz czystością nie różniła się od reszty, musiała doprawdy wyglądać jak nieboskie stworzenie.

— Tak przecie jeść nie mogę! — rzekła Minnetaki nadąsana.

— To się umyj i przebierz. Chodź ze mną.

Zaprowadził ją w kąć pieczary i wskazał dużą misę z nie palonej gliny, stojącą w ciosanym pniaku.

Obok stała drewniana konew, pełna wody. We wnęce skalnej leżał grzebień i kawał mydła, na kołku wisiał ręcznik. Była to tandeta masowo sprowadzana do faktorii, a dostarczana tuziemcom w zamian za cenne futra. Minnetaki widywała w Wabinosh House stosy podobnych towarów, toteż nie sam ich widok ją zdziwił. Co innego było tu zdumiewające. Indianie bowiem na ogół czystością nie grzeszą, a jeśli się już myją, to przypadkowo, nad strugą czy jeziorkiem, których nie brak w tej lesistej okolicy. O tym, by mężczyzna posiadał w wigwamie miednicę, Minnetaki nie słyszała nigdy. Co innego kobiety. Te utrzymują ciało we względnej czystości z przyczyn kosmetycznych. Lecz nieznamy twierdził przecie, że sam zamieszkuje jaskinię.

Dumała jeszcze nad tą kwestią, gdy Indianin, który przed chwilą oddalił się nieco, wrócił,

wtykając jej coś do rąk.

— Masz; Umyj się i ubierz.

Minnetaki spojrzała na trzymane w rękach rzeczy i ogarnęło ją takie zdumienie, że zaniemówiła w pierwszej chwili. Wreszcie wyjąkała z trudem:

— Ależ to... to są kobiece suknie!

— I cóż stąd?

Indianin rzucił te słowa sucho, krótko; od czasu gdy się spotkali, nie słyszała z jego ust tak twardego tonu. Spojrzała niepewnie. Oczy miał zwięzione, ściągnięte brwi i na ustach wyraz niechęci. Zorientowała się szybko, iż sprawy nie należy pogłębiać. Zmieszana, niezręcznie przeszła na inny temat:

— Dziękuję. Umyję się i przebiorę z przyjemnością. Tylko... tylko...

— Tylko co?

Patrzył już na nią spode łba, jak wilk. Na sekundę Minnetaki doznała uczucia strachu. Lecz wnet hardo odrzuciła w tył głowę i oświadczyła dumnie:

— Ale jeżeli mam się przebrać i umyć, to ty stąd wyjdź!

Indianin spoglądał na nią chwilę, jakby nie rozumiejąc. Wyraz osłupienia przemknął mu po twarzy.

Potem w oczach błysnęła wesołość. Minnetaki doznała wrażenia, że obcy parsknie głośnym śmiechem. Pohamował się jednak i rzekł z dobroduszną ironią:

— Ach tak, rozumiem. Wyjdę, oczywiście. I Snow wyjdzie także. Prawda, Snow? Bo my zawsze chadzamy razem.

Skierował się ku wyjściu. Odchodząc rzucił jeszcze przez ramię:

— Bądź zupełnie spokojna. Wrócę nie tak zaraz. Masz czas.

Minnetaki ścigała go wzrokiem. Otworzył drzwi — prostokąt z desek zawieszony na pętlach z witek wierzbowych — i znikł w ciemnym przejściu. Drzwi zamknęły się za nim. Wtenczas Minnetaki wyciągnęła przed siebie ręce z odzieżą i raz jeszcze przyjrzała się jej bacznie. Były to niewątpliwie suknie kobiece, a raczej dziewczęce, z miękkiej skórki sarniej, pracowicie zdobione frędzlą i haftem. Również pończochy skórzane i drobne mokasyny pasować mogły jedynie do kobiecych nóg. Wszystko było nowe, czyste, na sposób krajowy wytworne. Minnetaki dumiała chwilę, kręcąc głową. Lecz naraz wzruszyła ramionami. W gruncie rzeczy cóż ją to mogło obchodzić? Na razie trzeba się było umyć, przebrać i co prędzej odnaleźć obóz. Jakże się tam chłopcy muszą niepokoić...!

Gorączkowo zrzuciła brudną odzież, nurzając twarz i ręce w chłodnej wodzie. Cóż to była za rozkosz! Pluskała się jeszcze i jeszcze, sama się do siebie śmiejąc. Potem wdziała świeże suknie, a rozczesawszy włosy, splotła je na nowo. Odświeżona, radosna, spojrzała na drzwi były na glucho zaparte. Zbliżywszy się pociągnęła je do siebie. Otworzyły się, skrzypiąc i chrzęszcząc na wiklinowych zawiasach. W korytarzu panował półmrok, gdyż z jednej strony zaglądał doń teraz blask płonącego w jaskini ognia, z drugiej — wpadało białe światło dzienne. Minnetaki minęła szczelinę i stanęła olśniona.

Roztaczał się przed nią najpiękniejszy w świecie krajobraz. Skalne zbocze zstępowało w dół ku szmaragdowej dolinie, to w stromych bazaltowych skarpach, czarnych niby lawa, to w rudych złomach piaskowca, to znów w siwych, żyłkowanych bryłach granitu. Tu i ówdzie samotna sosna, wykrzywiona męczeńsko, sprawiała wrażenie zastygłego na wietrze płomienia o brunatnoczerwonych refleksach. Gałęzie, przyodziane w skąpą szatę ciemnych igieł, falowały w powietrzu niby dym. Daleko w dole rzeczulka snuła modre pasmo przez zielone skrawki łąki i złote plamy wydm piaszczystych. A za rzeczką stał bór, stalowosiny, podparty u skraju srebrną kolumnadą brzoź.

Jaskrawe słońce na błękitnym stropie nieba podkreślało przepych barw, stapiając je jednocześnie w harmonijną całość.

— Prawda, jakie to piękne? — szepnął tuż obok melodyjny głos Indianina. Jednocześnie Minnetaki uczuła, że mężczyzna ujmuje ją za rękę i ściska mocno. Bezwiednie zwróciła uścisk. Indianin wyciągnął wolne ramię i zakreślił nim łuk w powietrzu.

— Myślę — rzekł — że Stwórca umiłował tę ziemię nad wszystkie inne...

— O, tak — nabożnie szepnęła Minnetaki.

Trwali chwilę milcząc, ramię przy ramieniu. Biały Snow przywałęsał się skądś i siadłszy u nóg pana, ziewnął rozgłośnie. Indianin poklepał psa po szerokim łbie.

— Głodnyś, biedaku? Racja. Późno już. Chodźmy na śniadanie.

Minnetaki oprzytomniała od razu, jakby kto z niej urok zdjął. Prędko, niezręcznie wysunęła rękę z dłoni mężczyzny. Śpiesznie zaczęła się tłumaczyć.

— Muszę już iść. Jest strasznie późno. Niepokoją się o mnie w obozie. Wyobrażam sobie, jak się niepokoją. Tylko ci jeszcze podziękuję za nocleg i za to, żeś mnie uratował wczoraj...

— Drobiazg! — wzruszył ramionami Indianin. — Zresztą, to raczej Snow zasługuje na podziękowanie. Wracaliśmy razem, kiedy nagle zaczął warczeć i rzucać się w tamtą stronę. Snow nienawidzi niedźwiedzi. Bo miałem kiedyś dwa psy i tego drugiego, z którym Snow był w wielkiej przyjaźni, niedźwiedź pożarł. Snow także wtenczas dostał. O, patrz, jeszcze ma ślad na żebrach...

Kucnął obok psa i rozgarnąwszy białe kudły, obnażył wielką, siną bliznę o sfałdowanych brzegach.

Minnetaki kucnęła również i bez obawy pogładziła olbrzymi łeb.

— Biedny Snow, mądry Snow! — szepnęła czule. — Jak ci mam podziękować, kochanie. Mogę ci dać śliczną obrozę, ale pewno wolisz się obejść bez takiego prezentu?

Pies sapnął i nim się spostrzegła przejechał jej po twarzy szkarłatnym ozorem. Minnetaki porwała się z ziemi i ze śmiechem ocierała rękawem wilgotny policzek.

Stojąc obok Indianin śmiał się również.

— Lubisz zwierzęta? — pytał.

— Strasznie!

— I ja też. Bardziej niż ludzi. Ale chodź, to ci coś ciekawego pokażę!

Ujął ją znów za rękę i ciągnął w stronę jaskini. Stawiła lekki opór.

— Muszę wracać do obozu. Już późno. Ale on tylko ramionami wzruszył.

— Głupstwo. Musisz najpierw zjeść, bo zemdlejesz w drodze. Ani mili nie ujdiesz na czczo.

Ten ostatni argument przekonał dziewczynę. Rzeczywiście, nie jadła od dwudziestu czterech godzin prawie, toteż czuła taki głód, że się jej chwilami robiło słabo. Postanowiła więc tylko, że się pośpieszy, tak by za pół godziny najdalej wyruszyć w powrotną drogę.

Gdy wrócili do jaskini, Indianin zakrzętał się zrećznie. Wyciągnął z kąta parę stołków i umieścił je w pełnym blasku ognia. Na największym ustawił posiłek: zimną pieczeń jelenią, miód leśny, świeże placki i kawę. Na ten widok Minnetaki uczuła taką czczość, że rzuciła się wprost na jedzenie i długą chwilę żuła i przełykała w milczeniu. Nasyciwszy pierwszy głód, odetchnęła i wyznała ze wstydem:

— Straszny żarłok ze mnie. Ale taka byłam głodna! Indianin rzucił właśnie psu kawał mięsa. Rzekł:

— A teraz pokażę ci coś ciekawego. Tylko trzeba najpierw przygasić ogień. On lęka się światła. Gdy będzie zbyt jasno, nie przyjdzie.

Widząc zaś zdziwiony i trochę niepewny wzrok Minnetaki, dodał:

— Nie bój się, to nie duch.

Zbliżył się do ognia i długim kijem zwałił umiejętnie spiętrzone polana. Buchnęły słupem iskier, lecz płomień przygasł w istocie, a w jaskini zapanował lekki półmrok. Wtenczas Indianin zadarł głowę, przytknął do ust obie dłonie, złożone w muszlę, i wydał dziwny dźwięk podobny do hukania, zakończony chrapliwą, syczącą nutą. Odpowiedziała mu cisza. Wyczekał chwilę i znów powtórzył hasło. Spod stropu doleciał metaliczny chrzęst. Minnetaki, z wytężeniem wodząca wzrokiem po powale, dojrzała nagle, jak od czarnego tła odrywa się jakiś kształt białawy i lekko kołując spływa w dół. Mimo woli strach ją przeszył, lecz ani drgnęła, a w chwili następnej uśmiechnęła się bezgłośnie, wzdychając jednocześnie z ulgą. To, co poczytała za widmo, było tylko olbrzymią sową śnieżną. Ptak opadł na ziemię i znieruchomiał, obracając jedynie głowę urywanymi ruchami. Białe było zupełnie, potwornie wielki, a ślepia, krągłe, ogromne, miały barwę najczystszej złota. Wodził nimi po ścianach i ludziach; raptem zasyczał niby gadzina i zachrząścił twardym dziobem.

— Gniewa się na ciebie — rzekł Indianin. — Jest zły i dziki. Nie cierpi obcych. Nie tak jak Snow, który gotów do— każdego się łąsić. Wooto uznaje tylko mnie. Ale mnie lubi bardzo. Patrz!

Zbliżył się i ukląkł obok ptaka. Wyciągając rękę, zaszeptał pieszczotliwie: — Wooto... Wooto... — Sowa tkwiła nieruchomo, tylko pióra jeżyły się jej zewsząd, tak że przypominała wielką, puszystą kulę. Bursztynowe oczy, okrągłe zupełnie, sprawiały wrażenie dwu jarzących słońc.

— Wooto! — powtórzył Indianin z akcentem surowej nagany.

Ptak przekrzywił łeb, zerknął bokiem i nagle, uderzając powietrze skrzydłami, ni to podskoczył, ni to podfrunął, by opaść miękko na rękę człowieka. Tu, siadłszy niby na gałęzi, zaczął sunąć wyżej, ostrożnie przestawiając straszliwe szpony. Wreszcie znalazł się tuż przy twarzy Indianina. Wtenczas zakwilił i puszystą głowę otarł o śniady policzek.

— Wooto... Wooto... — szeptał Indianin, przygarniając ptaka bliżej. Dłonią gładził nasrożone pióra, a sowa kołysała się rytmicznie, przestępując z nogi na nogę i wydając chrapliwe okrzyki. Wtem załopotana skrzydłami, ujmując piękną miedzianą głowę w śnieżny, pierzasty wir. Człowiek roześmiał się cichutko.

— Dosyć, Wooto. Już dosyć! W twoim wieku tak silne wzruszenia nie są dobre. Puść mnie, dam ci jeść.

Lekko strącił ptaka z ramienia. Sowa sfrunęła na ziemię i jęła się przechadzać po podłodze. Indianin wydobył z kryjówki w ścianie płat surowego mięsa, po czym wziął skórkę króliczą leżącą w kącie i owinał w nią czerwony ochłap.

— Gdy Wooto był młody — rzekł zwracając się do Minnetaki — lubił zabijać. Padlinę jadł tylko w ostateczności. Jeśli teraz dostanie mięso z piórami albo turzycą, wierzy, że sam odprawia łowy.

Cisnął ptakowi zwitek. Sowa wolno cofnęła się pod ścianę, idąc tyłem niby rak. Oczy jej świeciły w ciemności; nie spuszczała wzroku z rzekomej zwierzyny. Na mgnienie zastygła w bezruchu. Zdała się rosnać, podwajając swą objętość, tak gwałtownie jeżyła pióra. Nagle milczkiem, szalonym susem wpadła na zdobycz.

Przygwoździła ją od razu *do* ziemi straszliwymi pazurami, dziób, na kształt maczugi, uderzył z góry w omotane futrem mięso. Kracząc nerwowo, kłua urojony łeb ofiary, szukając mózgu, rozkoszując się krwią i mordem. Mocno rozstawiając nogi, podskakiwała dziwacznie, jak gdyby w rytmie drgawek czyjejś agonii. Olbrzymie skrzydła łopotwały ogłuszająco, biły ziemię i powietrze, a dziób kłua wciąż niestrudzenie, dobierając się do jądra życia. Lecz z wolna ruchy stawały się coraz płynniejsze, spokojniejsze. Skrzydła uderzyły jeszcze parę razy i opadły miękko wzdłuż ciała. Najwidoczniej zdobycz przestała stawiać opór szponom.

Sowa znieruchomiała chwilę, wypoczywając po dokonanym wysiłku. Potem żarłocznie jęła

rwać turzycę i dobierać się do czerwonego mięsa.

Minnetaki z westchnieniem przesunęła ręką po oczach. Była tak wstrząśnięta, jakby naprawdę oglądała jedną z tragedii puszczy. Gdy usiedli znów na ziemi przed ogniskiem, płonącym coraz jaskrawiej, Indianin rzekł:

— Wooto jest u mnie już od paru lat. Znalazłem go raz w lesie rannego i wyleczyłem. Z początku wracał do jaskini tylko na dzień, a nocami sam szukał zdobyczy. Lecz teraz jest już za stary, więc go karmię. Lubi mnie bardzo. Gdy raz musiałem odejść na dłużej, nie ruszył jedzenia, a po powrocie znalazłem go na ziemi w kącie, konającego z głodu. Teraz muszę się nim opiekować jak dzieckiem. Jest ogromny, a taki bezradny jak ta biedna kaczka...

— Co za kaczka? — zapytała Minnetaki ciekawie.

— Ach, prawda, ty o niczym nie wiesz! Jest tu w okolicy taka jedna kaczka, która ma straszny kłopot, więc pilnuję, żeby jej pomóc w odpowiedniej chwili. Wybieram się do niej znów tymi dniami. Jeśli chcesz, możesz pójść ze mną.

— Z przyjemnością. To będzie ogromnie ciekawe. A kiedy? — Bo my tu zabawimy jeszcze parę dni najwyżej.

Podniósł brwi zdziwiony, po czym skinął głową.

— Ach, prawda, toż ty nie jesteś sama. No więc jutro.

— Dobrze. Jutro. A teraz muszę już iść. Dziękuję ci za gościnę, za ratunek i za wszystko. A na imię mi... Minnetaki.

— A mnie... Batisi.

Stali teraz oboje. Minnetaki twarzą do otwartych drzwi, on zwrócony do nich bokiem. Dziewczyna nieśmiało wyciągnęła rękę.

— Do widzenia, Batisi. Myślę, że zobaczymy się nieraz. Musisz mnie kiedy odwiedzić. Mój ojciec, agent z Wabinosh House, będzie ci rad zawsze. Wiesz, Wabinosh House, faktoria nad jeziorem Nipigon.

Mężczyzna zbladł nagle — zszarzał na twarzy, jak bledną Indianie — i cofnął się o krok. Dłonią kurczowo szukał czegoś za pasem, kto wie, czy nie noża. Rysy tak mu się zmieniły, że Minnetaki niechybnie byłaby zmianę dostrzegła, gdyby...

Gdyby nie to, że Minnetaki, stojąc jak wryta, szeroko rozszerzonymi oczyma patrzyła w otwór wejściowy jaskini i poza tym jednym, co w drzwiach dostrzegła, zdawała się nie widzieć nic więcej.

Kudłaty Snow, warcząc głucho, zerwał się sprzed ogniska.

STRACHY NOCNE

Słuchaj Rod — mówił Wabi do Rodryga Drew, kładąc mu na ramionach obie ręce — nie wątpisz chyba przecie, że ja również chcę jak najprędzej odnaleźć Minnetaki. Ale dlatego właśnie trzeba ułożyć plan działania. Gdy każdy będzie szukał na własną rękę, nie wyniknie stąd nic dobrego. Musimy postępować roztropnie. Nie wolno nam tracić głowy...

Nie tyle słowa Wabiego, ile jego ton rozsądny i surowy podziałał na Rodryga kojąco. Dał się pociągnąć w stronę małego pagórka i usadzić na stoku porośłym trawą. Wabigoon siadł obok przyjaciela. Mukoki kucnął na wprost obu chłopców. Wskutek ciemności nocnych zaledwie widzieli nawzajem swoje twarze blade i skupione.

— Czyż nic nie wiesz, Mukoki, czyż nic nie możesz nam powiedzieć, w jaką stronę ona poszła? — zagadnął Wabi błagalnie niemal. — Pomyśl dobrze. Zastanów się. Może przecie widziałeś jaki ślad? Może słyszałeś cokolwiek?

— Nie, nic — odparł Mukoki tępo.

Lecz raptem Rod porwał się na równe nogi.

— Ja wiem! — wołał gorączkowo. — Ja wiem! Niedźwiedź! Niedźwiedź!

— Siadaj, co za niedźwiedź? — mitygował go Wabi. Pociągnął przyjaciela za poję kurty i usadził na ziemi przemocą. Rod ręce łamał.

— Niedźwiedź...! Pamiętasz, ten co tak ryczał, gdyśmy wracali? Od razu podejrzewałem, że napadł kogoś. To na pewno była Minnetaki...

Wabi zacisnął zęby i po chwili dopiero odparł głucho:

— Nie wierzę temu. To niemożliwe. Raczej zbłądziła w lesie. Albo też upadła, skaleczyła nogę i nie może iść.

— Nie, nie, to ten niedźwiedź! — upierał się Rod. — Ty idź szukać w lesie, a ja pójdę między skały.

Wabi otworzył usta. Chciał powiedzieć, że jeśli naprawdę niedźwiedź napadł Minnetaki, to nie ma już po co jej szukać, lecz zmilczał na razie, a dopiero po chwili rzekł:

— Dobrze. Podzielimy się więc. Ty pójdiesz brzegiem skał, ja krawędzią lasu, Muki zaś środkiem doliny. Co pół mili będziemy dawać sygnały strzałami. Ja strzelę pierwszy, Muki po mnie, ty na ostatku. Ten, co znajdzie jakiś ślad, strzeli trzykrotnie raz po raz. Gdybyśmy nic nie znaleźli, to po upływie dwu mil Muki rozpali ogień i zejdziemy się wszyscy na naradę, co począć dalej. Co sądzisz o moim planie, Muki?

Lecz stary Indianin tak był przygnębiony, że tylko mruknął coś niezrozumiale i wstał chcąc odejść. Jednak zawahał się jeszcze, po czym wyciągnął długie ramię i zdjął pakunek przytroczony na plecach Wabiego.

— Kiedy znajdziemy Minnetaki — bąknął — trzeba ją będzie zaraz nakarmić. Rozpalę wtenczas ogień i upiekę mięso.

— Muki jest zawsze praktyczny — blado uśmiechnął się Wabi. — Ale ty, Rod, swój pakunek zostaw, będzie ci lżej iść.

Rod strząsnął po prostu ciężar z ramion i porzucając go na ziemi, odszedł w ciemność. Wabi przelotnie spojrział na leżącą w trawie paczkę, machnął ręką i oddalił się również. Lecz Mukoki podjął pakunek, idąc, mocniej owinął go rzemieniem, zadzierzgnął pętlę, a po chwili, mijając drzewo

stojące samotnie, wspiął się na nie szybko i zawiesił mięso na jednym z dolnych konarów. Po czym zaczął wyciągać żyłaste nogi i kluczyć po łące, rzucając niekiedy przeciągły okrzyk:

— Ohoo! Ohoo!

Z prawa i z lewa odpowiadały mu donośne na razie, potem coraz cichsze, coraz bardziej stłumione oddaleniem głosy obu chłopców. Zarówno sikały, między którymi błędził Rod, jak i gąszcz, przez który przedzierał się Wabi, zniekształcały i głuszyły wszelkie dźwięki.

Mukoki szedł szparko, na razie prawym brzegiem strugi, bliżej kamienistego zbocza. Zrobiwszy paręset kroków skręcił ostro w lewo, w bród przeprawił się przez wiodę, sięgającą mu nieco wyżej pasa, i dotarł aż do skraju leśnych chaszczy. Tu spłoszył rodzinę zajęczą, zaklął, gdy jeden szarak w ucieczce omal mu nie wpadł pod nogi, i znów zawrócił w stronę skał, krocząc na przełaj przez łąkę. Tymczasem wzeszedł księżyc i rozległy kobierzec traw przybrał wygląd falującego morza. Od wschodu dał uporczywie lekki wiatr, znosząc wszelkie dźwięki, głusząc je chrzęstem gałęzi i poszumem liści. Toteż gdy Wabi strzelił w głębi kniei, wprawne ucho Mukiego z trudem tylko uловиło huk fuzji. Mukoki natychmiast zdjął z ramienia rusznicę i wypalił kolejno, a po sekundzie przerwy usłyszał w odpowiedzi trzask karabinu Roda. Z szybkości, z jaką się to stało, wywnioskował słusznie, że chłopak idąc trzyma karabin w garści.

Cisza zapadła znowu. Mukoki wyciągał długie nogi, zataczając koła i kręgi, rzucając się to w prawo, to w lewo, niby pies gończy, który tropi zawikłany ślad. Czasem gdy go dobiegł podejrzany szmer, stawał wpół kroku na jednej nodze jak czapla. Czasem, przykładając dłonie do warg, wołał jak opętany: — Minnetaki! Minnetaki! — aż mu chryпка głos odjęła. Powtórny trzask fuzji Wabiego usłyszał z daleka, niby przez sen.

Gdy zeszli się wreszcie na łące nad rzeczka, wszyscy trzej byli dziwnie milczący. Wabi spytał krótko: — Nic? — i nie czekając odpowiedzi zwiesił głowę. Rod patrzył w przestrzeń półprzytomnie. Mukoki rzekł:

— To moja wina. Jeżeli jej się co stało, odbiorę sobie życie!

Na to Rod z jękiem chwycił się za skronie, a Wabi zrozumiał, że biały chłopak nie przeżyje straty ukochanej, choć może sam sobie śmierci nie zada. Czuł zresztą, że i on również bliski jest obłędu. Lecz właśnie widok słabości tamtych dwu podniecał jego energię.

— Jestem pewien, że Minnetaki żyje i że ją odnajdziemy — rzekł stanowczo. — Ale skoro dotychczas nie natrafiliśmy na jej ślad, należy teraz poczekać do świtu, gdy będzie choć cokolwiek widać. Obecnie musimy coś zjeść i wypocząć trochę, inaczej zupełnie opadniemy z sił.

Pierwszy zaczął się krzątać przy rozpalaniu ogniska. Mukoki, umiejący nad sobą panować jak każdy Indianin, pomagał mu nie mniej zręcznie niż zazwyczaj. Rod natomiast, siadłszy opodal na złomie skały, pogrążył się w ponurej zadumie. W samej postawie już miał tyle cierpienia, że żał było doprawdy patrzeć na niego. Gdy Mukoki odzierał płyty kory z pobliskiej, brzozy, Wabi, skończywszy gromadzić chrust, przysiadł się do przyjaciela. Serdecznie opasał mu plecy ramieniem.

— Rod...! — szepnął tkliwie. Lecz biały chłopak odsunął się tylko i milcząc patrzył znów przed siebie.

Mukoki upiekł przy zarzewiu kawał mięsa i obdzielił nim chłopców. Sam przełknął zaledwie parę kęsów, Wabi zmusił się do zjedzenia drobnego skrawka, Rod odtrącił ze wstrętem otrzymaną porcję. Potem, Rod siedząc, Wabi i Mukoki leżąc w trawie, wszyscy trzej wyczekiwali świtu.

Godziny wlokły się niewypowiedzianie wolno i męcząco. Rod długą chwilę trzymał twarz ukrytą w dłoniach, może płakał. Mukoki leżał bez ruchu, z brodą podpartą na rękach. Wabi przechadzał się wokół ognia, dorzucał chrustu do syczących płomieni, a potem kładł się niby na spoczynek, gryząc palce ze zniecierpliwienia i rozpacz. Księżyc znikł, więc na krótki czas zapadła taka ciemność,

jakby cztery strony świata stanowił czarny aksamit. Potem gwiazdy jeły blednąć i na horyzoncie z wolna zamajaczyły sylwety gór.

— Dnieje! — krzyknął Wabi.

Mukoki wstał wolno. Rod porwał się na nogi i przypadł do Wabigoona.

— Idziemy znów szukać! — zabełkotał. — Teraz ja skrajem lasu! Prędeż! Prędeż!

Zakołował wokół ogniska niby ćma i wyciągniętym krokiem ruszył ku lasowi. Mukoki wraz z Wabim rozrzućili tłące główne, przydusili żar piaskiem oraz trawą i dopiero upewniwszy się, iż niebezpieczeństwo pożaru jest wykluczone, rozeszli się, idąc każdy w innym kierunku.

Za milczącą ugodą Mukoki dążył znów środkiem doliny, Wabi zaś skierował się ku spadzistym stokom skalnym. Nad ranem spadła rześista rosa, toteż brodząc w gęstej trawie po kolana, a miejscami po pas, przemókł wnet, jakby dopiero co wyszedł z kąpeli. Było mu to oczywiście najzupełniej obojętne. Wkrótce zresztą wydostał się na kamienisty, a zatem suchy teren. Możliwość znalezienia wczorajszego tropu była tu znikoma, więc Wabi dość pobieżnie spoglądał na pobliskie głązy, wybiegając natomiast wzrokiem dalej, w jasności coraz żywsze. Słońce bowiem wytoczyło się już na krawędź boru i przezierając przez najwyższe czuby niby płomień jaskrawy, sypało złoty blask na cały krajobraz. Łąka, złana rosą, ciemna do niedawna, sprawiała wrażenie średniowiecznej materii, dzianej bogactwem drogich kamieni, lecz Wabi, miłośnik przyrody i jej dziwów, obecnie nie zauważył nawet tej uroczej przemiany.

Wzrokiem błędził po stoku górkim i nagle stanął jak wryty. W połowie zbocza, na tle ciemnej ściany dostrzegł jakiś ruch, a wnet potem jego sokole oczy rozróżniły ruchome sylwetki, dwie czy trzy. Odległość była zbyt znaczna, by stwierdzić na pewno, kto to jest, lecz Wabieniu serce zabiło tak silnie, że po prostu stracił oddech. Minnetaki! Minnetaki! Głos wewnętrzny mówił mu, że to właśnie ona, miła, utracona siostrzyczka. Był tego tak pewien, iż bez namysłu zerwał z ramienia fuzję, a celując w niebo, wypalił trzykrotnie raz po raz.

Gdy spojrział znów w górę, sylwetki znikły, na łące Mukoki zastygł wpół kroku, potem po trzykroć wypalił w powietrze ze swej ciężkiej rusznicy i wreszcie, wyzbyty dostojnej godności, jaka cechowała zazwyczaj jego ruchy, cwałem pomknął w kierunku gór. Wabi tymczasem gnał już pędem i umiejętnie lawirując wśród większych głązów, przesadzał mniejsze kamienie ze zręcznością wilka. Jednak dotarwszy do podnóża stoku, musiał zwolnić chcąc nie chcąc, gdyż zwietrzałe rumowiska usuwały się spod nóg i groziły niebezpiecznym upadkiem. Stapał więc uważniej, tym bardziej iż znaczna pochyłość utrudniała ruchy. Tu i ówdzie, nie mogąc znaleźć oparcia dla stóp, dźwigał się na rękach, po czym przysiadł na złomie skalnym, by odpocząwszy nieco, ruszyć dalej.

Pojęcia nie miał, jak długo trwała ta karkołomna podróż — z pół godziny zapewne. Ostatecznie jednak zziąjany, lecz pełen otuchy stanął na małej platformie, gdzie niedawno dojrzał ruchome sylwety. Posiadając w wysokim stopniu rozwinięty zmysł orientacji, pewien był, iż drogi nie zmylił, toteż odsapnąwszy trochę, począł się rozglądać w najbliższym otoczeniu. Od razu prawie dostrzegł ślady czyjś pobytu. Śród skał widać się dość wyraźnie wydeptana ścieżka, a na ostrym głązie opodal zwisał jakiś strzępek, niewątpliwie pochodzący z ludzkiej odzieży.

Wabi skoczył ku niemu chciwie. Ujmując strzęp w rękę badał go ciekawie i naraz roześmiał się cicho. Był już teraz pewien, że jest na dobrym tropie. Strzęp pochodził z sukni Minnetaki.

Chłopak spojrział w dół. Po łące biegł Rod, dając ręką rozpaczliwe znaki, bliżej znacznie Mukoki piał się na skaliste zbocze. Wabi wesoło powiał ku nim dłonią, po czym zręcznie wskoczył na leżącą o metr nad poziomem ścieżki krawędź skalną. Ledwo tutaj stanął, zrozumiał, gdzie się człowiek czy też ludzie podzieli. Przed sobą miał płytką wnękę, kończącą się ciemną szczeliną. Bez namysłu zapuścił się w głąb. Mrok otoczył go na moment, lecz oto pojaśniało znowu i Wabi ujrzał ognisko,

płonące w rozległej pieczarze.

Blask ognia, bijący wprost w oczy, tak go na razie oślepił, iż mało co mógł rozróżnić, widział, co prawda jakieś postacie w głębi, ale nim się co do nich zorientował, już ktoś z krzykiem radości objął go za szyję.

— Wabi! Wabi! — wołała Minnetaki, a w głosie jej obok śmiechu drżały łzy. — Och, Wabi, jakże się bardzo cieszę!

— Minni kochana, nie ci nie jest, na pewno nic?! — pytał Wabi całując i ściskając siostrę. — Szukaliśmy ciebie całą noc... Baliśmy się tak okropnie... Nic ci się nie stało?

— Nic zupełnie. Jestem cała i zdrowa. Dzięki... dzięki niemu! To brzmi melodramatycznie, Wabi, ale to jest jednak prawda. On mnie ocalił.

Ruchem głowy wskazała młodego Indianina, stojącego wciąż bez ruchu. Wabi puścił siostrę i zbliżył się do nieznanego. Chciał dziękować, lecz nie umiał dobrać odpowiednich słów, więc niespodzianie dla samego siebie chwycił Indianina za barki i Ucałował go serdecznie. Czerwonoskóry spłonął rumieńcem tak głębokim, że jego złotawa twarz przybrała barwę starego brązu. Ze zgrozą prawie wodził oczyma po obecnych. Szczęściem ogień strzelił właśnie płomieniem nierównym, więc światła i cienie tańczące po ścianach i postaciach ukryły jego zmieszanie. Wabi tymczasem już się zwrócił do siostry:

— Ależ nam napędziłaś strachu, Minnetaki! Powiedz, co się właściwie stało? Zbłądziłaś?

— Gdzie tam! To ten niedźwiedź...

— Niedźwiedź? — Wabi podniósł brwi do góry. — Więc jednak Rod miał rację. Twierdził stale, że cię niedźwiedź napadł.

— Właśnie. Opowiem później wszystko szczegółowo. Brr... Jakie to było przykre. A... a gdzie jest Rod?

Wabi parsknął śmiechem.

— Biedny Rod, jakże mu się nie powiodło. Wyobraź sobie, z wieczora szukał właśnie twoich śladów brzegiem skał, a nad ranem poszedł skrajem lasu. Teraz naturalnie zjawi się ostatni. Bo Muki już idzie.

U wejścia zamajaczyła szczupła postać starego myśliwca. Minnetaki skoczyła ku niemu.

— Muki, to ja! Jestem zdrowa zupełnie! Miałam nadzwyczajną przygodę, po której zostało mi trochę sińców i świetny humor. Tylko nie gderz, Muki, tylko nie gderz! — przymilnie patrzyła mu w oczy, widząc, że marszczy brwi z udaną srogością. — Wiem, że mi odradzałeś tę samotną wycieczkę i że to całkowicie moja wina. Ale teraz już zawsze będę cię słuchała!

— Aż do następnego razu — sceptycznie burknął stary. — A to kto taki? — spojrzał z ukosa na stojącą w głębi postać.

— Batisi, mój wybawca.

Mukoki podszedł do młodego czerwonoskórego i milcząc uściśnął mu rękę, po czym wrócił do Minnetaki i Wabigoona, stojących bliżej ogniska.

— Opowiedz — jak to było? — rzekł.

Więc Minnetaki jąła pokrótce snuć dzieje ubiegłej nocy, przy czym Wabi nie spuszczał z siostry oczu, Mukoki zaś błędził wzrokiem po całej jaskini i nie ruszając się z miejsca, zaglądał do wszystkich kątów. A coraz to ukradkiem powracał do samotnej sylwetki Batisiego oraz do wielkiego białego psa, spoczywającego obok pana. Minnetaki zaś zerkała w kierunku wyjścia. Nagle przerwała w pół zdania.

— Może lepiej wyjdziemy z jaskini — rzekła. — Rod jeszcze tu nie trafi.

— Sądzę, że trafi — zaprzeczył Wabi. — Ale możemy wyjść. Właściwie pora wracać do obozu.

Mballa się zamartwi...

Minnetaki aż w ręce klasnęła.

— Prawda. Zupełnie o niej zapomniałam! — rzekła ze skruchą. — Wracajmy! Wracajmy!

Poskoczyła ku wyjściu. Nagle stanęła. Rod ukazał się właśnie w progu, tak blady, jakby miał zemdleć, w podartym odzieniu, z trudem łapiący powietrze rozwartymi ustami. Wszedł i bezwładnie oparł się plecami o ścianę skalną.

— Rod! — rzuciła się ku niemu Minnetaki. — Co ci jest, Rod?!

Chłopak uśmiechnął się słabo.

— To ze zmęczenia, Minni. I... że ty żyjesz! — wyszeptał.

— Rod! — Minnetaki chciała coś powiedzieć, jakieś słowo płynące z głębi serca, lecz nie znalazła nic, dlatego może, iż nie byli w tej chwili sami. Więc uśmiechnęła się tylko oczami, ustami, całą twarzą. — Bardzo się na mnie gniewasz? — spytała cicho.

— Bardzo — usiłował postawić groźnego marsa, lecz mu się to nie udało zupełnie. — Och, Minnetaki, gdybyś wiedziała, co to była za okropna noc! Ale co się właściwie stało? Dlaczego?

— Opowiem ci później. Po powrocie do obozu. Tylko, Rod, musisz jeszcze podziękować memu wybawcy. Taka kolejna procesja. Wabi, Muki i ty na ostatku. Bo gdyby nie Batisi, pewnie bym zginęła...

Ujęła go za rękę, prowadząc w stronę, gdzie nieruchomy i milczący stał młody Indianin.

— Batisi — zwróciła się do czerwonoskórego — to nasz wielki przyjaciel, Rodryg Drew. Jest ci wdzięczny na równi z nami wszystkimi. Prawda, Rod?

Słowa były zbyteczne. Rodryg wyciągnął tylko obie dłonie serdecznym ruchem. Lecz nagle szeroko otworzył oczy. Z ciemnych źrenic Indianina trysnął ku niemu płomień nienawiści tak zajadłej, że uczył w sercu ukłucie niby od ciosu noża. Jednocześnie Batisi odtrącił go, wyminął, w paru susach przeleciał pieczarę i wpadł do korytarza. Snow, niby biały pocisk, śmignął w ślad za panem.

Obecni skamienieli po prostu ze zdumienia. Mukoki oprzytomniał pierwszy i nurknął w głąb ciemnego przejścia. Chłopcy i Minnetaki pośpieszyli za nim. Lecz gdy wybiegli na światło dzienne, nie ujrzeli nic prócz górskiego krajobrazu. Batisi znikł, jakby go pochłonęła ziemia.

NAD JEZIOREM

No dobrze, Minnetaki — mówił Rod obejmując kolana ramionami — ale czyż nie słyszałaś naszych strzałów? Urządziliśmy formalną kanonadę. Aż się góry trzęsły!

— Sądzę, że niedźwiedź ryczał *jeszcze* głośniej — odpowiedziała Minnetaki śmiejąc się. — A zresztą, czy ja wiem. Może, gdy zaczęliście poszukiwania, byłam już w jaskini i spałam. Spałam zaś jak kamień. Wątpię, czyby strzał armatni mnie obudził.

Siedzieli wszyscy przy ognisku z topolowych szczap, dającym wiele światła i ciepła, a nic dymu. Minnetaki, obaj chłopcy, Mballa i Mukoki. Noc już się gromadziła wokół. Opodał czarna ściana boru przemawiała szumem gałęzi, niżej bulgotała rzeka. Rod dorzucił do ogniska świeże naręcze drzewa; płomień zasyczał i wzbił się wyżej, a krąg światła rozpełzł się szerzej po trawie, daleko poza grono siedzących.

— Co do jaskini — rzekł Rod — to uczyniła na mnie wrażenie dość dziwne. A— Indianin nie podoba mi się wcale.

— Dlaczego? — Minnetaki wyzywającym ruchem wysunęła brodę ku przodowi.

— Och, powodów mam aż nadto. Aż za dużo. Ale wystarczy jeden. Czemu uciekł?

— Postąpił być może niemądrze — broniła Minnetaki swego wybawcy — ale nic w tym złego nie widzę. Przeciwnie. Jest po prostu bardzo skromny i zmieszało go tyle kolejnych podziękowań. Przemawia to raczej na jego korzyść.

— Przemawiałoby, gdyby istotnie w grę wchodziła skromność — podjął Rod po chwili milczenia. — Ale niestety, zmieszania nie mogłem się dopatrzeć w jego twarzy. Było tam wszystko, tylko nie to. Była przede wszystkim... nienawiść.

Na krótko zapadła cisza. Wabi przemówił bez przekonania:

— Przesadzasz, Rod. Skądżeby nienawiść? Z jakiej racji? Spotyka cię pierwszy raz w życiu. To ci się przywidziało.

Rod zerknął na niego bokiem.

— Przywidziało. No dobrze. Idźmy więc dalej. Co tu robi w puszczy sam jeden, a może i nie sam? Bo skąd wziął kobiece suknie dla Minnetaki? I ten jego pies! To nie jest pies tutejszy.

— Skąd wiesz, że nie? — wtrąciła Minnetaki.

— Och, Minni, mówisz, aby mówić! — zirytował się Rodryg. — Wiesz doskonale, że mam rację. Gdyby nie te uszy spiczaste, powiedziałbym, że to pies z góry świętego Bernarda.

— A ja twierdzę to mimo jego spiczastych uszu — przerwał Wabi. — Rzecz jest nader prosta. Jeżeli szczenię ma uszy obwisłe, Indianie nieraz ścinają mu je w szpic, sądząc, iż wtenczas lepiej słyszy.

— Możliwe, że okaleczyli go Indianie — medytował Rod — ale imię nadał mu człowiek biały. Mówiłaś, Minni, że się wabi Snow.

— Snow — śnieg.

— Właśnie, śnieg po angielsku. Ale skąd u indiańskiego psa to angielskie imię? W dodatku imię poetyczne. Rozumiem jeszcze, gdyby go nazwano Whisky lub Złodziej. Ale Śnieg? No a ta jaskinia, urządzone tak, jak się urządza stałe mieszkanie? Co tu robi Batisi? Poluje? Gdyby się trudnił łowiectwem, toby przynosił futra do najbliższej faktorii, czyli do Wabinosh House. Czyś go kiedy u was w domu widział, Wabi?

— Nigdy! — stanowczo zaprzeczył Wabigoon. — A gdyby się kiedy zjawił, tobym go zapamiętał z pewnością. Jest tak piękny...

— Za piękny — burknął Rod. — Uroda czysto babska.

— Fe, jak ty się odzywasz! — zaprotestowała Minnetaki oburzona, a Rod, straciwszy rezon, spłonął ciemnym rumieńcem. — Za karę odbieram ci głos.

— Więc ja będę mówił — roześmiał się Wabi. — Kiedy ruszamy dalej?

— Jutro — wyrwał się Rod.

— Ty nie masz głosu — zgromiła go Minnetaki. — I właśnie, że nie jutro. Jutro mam się spotkać z Batisim. Muszę mu jeszcze raz podziękować. Poza tym chcę zobaczyć tę kaczkę.

Tu powtórzyła rozmowę z Batisim. Mukoki, milczący dotychczas, zabrał głos po raz pierwszy:

— Wątpię, czy go zobaczysz — rzekł. — On nas unika.

— Och, zaraz unika! Dlatego, że uciekł wtenczas?

— Nie tylko dlatego — zachichotał stary Indianin. — Mam jeszcze inny dowód. Dziś po południu poszedłem mu odnieść pożyczoną ci suknię. Chciałem też jeszcze obejrzeć jaskinię. Otóż drzwi były zamknięte, a choć stukalem, nikt mi nie otworzył. Tylko pies warknął po cichu raz jeden.

— Może go nie było?

— Ależ był! — wyrwał się znowu Rod. — Gdyby pies był sam, to zamiast warknąć raz jeden, rzuciłby się do drzwi, szczekając. Ktoś musiał psa mitygować. Batisi albo...

— Albo ta kobieta, której suknię nosiła Minnetaki — uzupełnił. Wabi.

— Albo ta kobieta — potwierdził Rod. — Tylko nie rozumiem, dlaczego ta kobieta się kryje. Niech sobie Batisi ma siostrę czy żonę — co nam do tego! Po co ją przed nami chowa?

— Nudny jesteś, Rod — nachmurzyła się Minnetaki. — Miałeś tylko rację mówiąc: „Co nam do tego!” Bo i rzeczywiście po co się nim tyle zajmujemy? My pojedziemy, on zostanie i zapewne nie spotkamy się więcej w życiu. A teraz, proponuję, idźmy spać. Tak mi się oczy kleją, że już nic nie widzę!

Lecz Batisi prześladował ją i we śnie. Parokrotnie majaczyła jej się jego piękna twarz. Rano więc, ledwo się jej Wabi nawinął na oczy, już przypuściła doń szturm:

— Wabi, ja pójdę zaraz po śniadaniu. Kto wie, jak to daleko do tej kaczki.

— Nie ja, tylko my — sprostował Wabigoon. — Po tej ostatniej przygodzie już cię samej nie puszczę. To więcej niż pewne. A może i Rod zechce nam towarzyszyć?

Lecz Rod podziękował trochę ironicznie. Wolał się Batisiemu nie narzucać. Poszli zatem we dwoje, brat i siostra, zaraz po obfitym śniadaniu. Ranek był cudny, taki, jaki się trafia tylko w tej przez Boga umiłowanej krainie: ciepły, a jednocześnie rześki, pachnący wonią kwiatów i żywicy, rozzwoniiony szmerem wody, szumem drzew i śpiewem ptasim. Wabi i Minnetaki kroczyli szybko skrajem strugi i łąki, tam gdzie złoty piasek wydm przechodził nieznacznie w krótką, bujną murawę, tworząc elastyczny kobierzec. W drodze rozmawiali wesoło, wracając wciąż jeszcze do strasznego spotkania z niedźwiedziem, to znów myślą wybiegali naprzód, do dalszych czekających ich przygód. Ani się spostrzegli, jak zrównali się prawie z miejscem, skąd poprzedniego dnia Wabi dostrzegł siostrę u progu jaskini Batisiego. Przystanąwszy spojrzeli oboje ku górze, ciekawi, czy nie dostrzegą sylwetki Indianina. Nie było jednak nic widać, więc Wabi spytał:

— Czy matm się wdrapać na górę sam i poszukać go, czy też pójdziemy razem?

— Naturalnie, że razem — odparła Minnetaki bez namysłu.

— W takim razie podejźmy jeszcze trochę dalej. Zdaje mi się, że tam będzie łatwiej.

Zstąpili nad brzeg strugi, by wyminąć zwartą kępę krzaków, rosnącą między skalnym zboczem a łożyskiem rzeczki. Szli teraz w milczeniu, całą uwagę skupiając na wyborze drogi. Pręty jeżyn i

malin, zjeżone groźnymi kolcami, spierały ich nad samą wodę, więc miejscami musieli kroczyć gęsiego. Po chwili zresztą maliniak się skończył, więc Wabi zrównał się z siostrą. Gestem zachowanym z czasów dzieciństwa ujmując ją za rękę, skreślił wraz z nią wokół ostatnich krzaków i nagle stanął. Minnetaki stanęła również.

O kilkanaście metrów zobaczyli Batisiego. Młody Indianin siedział na pniu zwalonego drzewa, łokcie oparłszy na kolanach, a brodę na splecionych palcach. W pięknej twarzy miał wyraz takiej tęsknoty, takiego smutku, że Minnetaki i Wabieniu ścisnęło się serce. Obserwowali go zmieszani trochę, doznając przykrego wrażenia, że niepotrzebnie zagląдают w głąb czyjejś duszy. Raptem młodzieniec uczuł snadź na sobie ciężar ich wzroku, gdyż podniósł oczy, zdziwione najpierw, potem gniewne, i od razu porwał się na nogi'

— Batisi — rzekła Minnetaki niepewnie — przyszedł ci podziękować raz jeszcze. I... — zacięła się na moment — obiecałeś mi pokazać tę kaczkę...

Indianin patrzył, jak gdyby nie rozumiejąc, lecz z wolna iskierki gniewu przygasły w jego źrenicach, a ha wargach pojawił się uśmiech.

— Ach, prawda! — wyznał — zupełnie o niej zapomniałem. Czy chcesz iść teraz?

— Tak, bo jutro już odjeżdżamy. Ale jeżeli pozwolisz, pójdziemy oboje, mój brat i ja.

Batisi spojrział na Wabiego, który daremnie silił się odgadnąć treść tego wejrzenia.

— Dobrze, pójdziemy we troje — zdecydował wreszcie. — We czworo — poprawił.

Rozejrzał się i gwizdnął donośnie. Od lasu zahuczało przeciągłe ujadanie. Z chaszczy po drugiej stronie rzeczki wyleciał Snow i cwałem sadił przez łąkę. Dopadłszy rzeczutki skoczył w wodę, aż rozstąpiła się z chlupotem, prychając głośno przepłynął leniwy nurt i wygramolił się na brzeg. Tu stanął i począł się otrząsać z wilgoci, siejąc na wsze strony srebrne bryzgi. Potem, jeszcze mokry, skoczył łapami na pierś Minnetaki, omal jej nie przewrócił, merdnał ogonem Wabiemu i wreszcie, zziajany,, runął do stóp pana, wysuwając z szerokiego pyska olbrzymi, szkarłatny ozór.

— Ten, co tego psa nazwał Snow, winien był go raczej nazwać Przyjacielem Całego Świata — rzekł Wabi śmiejąc się.

— Przyjaciel Całego Świata! To przecie on sam się tak nazywał! — rzekł Batisi wolno, a jego ciemne oczy spoglądały kędyś w dal z wyrazem półprzytomnym.

— Kto — on? — spytał Wabi.

Pytanie to wyrwało mu się mimo woli, więc pożałował go natychmiast. Etyka indiańska zabrania stawiania pytań wprost. Batisi mógł się słusznie obruszyć na ten objaw niedyskrecji. Lecz Indianin nie okazał cienia gniewu. Przeciwnie, rysy zmiękły mu jeszcze bardziej, stając się niemal dziecinne. Gdy zaś zwrócił rozmowę na inny temat, uczynił to tonem cichym i prawie nieśmiałym.

— Chodźmy — rzekł. — To niedaleko, ale później będzie upał.

Ruszył pierwszy, w milczeniu, stawiając długie, zręczne kroki. Przyjemnie było patrzeć na jego smukłą sylwetkę, sunącą wśród zielonych traw i kwiecica. Wabi i Minnetaki szli na razie z tyłu, potem zrównali się z Batisim, lecz rozmowa jakoś się nie kleiła. Przymus i niepokój wisały w powietrzu. Z rzadka ktoś rzucał jakieś słowo, przy czym mówiono wyłącznie o sprawach obojętnych, nie interesujących w danej chwili nikogo: o łowach, o pogodzie. Tymczasem zarówno Wabi, jak i Minnetaki dowiedzieliby się z przyjemnością czegoś więcej o tajemniczym mieszkańcu jaskini, z wejrzenia zaś, jakie idąc Batisi rzucał na nich ukradkiem, słusznie należało wnioskować, że i on rad by był spytać o niejedno.

Szli wzdłuż strugi, czasem skracając sobie drogę i kroczy nicc łąką na przełaj, gdy rzeczulka czyniła zakręt zbyt szeroki. W ten sposób, porzucając w jednym miejscu jej łóżysko, przechodzili niby po cięciwie łuku i znów szli nad samą wodą. Snow statecznie człapał obok pana. Raz tylko,

zwietrzywszy widać coś w powietrzu, galopem puścił się naprzód, ale go Indianin przywołał ostrym gwizdnięciem. Po czym Batisi, pochylony lekko, uczynił dłonią gest rozkazujący.

— Leżeć tu! — rzekł stanowczo.

Pies westchnął, okręcił się w miejscu po dwakroć, przysiadł i bęczał wreszcie całym ciałem, aż stęknęła ziemia. Błagalnie zaglądał w oczy pana, nerwowo wachlując puszystym ogonem. Miał tak strapiiony wyraz pyska, że Minnetaki ujęła się za nim.

— Dlaczego zostawiasz go tu samego? — spytała.

— Boby nam kaczkę wystraszył — odparł Batisi, ruchem głowy wskazując pobliski pas topoli i wierzb.

Za wałem zieleni leżało małe jezioro, zasilane wodą z rzeczki, a bardziej jeszcze wodą roztopów wiosennych. Nad tym jeziorkiem dzika kaczka, drobna, szara i niepozorna, uwiła sobie gniazdo, by odbyć pierwsze lęgi. Wczesną wiosną towarzyszył jej małżonek, wspaniały kaczor, o szyi ozdobionej wysoką szmaragdową kolia, potężnych skrzydłach i głosie donośnym. Pewnego dnia wszakże znikł, przyzwoitość zaś nakazywała wierzyć, iż nie popełnił haniebnej dezercji, lecz po prostu padł ofiarą łapczywych wrogów, lisa, sowy lub jastrzębia.

Jakkolwiek się zresztą rzecz miała, jeden fakt był bezsporny; kaczka została sama. Nie, nie sama właściwie! Miała przecie swoje jaja: dziesięć owalnych, na głucho zamkniętych kolebek, wypełnionych życiem coraz wyraźniejszym. Leżały miękko i wygodnie w gnieździe uwitym z chrustu i suchej trawy, z badyli wszelakich i trzin zeszłorocznych. Kaczka wymościła to gniazdo starannie, nie żałując puchu z własnej piersi, a ilekroć głód zmuszał ją na chwilę do odejścia, przykrywała jaja z wierzchu piórkami, mchem i czym się tylko dało, byle maleństw wiatr chłodny nie przeziębził.

Dni płynęły szybko w trwodze i radości. Podbrzuszem, wyleniałym od siedzenia, wyczuwała coraz lepiej gorąco skorupki, coraz jaśniej tętnił w „nich rytm istnienia i coraz częściej łowiła płynący z wnętrza ruch jakiś i pisk. Był to głos tak słaby, oparty na nucie tak wysokiej, że nie pochwyciłoby go żadne ucho ludzkie, lecz kaczka słyszała wyraźnie i jeżąc pióra ze wzruszenia, odpowiadała zdławionym kwakaniem.

Był to początek porozumienia pomiędzy matką a dziećmi, kto wie, może już początek nauk, pierwszych przestróg na trudną drogę życia. Kaczka rozróżniała poszczególne głosy swoich córeczek i synków, każde jajko miało dla niej teraz cechy odrębne. Każde darzyła gorącą miłością macierzyńską. Ale trzeba było jeść. Więc choć się jej krajało serce, raz dziennie opuszczała gniazdo i przedziutko śpiesząc ku jezioru, łowiła to żuczka jakiegoś, to ślimaka, to wreszcie trochę rzęsy wodnej.

Raz, oddaliwszy się już nieco, usłyszała w pobliżu szelest, lecz choć strach nią wstrząsnął i instynkt kazał wracać do dzieci przemogła się i pofrunęła w kierunku przeciwnym, głośno łopocąc skrzydłami. Była to Wiekowa mądrość matek nie obdarzonych siłą dostateczną: odciągnąć wroga jak najdalej od gniazda, skierować na siebie jego gniew i chciwość. Powiodło jej się to widać w zupełności, gdy bowiem wróciła wreszcie spostrzegła wkoło wiele śladów ludzkich, głęboko odbitych w miękkiej glinie, ale samo gniazdo — o szczęście! — gniazdo było nietknięte.

A już się zbliżał czas lęgów, lecz jednocześnie rosła nowa trwoga. Oto jezioro, na które liczyła tak bardzo, oddalało się od niej z każdym dniem. Uwiła przecie gniazdo nad samym brzegiem, upały jednak i brak deszczu sprawiły, że tafla wodna jęła się cofać, zostawiając po sobie coraz szerszy pas spękanej zielskiej porosłej gliny. Kaczka patrzyła z przerażeniem, jak się odległość zwiększa, jak ucieka niepowstrzymanie chłodny, błękitny żywioł, któremu pragnęła powierzyć swoje dzieci natychmiast po wyjściu z kolebek.

Pewnego ranka, gdy wyczerpana czuwaniem zdrzemnęła się na gnieździe, zbudził ją ruch jakiś i

dźwięk. Drgnęła i zaraz rozsiadła się szerzej, mocniej nasrożyła pióra, czując, jak pękają skorupki pod jej piersią i jeden po drugim wyłania się z ich wnętrza żywy, ciepły, piszczący, najcenniejszy w świecie skarb.

Dziesięć ich było, dziesięć malutkich, bezradnych kruszynek, krągłych kuleczek żółtego puchu, o płaskich miękkich jeszcze dziobkach, ślepkach jak paciorki i trójkątnych, szerokich łapiętach. Tłoczyło się to w gnieździe, gaworząc po cichu, żaląc się i ciesząc, a stroskana mama z rozpaczą szukała wzrokiem dalekiej tafli jeziora.

Dzieliło ją od wody pół taili chyba, pół mili drogi jakże chropawej dla tych wrażliwych nóżek. A jednak należało ją przebyć. Przez kilka godzin po urodzeniu kacząta mogą się bez jadła obejść, zasilone w soki życiodajne resztką jaja. Lecz potem muszą jeść, muszą się przed wrogiem chronić, a żywność i schronienie znajdują tylko w wodzie.

Dała więc odpocząć swoim kruszynom mama kaczka, ogrzała je, osuszyła własnym ciepłem i z ciężkim sercem wywiodła całą gromadkę z gniazda. Przewalało się to przez brzeg niby przez krawędź głębokiego rowu i od razu grzęzło w rzadko rosnącej trawie, jakby w puszczy dziewiczej. Zamierzała je trzymać razem, w pobliżu własnego dzioba a skrzydeł, jedynej ich ucieczki i obrony, lecz dzieciarnia rozproszyła się wnet bezładnie, co silniejsze bowiem śpieszyły za matką, co słabsze pozostawały w tyle. Ktoś z boku patrzący mógłby się ubawić widząc wysiłki tego drobiazgu, lecz matce krwawiła serce. Kacząta zużywały cały zasób energii, a jednak jakże wolno posuwały się naprzód. Każde wyciągało dzióbek ku przodowi, biło powietrze pędzelkami skrzydeł i piszczało cichutko, z mozołem przestawiając łapki podobne do żółtych liści jesiennych. Ale oto suchy badył, kamyk lub po prostu nierówność gruntu zastępowały drogę i od razu malutki wędrowiec tracił rezon, przenikliwym głosikiem wzywając ratunku. Więc kaczka musiała nawracać, zachęcać, kierować.

Dobrnęła wreszcie wraz ze swą gromadką do końca porostłej trawą łączki i oto rozesała się przed nimi pusta przestrzeń, ze dwieście metrów może ziemi twardo ubitej i nagiej zupełnie. Tu, oczywiście, iść było znacznie łatwiej, lecz za to ileż mogło czyhać niebezpieczeństw. Kaczka przysiadła pod osłoną ostatnich chaszczy, zebrała dzieci pod skrzydła, dała im nieco wypocząć, po czym, rozejrzawszy się po niebie, czy żaden rabuś powietrzny nie grozi, wywiodła pisklęta na straszną pustynię.

Przynaglęła je głosem i ruchami, więc śpieszyły biedactwa, choć łapki miały już we krwi. Coraz to kucalo któreś ze znużenia, lecz matka dopadała go zaraz, trącała dziobem, kwakała nerwowo. Wtem coś się przesunęło po ziemi: cień jakiś. Kaczka spojrzała ku górze. Bardzo wysoko, pod samym słońcem, na rozpiętych skrzydłach wisiał jastrząb.

Ledwo zdążyła kwaknąć i przyłgnąć do ziemi, stapiając szare pióra z ciemną glebą tak dokładnie, jakby sama była bryłką suchej gliny. Kacząta znieruchomiały również, gdzie które stało, a cień złowrogi pełzał wokół nich, to bliższy, to znów dalszy, w miarę jak jastrząb zataczał kręgi w powietrzu.

Długo to musiało trwać. Kaczce i kaczątom nogi ścierpły, lecz wreszcie cień pierzchł; wtenczas kaczka kwaknęła na dzieci i znów się rozpoczęła męcząca wędrówka.

Gdyby szło o jakiegokolwiek zwierzę czworonożne: psa, kota lub którego z ich krewniaków, rzecz miałaby się inaczej i łatwiej. Taki szakal, na przykład, lub ryś, bierze swoje dziecko w pysk za luźną skórę na karku i wędruje z nim milami. Ptaki tego niestety nie potrafią.

Jezioro wszakże było coraz bliższe, tuż za rzadką sztachetą trzciny. Tu jednak przytrafiła się nowa bieda. Wczesną wiosną po rozmokłym gruncie ciężki grizli zeszedł raz do wodopoju, przy czym jego olbrzymie łapy zapadły głęboko w miękką ziemię, tworząc prawdziwe jamy. Obecnie słońce wypięło wodę, wysuszyło glinę, lecz jamy pozostały na kształt miniaturowych dołów wilczych. Do jednej z

tych pułapek właśnie wpadło dwoje kacząt.

Jedno wygramoliło się dość szybko, drugie natomiast, słabiutkie chucherko, utknęło na dnie. Mama kaczka usłyszała pisk rozpaczliwy i puściwszy resztę dzieciarni przodem, pośpieszyła z pomocą. Bezradnie krążąc wokół wgłębienia, kwakała zachęcająco: „Zrób jeszcze jeden wysiłek, ostatni; woda jest tuż, więc zaraz sobie odpoczniesz!!”

Zafrasowana, poniechała wszelkich ostrożności i ani jej przez myśl przeszło, że tuż, o kilka kroków, czyha najgroźniejsze z niebezpieczeństw dotychczasowych.

Rudy lis, myszkujący w pobliskim zagajniku w poszukiwaniu młodych zajęczków, usłyszał głos kaczki. Że zaś jednocześnie wiatr przywiał mu woń lubą, więc bez namysłu cichym cwałem przemknął śród gęstwiny, po czym, przyczajony za rosochatą wierzbą, zerknął na otwartą przestrzeń. Na widok rodziny kaczwej ślepa mu zabłysły; wiedział, że ponieważ matka nie porzuci dzieci, on bez trudu schwyta całą gromadkę. Rozpłaszczony na trawie, sztywno trzymając puszystą kite, już miał skoczyć na zdobycz, gdy wtem drgnął i łeb obrócił jak na śrubie. Spoza kaczego stada płynęła woń inna, znieawidzona, budząca lęk woń ludzka. Lis szybko skręcił w miejscu i rezygnując z uczyty, znikł w głębi kniei.

Kaczka tymczasem krzątała się wokół uwięzionego kaczęcia. Traf chciał, że łopocąc skrzydłami strąciła w głąb jamy bryłkę suchej gliny. Gdyby bryłka trafiła w pisklę, zabiłaby je pewnie, jednakże padłszy obok, utworzyła coś na kształt stopnia schodów, po którym mała żółta kulka, zdyszana i z umęczenia piszcząca coraz ciszej, wydostała się wreszcie na powierzchnię.

Lecz teraz woda była już naprawdę blisko. W pośpiechu i radości kaczka popełniła błąd zasadniczy.

Oto zamiast szukać toni porośniętej trzciną, dającą bezpieczne schronienie przed wszelkiego rodzaju wrogiem, pchnęła dzieci na przestrzeń otwartą, szeroko rozlaną i przejrzystą jak dobrze polerowana lustrzana tafla.

Kaczęta pływały doskonale, wesoło wiosłując żółtymi łapkami; kaczka uwijała się wokół nich, strofując i chwając, gdy wtem na wodę padł szeroki cień. Jastrząb powrócił i krążąc nad jeziorem gotował się do napaści.

— Uciekajcie! — kwaknęła mama kaczka, więc puchate pisklęta niby bazie wierzbowe rozsypały się po wodzie, co tchu śpiesząc ku najbliższym trzcinom. Lecz jastrząb spadł już jak kamień. Wtenczas kaczka zdobyła się na czyn bohaterski. Osłoniła sobą dzieci i co sił uderzając skrzydłami, rzuciła fontannę chłodnej wody w oczy napastnika.

Jastrząb odskoczył w powietrze, niby piłka odbita dłonią niewidzialną, otrząsnął się i znów powrócił do ataku. Nowe bryzgi wody poleciały mu naprzeciw, lecz tym razem wyminął je zwrotem akrobatycznym, opadł niżej jeszcze i już się powtórnie wzbijał w powietrze, trzymając w szponach drobny, żółty kłębuszek. Był o dziesięć metrów nad jeziorem, gdy huk targnął głuszą. Jastrząb zakolebał się, zatoczył niby trącony wichrem, rozpostarł skrzydła szerzej, po czym, wolno planując, zjechał w dół i martwy już osiadł na wodzie. A z bezwładnego szpona wymknęło się pomięte trochę kaczątko i piszcząc odpłynęło ku trzcinom pod opiekuńcze skrzydła matki...

Batysi trzymał jeszcze u ramienia dymiącą fuzję, a Minnetaki ścigała wzrokiem pisklę, dające właśnie nurka w gęstwą trzcin, gdy Wabi ozwał się z uznaniem:

— Doskonale strzelasz!

Batysi uśmiechnął się, może trochę chępliwie, lecz z rozbrajającą szczerością, i chciał coś odrzec, gdy nagle załomotało w chaszczach i do nóg pana przypadł Snow, zziajany, zjeżony, obnażając straszne kły w potężnym pysku i warcząc gniewnie z głębi wspaniałej piersi.

— Co się stało? — spytała Minnetaki, załęknioma trochę. Wabi trzymał już karabin w rękę.

— Ach, nic! — machnął ręką Batisi. — Pies słyszał strzał, więc myślał, że mi coś grozi, i śpieszył z pomocą. Taki już jest. Gdy zwierzy bójkę, nic go nie powstrzyma, nawet mój rozkaz.

Pochylił się i pieszczotliwie targnął psa za ucho. Snow zaskomlił radośnie, szczeknął, a potem wciągając powietrze w nozdrza, wpatrzył się w jezioro. Na jasnej toni ledwo dostrzegalny prąd znosił wolno padlinę jastrzębia.

TOPIEL

Zerwali się nazajutrz skoro świt i kiedy Minnetaki z Mballą warzyły śniadanie, Mukoki oraz obaj chłopcy zwijali obóz. Robota szła składnie, toteż pierwsze promienie słońca, wyzierające spoza ciemnej masy boru, znalazły ich już na rzece.

Dni, które nastąpiły obecnie, mało się różniły między sobą. Wczesny nocleg w dogodnym miejscu wybrzeża, wczesny odjazd, posiłek południowy spożyty naprędce i niekiedy parę strzałów do przygodnej zwierzyny. Zmarnowawszy dobę z powodu przygody Minnetaki, śpieszyli teraz, by odrobić czas stracony. Wabiła ich jaskinia podziemna, jej złote skarby, a być może bardziej jeszcze atmosfera tajemnicy i zagadek. Obliczali, jak długo będą mogli tam pozostać, by wrócić do Wabinosh House przed nadejściem srogiej, północnej zimy.

Trzymali się oczywiście tej samej drogi, co trzej łowcy złota w roku ubiegłym. Mukoki, obdarzony fenomenalną pamięcią istoty na pół dzikiej, wiedział dokładnie, jaki skręt rzeka uczyni w chwili następnej, gdzie mimo wiru i prądu można przejechać bezpiecznie, gdzie zaś przezorność nakazuje wysiąść i przenieść łódź lądem. Dzięki jego radom, które reszta podróżnych spełniała karnie, podróż odbywała się bezpiecznie i bez wstrząsów nieprzewidzianych.

Po upływie tygodnia opuścili Ombabikę, przenosząc łódź i rzeczy po dzikiej górskiej ścieżce brzegiem zawrotnej przepaści, w głębi której szalał spieniony potok. Za przełęczą znaleźli drogę szerszą i wygodniejszą, o wczesnym zaś popołudniu rozbili obóz na skraju wielkiej prerii, pociętej smugami zagajników, taflami jezior i stawów, powiązanych między sobą srebrnymi niemi strumieni.

— Nie tyle chce mi się wypocząć, co jeść — mówił Wabi wbijając w ziemię paliki namiotu i zerkając w stronę Mballi, która rozpałała właśnie ognisko.

— I mnie również — potwierdził Rodryg, z rozmachem rąbiąc na szczapy suchy konar topoli. — Czy tylko mamy dość mięsa? Na mnie liczcie z pięć funtów!

— Czemu nie dziesięć? — zachichotał Wabi, po czym poważniejąc dodał:

— Ale żart na stronę. Spiżarnia nasza nie jest doprawdy zaopatrzona zbyt obficie. Co tam mamy, Minnetaki?

— Jedną gęś i dwie kaczki, nic więcej — oświadczyła dziewczyna rozkładając ręce.

— Niewiele — skrzywił się Wabi. — Na dziś wieczór od biedy starczy, ale co będziemy jeść jutro?

— Przy tym — Rod zabawnie zmarszczył nos — już mi, szczerze mówiąc, to ptactwo zbrzydło. Dzień w dzień gęsi i kaczki, kaczki i gęsi. Przydałaby się dobra pieczeń jelenia lub polędwica z łosia.

— Łosie będą tu na pewno i karibu również — wtrącił naraz milczący dotąd Mukoki.

— Pójdziemy zapolować! Rod, Wabi, pójdziemy we trójkę, tylko zaraż, póki jeszcze świeci słońce! — wykrzyknęła Minnetaki wesoło.

— Hm, zaraz we trójkę — zaprotestował Wabi z udaną srogością. — Zostań w obozie, a my z Rodem pójdziemy.

— Ty zostań, a my z Rodem pójdziemy! — odparowała Minnetaki prędko. — Zabierzesz mnie ze sobą, Rod?

— Naturalnie! — wykrzyknął biały chłopak bez namysłu. — Tylko jesteś może zmęczona? — dodał po chwili refleksji.

— Ani trochę! Byłam, ale już nie jestem. Niepójdziemy zresztą daleko. Słyszałeś, co mówił Muki. Tu zwierzyny pełno. I nie czekając odpowiedzi, skoczyła do namiotu, chwyciła swoją fuzijkę oraz pas z nabojami i pobiegła pierwsza w kierunku pobliskiej gęstwy. Rod skoczył za nią, w pędzie łapiąc leżący na ziemi karabin. Wabi więc nie protestował dłużej i również wzięwszy strzelbę, puścił się za nimi w pogoń.

Uciekali szybko, lecz Wabigoon mógłby w biegu ustanawiać rekordy światowe, toteż po upływie para chwil zbliżył się tak znacznie, że tuż za plecami niemal słyszeli jego tętent. Wtenczas stanęli nagle. Omal na nich nie wpadł z tyłu, ale w ostatnim mgnieniu rzucając się w bok, potrafił uniknąć zderzenia. Po czym stanął — i wszyscy troje wybuchnęli śmiechem.

— Uf, alem się zmachał! — sapnął Rod. — Nie chciałbym się z tobą ścigać, Wabi!

Wypocząwszy sekundę ruszyli dalej. Młody topolowy zagajnik przechodził w las wysokopienny, gęsto podszyty rozlicznym krzewiem, tarniną kwitnącą, maliniakiem i leszczyną, przeplataną bylinami i powojem. Po elastycznym mchu nogi stąpały miękko i wygodnie. Idąc rozmawiali trochę, gdyż tak blisko obozu nie należało się spodziewać żadnej zwierzyny. Skoro się jednak oddalili nieco, Wabi zatrzymał się.

— Jeśli mamy coś upolować — rzekł — musimy się rozdzielić. Idąc we trójkę, sprawiamy zbyt wiele hałasu. Ty idź trochę w prawo, Rod, ja pójdę w lewo; zatoczmy obaj półkole i po przejściu dwu mil spotkamy się znowu. Zgoda?

— A co będzie ze mną? — spytała Minnetaki.

— Ty pójdiesz z jednym z nas — odparł Wabi. — Wybierz sobie towarzysza.

— Ze mną pójdiesz, Minni! — niepotrzebnie wyrwał się Rod. — Wiem, że wolisz iść ze mną.

Przecucie miał dobre, lecz pośpiechem popsuł całą sprawę. Minnetaki zarumieniła się lekko, po czym, strząsając warkocze na plecy, oświadczyła obojętnie na pozór:

— Dlaczego mam iść akurat z tobą? Właśnie że pójdę z Wabim.

I ruszyła pierwsza w obranym przez brata kierunku. Wabi podążył za siostrą, przy czym odchodząc wykrzywił się do kolegi trochę ironicznie. Na to Rod, nie pozostając dłużnym, z odpowiednim grymasem pokazał mu język. Pech chciał, że Minnetaki odwróciła się w tej chwili właśnie i widząc, co się dzieje, parsknęła śmiechem. Rod spaśował. Ze wstydu rad by się był pod ziemię zapaść. Że jednak ziemia nie chciała się jakoś rozstąpić, więc obrał sposób pewniejszy: dał po prostu nurka za najbliższe drzewo.

Idąc potem przez las, obserwował okolicę z niezmierną uwagą. Jedno tylko mogło zmazać despekt i wywyżżyć go w oczach Minnetaki — pomyślne łowy. Musiał upolować zwierzynę nie byle jaką, i to w czasie jak najkrótszym. Nie dać się Wabiemu ubiec. Jednym uchem łowił zatem szmery leśne, drugim nasłuchiwał, czy nie doleci doń trzask karabinu Wabigoona lub wysoki, czysty głos fuzyjki Minnetaki. Lecz cisza panowała niepodzielnie. Raz tylko wśród wierzchołków sosen załopotał skrzydłami duży jakiś ptak — zapewne zbudzona ze snu sowa.

Rodryg spojrzął na słońce, wyraźnym łukiem opadało coraz niżej. Na polankach cienie poszczególnych drzew wydłużały się nadmiernie. Powietrze ochłodziło. Do zmierzchu pozostawała godzina, do nocy — dwie. Jeszcze pilniej więc jął się rozglądać po lesie. Nagle stanął i znieruchomiał tak kompletnie, że można go było wziąć za posąg kamienny. Opodał chrupnęła gałąź.

Rodryg wstrzymał oddech, jednocześnie szybko robiąc w mózgu rozmaite wyliczenia. Chrząst doszedł z odległości około stu metrów, spoza kępy koślawej jedliny. Jeśli była to zwierzyna warta strzału, znajdowała się w pozycji dla myśliwego korzystnej, wiatr bowiem wiał w twarz Rodryga. Czuł wyraźnie na czole i policzkach lekki, chłodnawy ciąg. Światło również szło mu na rękę, był bowiem zwrócony do słońca tyłem. Ale nie mógł przecie strzelać na oślep. Po owym dniu

pamiętnym, gdy omal nie zabił Wabiego, poprzysiągł sobie, iż nie uczyni tego nigdy więcej. Z bijącym sercem, trzymając karabin w pogotowiu, jął się skradać naprzód.

Kędzierzawy mech, przyprószony igliwem zeszłorocznym, był trochę śliski, lecz przy pewnej uwadze pozwalał stąpać zupełnie bez szelestu. Rodryg sunął niby duch, wpierw nogą próbując gruntu, i dopiero zyskawszy mocne oparcie, przerzucił ku przodowi ciężar ciała. Przebycie niewielkiej polanki zajęło mu dobre parę minut. Dotarł wreszcie do kępy jodeł i lgnąc do zielonych gałęzi, ostrożnie, by nie spowodować najłżejszego szmeru, wyjrzał spoza drzew.

To, co zobaczył, napełniło go szaloną radością. O sto metrów, w głębi długiej, wąskiej łąki, pasł się leniwie piękny karibu. Stał bokiem, jakby umyślnie na strzał podany. Rodryg niezwłocznie podniósł broń do oka. Już miał pocisnąć cyngiel, gdy zwierzę wykonało pół obrotu i stanęło frontem, na domiar złego zakryte wykrzywionym pniem białej brzozy. Rodryg omal nie zaklął. Postanowił jednak nie poddawać się irytacji, wiedząc, jak szkodliwie działa gniew na pewność oka i ręki. Czekał uzbroiwszy się w cierpliwość. Minuty wlokły się nieznośnie. Karibu gryzł trawę i mech, po czym podnosząc głowę żuł powoli, a za każdym razem Rod przykładał broń do ramienia, by ją po chwili znów opuścić. Nie śmiał próbować podejść zwierza z innej strony. Wiedział, jak dalece karibu ma czuły węch, obawiał się więc słusznie, że przy najłżejszej zmianie pozycji zwierzyna zwietryzy jego obecność.

Znużony przeciągającym się oczekiwaniem, Rod rozproszył nieco uwagę. Obserwował właśnie jaskrawo upierzoną sójkę, polatującą z drzewa na drzewo, gdy karibu wykonał nagły ruch. Uczynił to wszakże tak szybko i niespodzianie, że Rodryg przegapił odpowiednią chwilę. Ćwierć sekundy może karibu stał zwrócony bokiem do zasadzki, po czym wykręcił ponownie i odwrócony do myśliwca tyłem, jął się oddalać, kłusując leniwie. Nim Rodryg wziął zwierza na muszkę, już miał przed sobą tylko kołyszający się miarowo zad.

Aż zęby zaciał z gniewu. Z tej odległości — sto pięćdziesiąt metrów prawie, i w tak niedogodnej pozycji — trudno było liczyć na strzał skuteczny. Wybrawszy jednakże moment, gdy karibu mijając jakąś przeszkodę, pokazał skrawek boku — Rod nerwowo szarpnął cyngiel.

Strzał huknął i porwany echem przetoczył się po lesie. Karibu zachwiał się wyraźnie, omal nie upadł, lecz nim Rodryg zdołał poprawić drugą kulą, zwierz dał olbrzymiego susa i zginął w gęstwie.

Był jednak niewątpliwie ranny, i to ciężko. Rod, trzymając karabin w garści, puścił się za nim w pogoń.

Wypadłszy zza jodły, sadił na przelaj przez łąkę. Był tak pochłonięty pościgiem, że nie zauważył nawet, iż grunt pod stopami chwieje się dziwnie, przy każdym kroku odpowiadając jakby mlaśnięciem. Przebiegł już dobry kawał, gdy nastąpiła katastrofa. Ziemia umknęła mu raptem spod nóg i zapadł w dół, uderzając piersią o coś twardego.

Uderzenie było tak gwałtowne i bolesne, że Rodryg omal nie zemdłał. Zbrakło mu tchu. Był pewien, że się udusi. W pierwszej chwili, zajęty cierpieniem fizycznym, nie zastanawiał się nad tym, co się właściwie stało. Dopiero gdy przez szeroko otwarte usta nieco powietrza wpłynęło w umęczone płuca, biały chłopak oprzytomniał, a oprzytomniawszy zrozumiał od razu.

Łąka, na którą się zapędził tak lekkomyślnie, była rozległym bagniskiem. Już sam jej wygląd: przejaskrawiona zieleń murawy, skarłate brzozy i osiny, rosnące tu i ówdzie — wskazywał na to dostatecznie. A w tym bagnisku znajdowały się gdzieniegdzie studnie, wypełnione wodą zaskórnią, powleczone po wierzchu cienkim kożuchem darni. Biegając szybko Rod utrzymywał się jakoś na błotnistym gruncie i byłby go może przebył bezpiecznie, lecz trafiwszy na studnię załamał się od razu, jak się załamuje łyżwiarz na źle zaskorupiałej przerębli.

Jednego nie 'mógł pojąć: jakim cudem żyje jeszcze? Dlaczego nie zatonął zupełnie? Nogami nie

sięgał dna. Wisiał w próżni wypełnionej śliską cieczą, na czymś, co mu podpierało pierś i czego się kurczowo, lecz bezwiednie trzymał oburącz.

Nagle uśmiechnął się. To była przecie fuzja! Biegnąc niósł ją przed sobą: padając uderzył o nią pierś, aż mu dech zaparło, i ona utrzymywała go teraz na powierzchni, sama przedziwnym sposobem znalazłszy w topieli oparcie.

Bardzo ostrożnie, by nie naruszyć równowagi, spojrział w prawo. Kolba spoczywała na mszystej kępie, wbita w nią i powleczone z lekka szklivem wody. Sunąc wzrokiem w lewo, gdzie pod pokładem błota przeczuwał linię łożyska, odnalazł lufę, uwikłaną między korzeniami karłowatej brzozy.

Wreszcie, o ile się dało, Rod spojrział po sobie. Tkwił w bagnie po pachy. Do przeciwległej krawędzi lasu miał około sto metrów. Nie mogąc odwrócić głowy nie wiedział, jak daleko jest las poza nim, lecz przypominając sobie rozmiar całej polany, zrozumiał, że tam przestrzeń jest jeszcze większa. Stosunkowo najbliżej było w lewo, kędy już o pięćdziesiąt metrów rósł piękny świerk, stojący niewątpliwie na twardym gruncie. Rod postanowił zwrócić wysiłek w tym kierunku.

Byle się ze studni wy dostać, nie wątpił, iż dotrze do brzegu, początek jednak przedstawiał trudności niemal nieprzewyciężone. Zaciskając ręce na fuzji, usiłował podciągnąć się wyżej, lecz nie wydzwignął się nad powierzchnię nawet na pół cala. Woda, błoto, porosty jakieś czepiały mu się nóg, wsysając jak gdyby w głąb bagna. Doznawał okropnego uczucia, że ciało spowija mu gad oślizły, obezwładnia go, nie puszcza. Wiedział przecie, że tak daleko na północ nie ma węży ani zmij, byłby jednak przysiągł, że cały kłęb gadzin pełza wokół niego.

Zdyszany, spocony, rozluźnił mięśnie ramion. Bagno mlasnęło i błotnista woda o cal wyżej zalała mu pierś. Pod wpływem chłodnego dotknięcia Rodryg oprzytomniał. Zrozumiał, że wszelki ruch jest dlań zabójczy i że należy czekać cierpliwie, aż przyjdzie pomoc.

Nie podnosząc głowy, tylko oczy same, spojrział na niebo. Obrócony twarzą ku wschodowi, nie widział zachodzącego słońca, lecz barwa niebios wskazywała wyraźnie, iż noc jest blisko. Błękit wypłowił, zbladł, a tu i ówdzie pojawiły się smugi seledynu. Po czubach drzew pełgała złotawa czerwień.

Rod wiedział, że jeśli ciemność go tu zaskoczy, jest zgubiony. Po nocy nikt go w lesie nie odnajdzie, a nawet odnalazłszy, nie zdoła mu udzielić skutecznej pomocy. Biały chłopak nie był tchórzem, lecz jak każda zdrowa, normalna istota instynktownie bał się śmierci. A. cóż dopiero mówić o śmierci takiej jak ta, powolnej, męczącej. Tonął już raz i pamiętał dobrze ten straszny brak tchu, to przerażenie obłądne, z jakim usta daremnie szukają powietrza. Ale —wtenczas dusiła go czysta, jasna woda, tu zaś groziło lepkie, śmierdzące błoto.

Spod rozdartej darni biły na powierzchnię topieli gazy dławiące; miał pełen nos i usta wstrętnego zaduchu. Ciało i mózg ogarniało coraz większe ośpienie i bezwład. W ramionach i palcach zdrętwiałe mięśnie sprawiały ból nieznośny. Miał szaloną pokusę rozluźnić je choć na chwilę. Jednakże nie chciał się poddać. Wierzył, że pomoc przyjdzie, że przyjdzie na czas.

Wabi! Tak, Wabi powinien się wkrótce zjawić. Niewątpliwie usłyszał strzał, toteż będzie Wiedział, gdzie przyjaciela szukać należy. Przyjdzie się przekonać, co Rodryg upolował. Młody Indianin ma tak dalece rozwinięty zmysł orientacji, że po tym jednym strzale na pewno doskonale zapamiętał kierunek.

Należy więc tylko cierpliwie czekać. Rod wyteżył słuch, myśląc, że może już ułowi szelest nadchodzących kroków lub dźwięk głosów. Wtenczas będzie wołał. Idą na pewno, rozmawiając, Wabi i Minnetaki. Minnetaki... Rod doznał wrażenia, że mu rumieniec zalewa policzki. Śliczna i taka dzielna siostra Wabigoona zobaczy go w tej głupiej pozycji, ubabranego w błocie po szyję! Toż się

będzie potem śmiała! I on chciał się nią opiekować w puszczy, on, który nie umie kierować Własnymi krokami. Dzisiejszy wypadek pasuje go na niedołęgę. Bo nie dość tego, że się dobrowolnie biedy napytał, ale jeszcze czeka teraz niby ciele, by go wydostano z matni.

Zaciął zęby. Raptowny przyptyk inicjatywy i energii ukazał mu od razu wszelkie możliwości. Spróbuje jeszcze raz. Da sobie radę sam. Zwycięży albo zginie.

Lekko zwracając twarz w lewo, ocenił wzrokiem odległość dzielącą go od brzoźki. Korzenie drzewa były tuż, lecz wrosnięte w ziemię, nie dawały możliwości chwytu. Pień białął na długość ramienia; Rodrygowi zdawało się, iż dobrze wyciągnąwszy rękę, chwyci go palcami. Tak, lecz by tego dokonać, należało wpierw puścić fuzję i zawisnąć nad topielą tylko na jednej dłoni.

Rod przeżegnał się w myśli, odetchnął głęboko i odrywając lewą rękę od fuzji, całym ciałem rzucił się w lewo. Dłonią szeroko otwartą, wyłamując nieomal palce ze stawów, dziko zagarnął powietrze. Dotknął kory, ale musnął tylko gładką powierzchnię i złowił próżnię. Gwałtowny ruch naruszył równowagę fuzji. Kolba ześlizgnęła się z darni, wjechała głębiej w błoto i w przerażeniu okropnym Rod uczuł, że tonie. Mętna woda zalała mu brodę, sięgając ust. Strach podciął go niby batem. Sprężając mięśnie nóg, ramion, karku, dobywając z ciała wszelkich ukrytych sił, skoczył jak szczupak w sieci, na ślepo zagarnął znów powietrze i w ostatniej chwili, idąc już na dno, zamknął kleszcze palców na pniu brzozy. Dobrą chwilę wisiał na wykręconym lewym ramieniu, w prawej ręce trzymając wciąż fuzję, która obecnie nie dawała żadnego niemal oparcia. Potem podciągnął się wyżej, lewym kolanem namacał twardszy grunt, ukląkł, wyrwał z bagna nogi i stanął, opasując brzozę ramieniem. Kolana miał tak słabe, że sądził na razie, iż nie uniosą ciężaru ciała i będzie musiał usiąść. W głowie mu huczało. Przed oczyma latały ciemne pląty.

— A to dobre, teraz może zemdleję! — rzekł sam do siebie głośno i roześmiał się. Usłyszał własny śmiech obok innego jeszcze dźwięku. Było to szczekanie zębów. Dopiero wtenczas zdał sobie sprawę, że od dłuższej już chwili kłapie zębami niby w ataku febry.

Wstrząsały nim dreszcze coraz silniejsze. Przez odzież przemokłą chłód wieczorny przenikał do kości. Dokuczał, ale i otrzeźwiał. Rod zrozumiał, że chcąc uniknąć choroby, należy co prędzej wracać do obozu.

Wydostanie się na skraj bagniska było rzeczą względnie łatwą. Macając przed sobą fuzją, niby ślepiec kijem, Rodryg sunął wolno bądź też skakał z kępy na kępę, obierając miejsca, gdzie rosły jakieś drzewka. W ten sposób po upływie kilku minut stanął na twardej ziemi.

Tkwiał jeszcze na krawędzi topieli, zataczając się jak pijany i ciężko oddychając z utrudzenia, gdy opodal rozległo się hukanie. — Ho—oo! — nawoływał baryton Wabigoona. — Ho—oo! — poprawiał wysoki sopran Minnetaki Rod nabrał tchu w piersi i odpowiedział przeciągłym okrzykiem. Wkrótce w gęstniejącym z każdą chwilą mroku dwie postacie zamajaczyły pośród drzew.

— Zabiłeś co, Rod?! — zawołała Minnetaki z oddali i wnet potem parsknęła śmiechem.

— Co ci jest? Jak ty wyglądasz?

Musiał w istocie wyglądać okropnie, uwalany błotem od stóp do głów i zewsząd ociekający wodą. Minnetaki nie mogła oczywiście wiedzieć, co zaszło; myślała może, że się po prostu wywrócił w kałuży. Ale Rodryga ogarnęły żal i oburzenie, że dziewczyna, zamiast wyrazić współczucie czy przestroch z powodu wypadku, bierze go z wesołej strony. Odpowiedział zatem krótko i sucho:

— Ugrzęzłem w bagnie. Omal się nie utopiłem.

Minnetaki krzyknęła lekko „ach” i zbieła jak płótno. Wabi skoczył do przyjaciela.

— Co ty mówisz?! Jak to się stało? Kiedy? Słyszeliśmy, że strzelałeś. Czy to dlatego?

— Nie — zaprzeczył Rod, umyślnie nie patrząc w stronę Minnetaki. — Strzelałem do karibu i raniłem go, a potem, ścigając zwierzynę, biegłem przez tę łąkę i wpadłem w bagno do ramion. Ale

jakoś wylazłem...

— Jakże mogłeś być taki nieuważny! — Wabi spoglądał na przyjaciela— z wyrzutem. — A gdybyś utonął?

— Przecie karibu się tam pasł!

— Ach, gadasz jak dziecko! Tam gdzie karibu i łoś przejdą bezpiecznie, człowiek ugrzęźnie od razu. Ale teraz lećmy do obozu, bo się przeziębisz i zachorujesz. No, dalej, biegiem!

Ruszył pierwszy, nadając kierunek. Rodryg już się miał za nim porwać do biegu, gdy uczył naraz, że w jego mokrą, uwalaną błotem dłoń wtula się drobna, szczupła rączka i ściska ją mocno. Nim, zrozumiawszy, odpowiedział uściskiem, Minnetaka cofnęła rękę i wymijając chłopca, śmignęła za bratem niby strzała. Więc Rod również popędził za nimi, a serce waliło mu w piersi mocno i nierówno, nie ze zmęczenia wszakże, tylko po prostu ze szczęścia.

SIADAMI KRWI

Do obozu wpadli zziajani i rozbawieni biegiem. Wabi zatrzymał się na sekundę, krzyknął Mukiemu parę słów i pobiegł dalej, wzywając Roda za sobą. Stał dopiero nad brzegiem pobliskiego stawu, gdy zaś Rodryg nadbiegł również, Wabi zdejmował już z siebie ubranie. Rodryg zrzucił z rozkoszą stęchłą, lepką odzież i skoczył w wodę w ślad za przyjacielem. Dał nurka raz i drugi, przegarnął palcami włosy, umył twarz i kułakiem szturchnął w bok płynącego' obok Wabigoona.

— Cóżes taki rad? — spytał Wabi, śmiejąc się i odpowiadając na zaczepkę przyjaznym kuksańcem.

— Życie jest rozkoszne! — odpowiedział Rod z przejęciem.

Brzegiem nadchodził właśnie Mukoki, niosąc dla Roda zapasową odzież. Chłopcy ubrali się śpiesznie i po upływie kwadransa siedzieli już przy buzującym ognisku. Minnetaki własnoręcznie podała Rodrygowi kubek dymiącej kawy, którą chłopak pił z widoczną przyjemnością, przegryzając świeżym plackiem, arcydziełem Mballi. Zgłodniały, milczał cały czas i dopiero ogryzłszy dobrą połowę pieczonej kaczki, zaczął z westchnieniem:

— A jutro rano głodówka na intencję mego pudła.

Na to Mukoki zachichotał w swój niezrównany, komiczny sposób, wskazując palcem pobliskie drzewo. Na gałęzi wisiało pół tuzina sporych ptaków o ciemnym, połyskliwym upierzeniu.

— Co to? — zdziwił się Rod.

— Młode cietrzewie — objaśnił Mukoki. — Upolowałem je na wszelki wypadek. Myślę sobie, a nuż wielcy myśliwi wrócą z próżnymi rękoma...

— Świetnie zrobiłeś, Muki! — wykrzyknął Wabi. — Młode cietrzewie to chyba najdelikatniejsze pieczyste. Palce lizać! A co do twego karibu, Rod, poszukamy go jutro. Jeżeli jest ciężko ranny, to nie powinien być daleko odbiec. Znajdziemy go bez trudu.

— O ile go wcześniej wilki nie znajdą — sceptycznie odezwał się Rod.

— Oczywiście, że wilki mogą nas uprzedzić. Ale wątpię. Zimą co innego. Teraz mają żeru dość, są więc mniej chciwe i mniej przebiegłe. Pójdziemy o świcie...

— To znaczy kto?

— No, ty, oczywiście, jeżeli nie będziesz zbyt rozbity po swojej przygodzie.

Rod pomacał pierś i syknął mimo woli.

— Trochę dolega. Nabiłem sobie porządnego sińca. Ale zimne błoto stworzyło od >razu coś na kształt kompresu, sądzę więc, że do jutra ból minie.

— Więc ty i ja... — ciągnął dalej Wabi.

— I ja! — wyrwała się Minnetaki. — Tylko jeżeli będziemy musieli się rozdzielić, to ja pójdę z Rodem, a ty sam!

Wabi uśmiechnął się nieznacznie i podniósł brwi, udając zdziwienie, Rod zaś miał po prostu ochotę przeskoczyć ognisko, by porwać w ramiona siedzącą po drugiej stronie dziewczynę. Przez cieniutką mgiełkę dymu, wiszącą nad płomieniem, widział jej rumianą twarz, ujętą w ramę dwu połyskliwych, czarnych warkoczy — i taka mu się też później jawiła nocą. Niestety, zdaniem Roda, zarówno sen, jak i noc trwały zbyt krótko. Po prostu byłby przysiągł, że ledwie oczy zamknął, już go Wabi szarpnął za ramię, wołając wesoło:

— Wstawaj, Rod, już świta! Jeżeli chcemy odnaleźć twego karibu, trzeba ruszać!

Więc porwał się raźnie, strząsając z powiek resztki snu, i po upływie kwadransa szli już we trójkę przez prerię. Trawa białała od ciężkiej rosy, jakby ją kto osnuł szronem, choć pierwsze błyski słońca szukały już tu i ówdzie migotliwych lśnień. W lesie panowała mroczna ciemność. W gąszczu było prawie czarno. Ale ptaki już się zbudziły, więc ćwierkanie i szczebiot dzwoniły w powietrzu.

Rod wcale nie był pewien, czy trafiłby tak od razu do pamiętnego bagna, lecz Wabi szedł jak po jasno wytkniętym szlaku, nie wahając się, nie kołując wcale. W pewnej chwili stanął i wskazał ręką:

— Tam jest topiel. Tam lewy brzeg, na który wyszedłeś wczoraj. Kędy, twoim zdaniem, uciekał karibu?

Rod opowiedział, jak mógł najdokładniej. Wabi namyślił się krótko.

— Spróbujemy zrobić tak — rzekł wreszcie. — Pójdziemy obecnie razem, a dopiero gdybyśmy tropu od razu nie znaleźli, rozdzielimy się, by móc szukać łatwiej.

— Czy można rozmawiać? — spytała Minnetaki. Wabi skinął głową.

— Oczywiście. Po dwunastu godzinach karibu albo padł, albo też uciekł tak daleko, że, rozmowa go nie spłoszy.

— W takim razie — Minnetaki, idąc między obu chłopcami, zwracała się jednak tylko do Roda — jak się przedstawia nasza dalsza podróż?

— Bardzo prosto! — odpowiedział Rod z ożywieniem. — Przed wieczorem jeszcze powinniśmy dojść do małej rzeczulki, odległej stąd zaledwie o parę mil. Tam czeka nas około dwóch godzin jazdy w górę prądu, ale że prąd jest dość leniwy, więc to nic strasznego. W miejscu gdzie rzeczulka skręca w kierunku, dla nas nieodpowiednim, porzucimy ją znowu, przenosząc łódź i rzeczy nad potok górski, co zajmie nam dobre pół dnia, gdyż odległość jest znaczna. Stamtąd droga jest już prosta zupełnie. Jediną przeszkodę stanowią dwa wodospady, gdzie należy łódź przenosić lądem...

— No i wir — wtrącił z boku Wabi.

— No i wir — poprawił się Rodryg. — Wir, który nas omal nie pochłoniął w zeszłym roku. Ów wir więc, pierwszy wodospad, drugi wodospad, a przy trzecim jesteśmy w domu!

— Wiem — rzekła Minnetaki, mimo woli, jakby pod wpływem trwogi zabobonnej, zniżając głos do szeptu niemal. — Przy trzecim wodospadzie znajdziemy chatę, jaskinią podwodną, złoto i...

— Przygody, tajemnice, rzeczy nieprzewidziane zupełnie! — dokończył Rodryg.

Oboje zamilkli na chwilę i błędząc myślą w krainie fantazji, silili się odgadnąć, co ich właściwie czeka. Żaden z chłopców jednak ani nawet obdarzona bujną fantazją Minnetaki nie przeczuwała, jak dalece okropna rzeczywistość przewyższy najdziwniejsze ich pomysły.

— Ale to potrwa chyba ze dwa tygodnie? — rzekła znów dziewczyna.

— Tss! — syknął naraz Wabi stając. Minnetaki i Rodryg stanęli również.

— Karibu? — szeptem spytał Rod, trzymając już fuzję w pogotowiu.

— Nie! — szeptem zaprzeczył Wabigoon. — Ale coś bardzo ciekawego. Patrzcie!

Pochłonięci rozmową Rod i Minnetaki mało zwracali dotychczas uwagi na otoczenie, teraz wszakże od razu objęli wzrokiem najbliższy krajobraz. Znajdowali się nad brzegiem małego jeziora, którego woda migotała w słońcu, ale poza tą wodą, pełną drobnych fal, oboje nie dostrzegli nic godnego uwagi.

— Bardzo ładny widok... ale... nic więcej — rzekła Minnetaki po chwili namysłu. Rod lekko wzruszył ramionami na znak, że i on również nie dostrzega nic szczególnego. Zastanowiło go co prawda falowanie wody przy zupełnie spokojnym powietrzu, nie przypisywał temu jednak głębszego znaczenia. Wabi roześmiał się cicho i wskazując dłonią, szepnął:

— Tam!

Rodryg wpatrzył się uważniej. Nieco w prawo, opodal brzegu, zauważył sterczące nad wodą ciemne wypukłości, podobne do szczytów zatopionych powodzią uli.

— Bobry! — syknął podniecony.

Minnetaki milczała, zwracając na brata wzrok pytający:

— Ależ nie, to nie są bobry, to szczury piżmowe! — odpowiedział Wabi.

— Szczury piżmowe?!

— Wabi ma rację — szepnęła Minnetaki. — Nie widziałam ich co prawda nigdy, bo w pobliżu Wabinosh House szczurów piżmowych nie ma, wiem jednak, że budują domki podobne do bobrowych żeremi.

— I przypominają bobry sposobem życia, a nawet wyglądem — uzupełnił Wabi. — Są tylko znacznie mniej płochliwe. Bobry, nastraszone przez ludzi, nie pokazałyby się pewno do wieczora, tymczasem te stworzonka zaraz się pojawiają. Cicho! Nie ruszajcie się...

Skamienieli wszyscy troje. Minuty płynęły. Raptem Minnetaki chwyciła Rodryga za rękę. Jej bystre oczy zdążyły już wypatrzeć to, co Rodryg zauważył dopiero obecnie. Toń jeziora, wygładzona poprzednio, jakby wyprasowana pociągnięciami promieni słonecznych, rozpekła się nieco i pojawił się na niej ciemny punkcik — mały, czarny nosek, wężący chciwie. Potem wynurzyła się głowa. Wyłupiaste oczy zerknęły nieufnie. Wnet jednak szczur, uspokojony widać, wydał okrzyk dziwaczny i jezioro zaroilo się od razu od podobnych mu stworzeń. Dzieląc wodę na bruzdy i redliny, zwierzątka płynęły to ku brzegowi, to ku nowowznoszonym domostwom. Wyłażąc na ląd, otrzępywały się niby pies po wyjściu z kąpeli. Ciemne futerko wysychało od razu, odzyskując szlachetną barwę polerowanego mahoniu.

Po upływie kilku minut praca nad budową wioski wrzała w całej pełni. Wszystkie szczury co prawda ustawicznie obserwowały przybyszów, nie przeszkadzało im to wszakże w robocie. Mniejsze stworzonka, zapewne matki z młodzieżą, cięły na brzegu budulec — trzciny zeszłoroczne, suche badyle i pręty; po czym, pchając przed sobą, splewiałały je wodą na miejsce przeznaczenia. Tu ojciec rodziny przyjmował materiał i badał go zewsząd, wspinając się na tylnych łapkach, wsparty na ogonie niby kangur. Potem, bęc, dawał nurka w wodę i oto już wracał, niosąc w stulonych przednich łapkach dobyte z dna muł, pełen przegniłych szczątków roślinnych. Umieszczał budulec na właściwym miejscu, spajał go zaprawą murarską i znów wspięty na ogonie, odbierał nowy badyl, bokiem jednocześnie zerkając w kierunku dwunogich intruzów.

Rod byłby chyba patrzył do jutra. Zdumiewała go i napełniała podziwem precyzja, szybkość i logika pracy tych drobnych, niepozornych stworzeń. Lecz wreszcie Wabi trącił go w ramię i gęsiego, powoli, by robotników nie płoszyć, jęli się wszyscy troje oddalać. Skoro odeszli już na pewną odległość, Rodryg rzekł:

— Nadzwyczajne! Taka pracowitość! Taka inteligencja! I to zwykły, pogardzany szczur!

— U nas wszystkie zwierzęta są nadzwyczajne — z naiwną dumą podkreśliła Minnetaki. — Każde ma mnóstwo cnót, i to nie byle jakich!

— A żebyście wiedzieli, jak porządnie jest taki domek wykonany wewnątrz! Jak szczelne ma ściany! Dość powiedzieć, że podczas największych chłódów woda w środku nie zamarza nigdy, więc szczury mogą się całą zimę kąpać. A są to wielkie czyściochy!

Wabi umilkł, rozejrział się, obliczył coś w mózgu i nagle znów głos ściszył:

— Teraz uwaga! Rod, jeżeliś dobrze zapamiętał kierunek, to twój karibu musiał uciekać gdzieś tędy. Przypuszczalna jego droga mogła wieść między tym miejscem, gdzie stoimy obecnie, a tamtym modrzewiem, którego czub widzimy o ćwierć mili. Byłe znaleźć pierwszy ślad, choć najmniejszy — kroplę krwi, złamaną gałąź, to dalej pójdzie już łatwiej. Naturalnie przez noc tropy się zatarły. Idź o

kilkanaście kroków ode mnie, w linii równoległej, i patrz dobrze!

Rozdzieliwszy się poczeli wolno sunąć przez las. Minnetaki trzymała się Roda. Spoglądając w prawo, między rzadko rosnącymi drzewami Rod widział przebłycki jasnej zieleni teraz dopiero poznał, iż jest to zdradziecka topiel, w której poprzedniego dnia omal życia nie postradał. Skręcił nieco w jej kierunku, sądząc, że na wilgotnym gruncie prędzej coś dostrzeże, lecz elastyczny mech równie mało mógł powiedzieć o wczorajszych zdarzeniach, co woda, którą by ranny zwierz przepłynął przed kilku godzinami.

Rod przystanął, wyprostował zgarbione przy szukaniu plecy i spojrzął w stronę Wabiego. Młody Indianin przechadzał się opodal, to spoglądając w ziemię, to znów wodząc wzrokiem po drzewach w pobliżu. — Znalazłeś co? — cichutko zagadnęła Minnetaki.

Rod przecząco ruszył głową, lecz nagle ze zdławionym okrzykiem przypadł do ziemi. Minnetaki kucnęła obok. Na zielonym mchu widniała spora ciemna plama.

— Krew! — szepnął Rod podniecony. — To mój karibu! Minnetaki podniosła z ziemi białawy kłębek, strzęp wydartego wraz z mięsem futerka, i obejrzała go krytycznie.

— To nie karibu — rzekła wstając. — To zajęcza turzyca. W tym miejscu sowa, a może lis schwytał zajęca. Zresztą krew jest jeszcze lepka. Więc to się stało w każdym razie nad ranem, nie zaś wczoraj.

Rodryg spojrzął na dziewczynę z uznaniem. Wobec niej i wobec Wabiego — jedynych przyjaciół, jakich posiadał — nie doznawał nigdy uczucia zawiści. Ilekroć stwierdzał ich przewagę nad sobą, cieszył się prawie, jednocześnie starając się im. w doświadczeniu dorównać.

Mozolne poszukiwanie rozpoczęło się na nowo. Rod kroczył ze wzrokiem utkwionym w ziemi. Wtem stanął, potem przykląkł i długo, z namysłem badał nowy szczegół. Z dołu w górę pytająco spojrzął na Minnetaki.

— Tak — odpowiedziała dziewczyna. — To chyba ślad właściwy.

W tym miejscu leżąca na ziemi spróchniała gałąź była przełamana na pół, niby pod czyjś ciężkim stąpieniem, a przysypany okruchami, zdarty mech obnażał glinę z utrwalonym słabo zarysem racicy.

Rod wyprostował się, zamierzając krzyknąć na Wabigoona, lecz Indianin nadchodził właśnie. Gdy znalazł się tuż, biały chłopak wskazał mu ziemię oczyma.

— Patrz! — rzekł z triumfem. Wabi spojrzął dość pobieżnie.

— Karibu — rzekł. — Choć może być także łoś lub jelen. To się nie da sprawdzić. Ale ja również trop znalazłem. Jeżeli między twoim tropem a moim znajdziemy trzeci, mogący służyć jako łącznik, będzie to dowodem, że jesteśmy na właściwej drodze.

Ruszył szybko, odrywając wzrok od ziemi po to jedynie, by nim sunąć po otaczających drzewach. Nagle stanął.

— O, masz, przebiegł tędy!

Na drzewie, o metr od ziemi, kora była lekko starta i zafarbowana ciemną smugą zakrzepłej cieczy.

— Krew! — rzekł Wabi. — Otarł się o pień krwawiącym bokiem. A tu jest mój trop.

Mało już na otoczenie zważając, pośpieszył dalej, by stanąć znów koło powalonej wiatrem brzozy.

— Patrzcie! Krew najwyraźniej!

Brzoza była istotnie zbryzgana posoką tak silnie, że nawet zupełny laik byłby to dostrzegł. Wabi dodał krótki komentarz:

— Karibu przesadził brzozę jednym susem, ale z wysiłku rana otwarła mu się szerzej i krew

bluznęła. Widzicie, tam znowu ślad!

Przeskoczył leżący pień i szedł tropem, zgięty nieco, przy czym opięty skórzany kubrak uwydatniał grę mięśni ramion i karku. Rod, postępujący nieco w tyle, odnosił wrażenie, że z jego druha, półkrwi Indianina, opada nalot cywilizacji, a pozostaje jedynie prawowite dziecko puszczy i prerii, obdarzone wzrokiem, węchem, słuchem i instynktem nieomal nadludzkim. Nie śpieszył mu z pomocą; wiedział, że pomóc nie może. Kroczył więc milcząc, w oczekiwaniu dalszych zdarzeń.

Wabi stanął.

— Tu karibu odpoczywał — rzekł wskazując wyraźnie odcisnięte w mchu duże wgłębienie. — Jest ciężko ranny. Nie powinien był ujść daleko.

Puścił się znów śladem, stawiając długie, zręczne kroki. Rod—ryg i Minnetaki musieli miejscami biec, by nie pozostać zbyt w tyle. Po upływie dziesięciu minut Wabi zatrzymał się znowu.

— Tu leżał bardzo długo. I bardzo niedawno odszedł. Po wschodzie słońca dopiero.
wschodzie słońca dopiero.

— Skąd wiesz o tym? — spytał Rod zaintrygowany.

— Bo — Wabigoon nie odrywał oczu od ziemi — trawa i mech są silnie zgniecione, a przy tym suchsze niż obok. Karibu zajmował to miejsce jeszcze podczas opadania rannej rosy. Ale... to ciekawe...

Zgiął się niżej, przesunął po ziemi czubkami palców, schylony zatoczył koło, pilnie czegoś wypatrując, potem wyprostował się nagle, niby łuk, z którego zdjęto cięciwę, i marszcząc czoło, spojrzał w gąszcz otaczający.

— Co takiego? — spytali Rod i Minnetaki niemal jednocześnie.

— Zdaje się... Tak, jestem nawet pewien, że karibu ktoś stąd spędził. Porwał się na nogi raptownie, choć z wielkim trudem. Widać, jak mu się racice po mchu ślizgały, o, tu i tu! — Wabi mówiąc wskazywał palcem, jak znawca wskazuje szczegóły na specjalnie ciekawym obrazie. — Tu zatoczył się i ledwo nie upadł. Gwałtowność ruchów widać już choćby po tym, że rana znów krwawi.

— Może usłyszał nas nadchodzących i zląkł się? — zaryzykował przypuszczenie Rod.

— Może szukał wody? — poddała swą hipotezę Minnetaki. Wabi trząśł głową.

— Ani jedno, ani drugie. Dla zaspokojenia pragnienia miał rosę. Zresztą, najwidoczniej uciekał w popłochu. Coś go wystraszyło, ale nie my. Nas mógł usłyszeć przed pięciu minutami, tymczasem oddalił się co najmniej przed kwadransem.

— Więc...

— Nie wiem. Żadnych obcych śladów nie ma.

I nie wdając się w dalsze szczegóły, na nowo rozpoczął pościg. Las kończył się. Drzewa rzedyły. Zamiast śmigłych, rudych sosen wyrastały rozczochrane krzaki leszczynowe, rozpinając pod słońce seledyn młodych liści. Kępy drobnych irysów, liliowych, białych i żółtych, tworzyły w trawie barwne plamy. Tu i ówdzie otwierały się krótkie perspektywy, niby aleje parku, zapchane natychmiast kłębem zbitej zieleni. Wabi rzucał się to w prawo, to w lewo, dawał nurka pod zwieszane nisko arkady gałęzi, przesadzał pnie zbutwiałe. Rod i Minnetaki, zdyszani, tracili go chwilami z oczu. Właśnie znikł im w gęstym maliniaku, gdy usłyszeli raptem jego głos:

— O...!

Przedarli się przez zjeżone kolcami krzaki malin, zostawiając po drodze strzępy ubrania. O dwa kroki zobaczyli Wabiego. Stał nieruchomo. Stanęli również.

Pod stopami mieli urwisko tak strome i głębokie, że zasługiwało właściwie na miano przepaści. Zielona, przetykana kwiatami darń, kończyła się niby ucięta nożem, a pionowa żółta ściana

pomieszanej z piaskiem gliny opadała w dół ku rozległej płaszczyźnie prerii.

— Karibu musiał tu spaść! — rzekł Wabi. — Zaraz zobaczę. Ale wy nie podchodźcie bliżej, bo się jeszcze brzeg zawali.

Ostrożnie stąpił nad samą krawędź, spojrzął i cofnął się nieco.

— Leży! — oświadczył. — Ale nie ma mowy, żebyśmy tu zejść mogli. Trzeba poszukać łagodniejszego spadu. Wy idźcie w prawo, ja w lewo.

Rozbiegli się na dwie strony. Urwisko tworzyło coś na kształt półkola, ujmując prerię wielką klamrą, że zaś chłopcy i Minnetaki wyszli z lasu w połowie łuku, mogli zatem objąć wzrokiem całe jego wygięcie. Toteż Rodryg zawnazę już upatryzył miejsce odpowiednie. I tu co prawda pochyłość była znaczna, lecz pomagając sobie rękoma, dość szybko spełzli na dół, przy czym najwięcej ucierpiała odzież. Ledwo stanęli na łące, zobaczyli Wabiego wynurzającego się spoza paru krzaków rosnących u podnóża. Między Wabim a sobą o kilkadziesiąt kroków dostrzegli ciemną masę na pół ukrytą w trawie.

— Twój karibu! — rzekła Minnetaki.

Rod skinął głową. Podeszli bliżej. Karibu nie żył. Spoczywał na boku, skulony dziwnie, z wyprężoną jedną nogą. Łeb miał zarzucony wysoko, oczy wytrzeszczone. Z rozwartego pyska zwisał język. W nozdrzach zakrzepła ciemna krew. Krew zboczyła długi, białawy włos na podgardlu. Rogi, sformowane zupełnie, lecz miękkie jeszcze i pokryte mchem, potrzaskane były i skrwawione. Całość sprawiała wrażenie niezmiernie żalosne. Wszyscy troje milczeli chwilę.

— Dwulatek — rzekł Wabi.

— Biedny. Cały połamany — szepnęła Minnetaki, głucho.

— Spaść z tej wysokości! — Rod wzrokiem zmierzył żółtą ścianę, górującą ponad nimi na kształt wysokiego na kilkanaście metrów nasypu. — Ale co mu strzeliło do głowy? Po co to zrobił?

Szukał odpowiedzi w twarzy Wabigoona. Nagle drgnął. Minnetaki, stojąca obok, chwyciła go za rękę.

— Co...? — zaczął Rod zdziwiony, lecz raptem zrozumiał. Opodał, zza krzaka, spoza którego przed chwilą wyszedł Wabi, wynurzał się charakterystyczny trójkątny łeb, pierś i przednie łapy wilka. Podrzucił fuzję do ramienia, nim wszakże zdołał pocisnąć cyngiel, zwierz cofnął się i znikł, jakby nie istniał nigdy.

— Co to było? — pytał Wabi, który, zwrócony do krzaka plecami, nic nie zauważył. Trzymając również karabin w garści, wodził wzrokiem po pustym krajobrazie, próżno szukając celu, do którego Rod mierzył przed chwilą. — Co się stało, Rod, dlaczego chciałeś strzelać?

— Wilk! — odpowiedziała Minnetaki.

— Teraz już wiemy, czemu karibu spadł z urwiska — uzupełnił Rodryg. — Wilk go ścigał. Ale swoją drogą, co za bezczelność podchodzić tak blisko, gdy my tu jesteśmy!

— Mówcie porządnie — prosił Wabi. — Nic nie rozumiem. Co za wilk?

— Zwyczajny wilk — tłumaczyła Minnetaki. — Wysunął się spoza tamtego krzaka.

— Chyba wam się przywidziało! Latem, w biały dzień, tak blisko ludzi! Wykluczone!

— Ależ tak! Widzieliśmy przecie! Prawda, Rod? — Naturalnie.

— Może to był pies—wilczar? Może tu kto w pobliżu mieszka?

— Ależ gdzie tam. Wilk na pewno!

Wabi zamilkł. Milczał przez cały czas ćwiartowania karibu, rzucając zaledwie skąpe, niezbędne wskazówki. W drodze powrotnej dopiero, gdy Minnetaki wysunęła się naprzód, półgłosem zwrócił się do Roda:

— Słuchaj, czy to na pewno był Wilk?

Rod spojrział na przyjaciela zdziwiony.

— Gdzie? Co? Ach, tamten? No, oczywiście!

— Czy... nie zauważyłeś w nim nic szczególnego?

— Nie! Cóż by miało być? Widziałem go zresztą tak krótko... Na tym rozmowa się skończyła.

Wabi milczał do samego obozu, jakby mu mowę odjęło.

NIEZWYKŁE SPOTKANIE

Uf — sapnął Rod, ostrożnie spuszczać ciężkie brzemie na piasek przybrzeżny. — Alem się zmachał.

Z rozkoszą wyprostował zgarbioną postać, rozcierając ścierpłe ramiona i ręce. Nie, dziw, że był zmęczony. Odbyli bowiem właśnie dwumilową wędrówkę lądem, niosąc na plecach cały dobytek. Dwaj chłopcy dźwigali łódź z kory brzoźowej, ułożywszy wprzód na dnie jedwabny namiot, karabiny i wiosła. Minnetaki i Mballa na saniach z jodłowych gałęzi wlokły rzeczy lekkie a nieporęczne: trochę naczyń kuchennych, odzież zapasową. Mukoki wreszcie, krzepki jak niedźwiedź mimo szóstego krzyżyka, niósł potężny toból, złożony z największych ciężarów: naboju, prochu i żywności.

Co pół mili odpoczywali wszyscy, lecz że odległość była niewielka, zatem krótko po południu, o jasnym jeszcze dniu, stanęli u celu podróży.

— A ty jak się czujesz? — pytał Rodryg przyjaciela. Nie mógł pojąć, co się stało Wabiemu. Młody Indianin był milczący i tak zadumany, że często trzeba było dwukrotnie pytania powtarzać, zanim usłyszał i zrozumiał. Teraz również drgnął, niby przebudzony ze snu, i odparł półprzytomnie:

— Ja? Nie! Doskonale... dziękuję... Rodryg poufale ujął go pod ramię.

— Słuchaj! — szepnął serdecznie. — O co chodzi? Masz jakie zmartwienie? Powiedz, co ci jest?

— Ależ nic! — zaprzeczył Wabigoon. Chciał już odejść rozbijając namiot, gdy nagle, namyśliwszy się snadź, przysunął się do kolegi bliżej.

— Masz rację. Coś mi jest. Ale nic złego. Przeciwnie. Tylko słuchaj. Muszę się oddalić z obozu, im prędzej, tym lepiej. Wrócę dopiero o zmroku, może nawet nocą. Otóż nie chcę, by wiadano zawczasu o mojej wycieczce. Zaraz będą pytać o powód, a to na razie tajemnica. Szczególnie Minnetaki... kobieta, rozumiesz? Zechce koniecznie dojść, co i jak? Więc proszę cię o przyjacielską przysługę. Za chwilę pójdę, niby zbierać jedlinę na posłania i zniknę. Staraj się, by nie zauważono tego jak najdłużej. Lecz gdy wreszcie dostrzegą moją nieobecność, uspokój ich i powiedz, że wrócę wkrótce. Zgoda?

— Zgoda! — solennie oświadczył Rod. Podstęp Wabiego wywarł wpływ zamierzony. Biały chłopak, choć ciekaw strasznie, co przyjaciel ma na myśli, uważałby sobie teraz za największą ujmę zadawać jakiegokolwiek pytania. — Zgoda! Licz na mnie.

W wesołym rozgardiaszu, jaki nastąpił przy rozbijaniu obozu, ustawianiu namiotu, rąbaniu drzewa, rozpalaniu ogniska — Wabi tak się zawinął, że Rod nie umiałby nawet określić dokładnie, kiedy przyjaciel znikł mu z oczu. Gdy zaś po upływie pół godziny Mukoki pierwszy spytał o pupila, Wabi był już daleko.

Z karabinem przewieszonym przez plecy szparko kroczył prerią, obierając miejsca zarosłe, by wyzyskać ochronę krzaków. Wracał na razie szlakiem dopiero co przebytym, potem skręcił nieco w lewo i o ćwierć mili poniżej poprzedniego obozowiska zagłębił się w las. Mimo pewnego znużenia dobrze nogi wyciągał, a spojrzawszy czasem na niebo, jeszcze kroku przyśpieszał. Minał osadę szczurów piżmowych oraz bagnisko, które omal że nie stało się mogiłą Roda. Teraz zaczął iść wolniej i baczniej wodzić wkoło wzrokiem po otaczającej gęstwie, jak gdyby chcąc wydrzeć puszczy zazdrośnie strzeżone tajemnice.

Urwisko, u stóp którego znaleziony został martwy karibu, było już odległe o niespełna pół mili,

gdy Wabieniu wydało się, że słyszy szelest. Przystanął. Lecz szelest się nie powtórzył, tylko na pobliskiej sośnie zajadłe kuł dzięcioł. Wabi po chwili ruszył dalej.

Obdarzony fenomenalną pamięcią wzrokową, bez trudu odnajdywał przebyty rano szlak; każdy krzew, każdy kamień i kwiat były mu wskazówką. Minał skraj lasu porosły leszczyną, wyszedł na sam brzeg urwiska, spojrzął w dół i — skamieniał.

Dochodziła piąta. Słońce zjeżdżało już ku zachodowi, lecz jego ukośne promienie miały jeszcze dość blasku, by jaskrawo uwypuklić groźną scenę. Na zielonej murawie leżały szczątki karibu, a nad padliną stało dwoje żywych stworzeń: ryś i wilk.

Ryś był trochę skulony, jak kot gotujący się do skoku. Miękką linią grzbietu falowała lekko, chwiały się pędzelki sierści nad uszami. Wilk stał twardo, przednimi łapami wsparty na żebrach karibu. Czuło się, że mięso jest jego, że je pierwszy znalazł i że wobec niezaprzeczonego prawa własności gotów jest bronić ścierwa do upadłego.

— Wolf! — krzyknął Wabi. Rozpoznał go od razu, tego wilka przyjaciela, który mu uciekł podczas napadu Woongów i którego tak bardzo żalowali wraz z Mukim. — Wolf!

Zerwał fuzję z ramienia. Wiedział, że żaden wilk, zarówno jak żaden pies, w pojedynkę rysia nie zmoże. Nim nie będzie za późno, chciał posłać łupieżcy kulę. Nie zdążył.

Ryś skoczył. Skoczył jak piłka futbolowa, podbita silnym kopnięciem. Przeleciał powietrzem parę metrów dzielących go od Wolfa, padł na kark i razem potoczyli się po ziemi.

Wabiemu oczy płonęły. Dyszał ciężko. Znajdował się w tej samej pozycji co w teatrze widz z najwyższej galerii, będący świadkiem mordu na scenie. Nie mógł zejść na dół; ściana była nie tylko prostopadła, lecz nawet nieco wklęsła. Nie mógł skoczyć; przestrzeń była zbyt duża. Fuzja, którą gniótł w garści, równie mało była w danej chwili przydatna co zwykły kij. Przy takiej odległości i z wysoka najlepszy strzelec nie mógł ręczyć za celność strzału.

A zwierzęta przewalały się i targały w dole w walce zajadłej. Wydarta sierść fruwała kłębami. Ziemię, zlaną już hojnie zakrzeplą posoką karibu, broczyła na nowo świeża krew. Lecz ruchy wilka stawały się powolniejsze; żywy splot miotał się słabiej. Ryś brał najwidoczniej górę.

Gdy nagle...

Opodał, w tym miejscu zbocza, gdzie rano Minnetaki i Rod schodzili w dół, ktoś krzyknął. Wabi zbyt był przejęty, by rozróżnić wyrazy, niewątpliwie jednak krzyk wyszedł z ust ludzkich. Wnet zaś po tym krzyku po pochyłości potoczyło się coś rudego, jakby oderwana od szczytu wielka bryła gliny. Wabi patrzył oszołomiony, nic nie rozróżniając.

Ruda bryła zleciała na łąkę, rozwinęła się, wydłużyła i sadząc ogromnymi susami, gnała ku zapaśnikom. Było to zwierzę — olbrzymi pies, biały w brązowe łaty. Dopadł coraz słabiej szamocących się wrogów i skłębił się z nimi w jedno..

A po zboczu zsuwał się już nowy kształt. Tym razem był to człowiek. Zjeżdżał w stromych miejscach, zrywał się, biegł, padał, zrywał się znowu i leciał — na pomoc psu.

Wabi poznał naraz oboje: człowieka i zwierzę. Krzyknął. Sam nie wiedział, co chciał tym krzykiem wyrazić: radość czy gniew. Lecz krzyknawszy, skoczył niby jelen, kilkadziesiąt kroków przebiegł krawędzią urwiska i na złamanie karku runął w dół.

Gdy dopadł podnóża, walka była skończona. Na szczątkach karibu leżały ryś i wilk, tworząc jednolitą niemal masę, tak zbryzganą krwią, że zatracaly się kontury ciał i barwy futer. Opodał, nad zziąjanym, ociekającym świeżą posoką psem, klęczał Batisi. Oburącz tuląc do piersi łeb bernardyna, powtarzał w kółko:

— Snow! Mój Snow...

Pies skomlał, stękał, chwilami piszczał jak małe szczenię i dygotał całym potężnym cielskiem.

Wstrząsały nim krótkie, nerwowe dreszcze, nie wiadomo: bólu, wyczerpania czy po prostu podniecenia walką.

— Batisi! — rzekł Wabigoon.

Indianin podniósł głowę znad psiego łba. Piękna brązowa twarz wyszczuplała mu bardziej jeszcze, stając się w tym zdrobnieniu po prostu dziecinna. Jeśli przedtem wyglądał na lat osiemnaście, teraz sprawiał wrażenie szesnastoletniego chłopaka. Ciemne oczy wydawały się aż za duże, z tych zaś oczu po śniadych policzkach spływały łzy.

Wabi doznał uczucia rozdrażnienia i niechęci. Czerwonoskóry wyrostek, stojący na granicy lat męskich, nie powinien za lada przyczyną płakać jak baba. Przemówił niemal z gniewem:

— Jeśli ci tak psa żal, to po co kazałeś mu mieszać się do walki?

— Wcale nie kazałem! Snow sam poleciał. Wołałem, żeby został, ale on, jak tylko bójkę zobaczy, nie zważa na nic. A teraz, jeżeli zdechnie... to... to ja nie wiem...

Usta mu się trzęsły, broda drżała, jakby miał się zaraz głośno rozszlochać. Wabi, na pół ubawiony, na pół zły, roześmiał się:

— Daj pokój! Nic mu nie będzie. Niedźwiedź, nie pies. Przy tym ryś był już osłabiony walką z tamtym. Ale mój Wolf zginął...

— Twój?

— Mój wilk. Ten wilk, z którym ryś walczył, to był mój, chowany od małego. Jako szczenię trafił w sidła i rodzeni bracia omal go nie zjedli. Potem w czasie pewnej przygody, właśnie w tych stronach, przed półtora rokiem — uciekł czy też skradziono mi go. Dziś zobaczyłem, Wolfa przypadkowo. To jest, nie zobaczyłem nawet, ale wiedziałem, że jest tutaj. Przyszedłem więc sam, żeby go odszukać... bo... tak, jestem pewien, że on mnie jeszcze pamiętał. Przyszedłem i trafiłem, na sam początek walki. Stałem na górze. Nie mogłem nic pomóc...!

— Wiem. Widziałem ciebie — skinął głową Batisi.

Słowa te wymknęły mu się mimo woli. Z wyrazu twarzy łatwo było poznać, że żałował ich i rad by je cofnął. Wstał, jak gdyby chcąc odejść. Wabi wyprostował się, kładąc mu dłoń na ramieniu.

— To może ty szedłeś za mną przez las? Wydawało mi się raz, że słyszę kroki...

— Ja!

Uczył zeznanie zuchwale, niemal wyzywająco. Wabi szukał w mózgu właściwej reakcji. W samym zdarzeniu nie było przecie nic złego — puszcza jest dla wszystkich. Jednakże fakt, że Batisi się krył, że w ogóle trafił w te strony, dawał do myślenia. Wabigoon już usta otworzył, chcąc coś rzec, gdy wtem ze stosu ciał na pozór martwych popłynął głuchy jęk.

Batisi i Wabigoon spojrzeli na się wzajem szeroko rozwartymi, zdumionymi oczyma. Potem jednocześnie skoczyli w kierunku, skąd głos dochodził.

— Któreś żyje! — krzyknął Wabi.

Pochylili się nad zwierzętami. Ryś leżał na wierzchu. Był niezaprzeczenie martwy. Miał zgruchotaną kość pacierzową. Odciągnęli go na bok i ujrzeni Wolfa. Wilk, zboczony krwią własną i kota, stanowił nieforemną, lepką masę, ale dyszał jeszcze choć ślepie miał zamknięte. Chude żebra pod kłakami starganej sierści unosiły się i opadały kurczowo.

— Wody, prędzej, wody! — błagał Wabi i trzęsącymi się rękoma dźwigał łeb ulubieńca.

Nieprzytomnie rozejrzał się wkoło. Batisi stał wyprostowany, wzrokiem badając otoczenie i wciągając powietrze w ruchliwe nozdrza. Przypominał jelenia wietrzącego bliskość rzeki. O sto kilkadziesiąt metrów w lewo rosła kępa wierzb. Batisi śmignął ku nim niby strzała. Tylko nogi mu migały nad zieloną murawą.

Po upływie kilku minut wracał już wolniej, oburącz niosąc swoją torbę myśliwską, pełną Wody.

Przez szwy sączyła się "wilgoć, zostało jej jednak jeszcze tyle, że Wabi mógł zlać wodą łeb wilka. Uczynił to ostrożnie, uważnie, jak gdyby szło o przyjaciela—człowieka. Po biciu własnego serca poznawał, jak dalece zależy mu na utrzymaniu zwierzęcia przy życiu. Przez skojarzenie myśli przypomniał sobie łyzy Batisiego nad pokaleczonym Snow i zrobiło mu się wstyd, że potraktował chłopaka tak ostro. Prawem kontrastu uczuł dlań teraz wielką wdzięczność i gorącą sympatię. Podniósł wzrok. Batisi klęczał obok.

— Po raz drugi — rzekł — dziękuję ci! Dziękuję bardzo...

Po twarzy Batisiego przemknęło zmieszanie. Odwrócił oczy.

— Może przenieść wilka nad wodę? — zaproponował. — Tam jest źródło...

Wskazał wierzby. Wabi pochylił się niżej nad Wolfem. Bał się ruszyć zwierzę, by mu nie skonało od razu. Po chwili jednak namysłu wziął je na ręce i ostrożnie stąpając, ruszył w kierunku drzew. Batisi kroczył z tyłu, niosąc obie fuzje. Na ostatku, kulejąc i skomlać, człapał Snow.

Wabi był bardzo silny, jednakże ciężar wilka i niewygodna pozycja tak go zmęczyły, że ledwo dowlókl się nad wodę. Jak najdelikatniej złożył ranne zwierzę tuż przy źródle, odsapnął i pogrążył się cały w robieniu opatrunków. Przemysł niezliczone drobne skaleczenia, przykrył świeżymi liśćmi głęboką ranę pod łopatką, zadaną pazurami rysia, i drugą, niemniej groźną, na karku. Okropnie wyglądała prawa przednia łapa zmiażdżona w paru miejscach, zwisająca tylko na strzępach skóry i mięsa. Wabi wziął ją w dwie gałązki niby w łupki, bandażując całość paroma pasmami kory wierzbowej.

Skończywszy zastanowił się chwilę. Wilk żył wciąż jeszcze; oddychał ciężko, nierówno, ale oddychał. Jęczał nawet coraz głośniejsze. Wabi był zbyt mało doświadczonym weterynarzem, by poznać, czy Wolf ma jakie poważne obrażenia wewnętrzne, pamiętał wszakże, co mu Muki mówił kiedyś: „Jeżeli ranne zwierzę nie skona na miejscu, to przy odpowiedniej pielęgnacji powinno się z ran wylizać”. Wtenczas szło o pociągowego psa, pokąsanego w walce z obcą sforą. Wabi jednak sądził słusznie, że pogład ten da się również zastosować do wilka. Mukoki! Mukoki, najdoświadczeńszy z lekarzy samouków w całej krainie północnej! Gdybyż on mógł się Wolfem zaopiekować!

Wabi westchnął. Od obozu dzieliło go dobre parę mil, wiedział zaś dobrze, iż w żadnym razie nie potrafi przenieść na tak znaczną odległość żywego ciężaru, i to w dodatku w tak niewygodnej pozycji. Na plecach — prędzej. Ale jak tu wilka wziąć na plecy?

Obejrzał się za Batisim. Czerwonoskóry klęczał w trawie opodal, coś pilnie majstrując. Wabi pomyślał najpierw, że opatruje psa, lecz w tej chwili właśnie zobaczył bernardyna po drugiej stronie źródła. Snow leżał na boku, systematycznie oblizując krzepnące już rany.

— Batisi! — zawołał Wabigoon. — Batisi! — powtórzył, gdy Indianin, zerwawszy się z ziemi, pośpieszył ku niemu. — Myślę, że mój wilk będzie żył, ale... ale... — plątał się, nie mogąc wykrztusić prośby — trzeba by go przenieść do naszego obozu... Parę mil...

Batisi zmrużył oczy z ledwo dostrzegalną drwiną.

— Wiem — rzekł. — Nosze są już gotowe.

Oddalił się nieco i wrócił, wlokąc to, nad czym pracował w trawie: dwie żerdki równoległe, oddalone od siebie o pół metra i połączone pośrodku gęstą wiklinową plecionką. Przysunął nosze jak najbliżej Wolfa i stojąc nad Wabim spojrzał w niebo.

— Jeżeli będziemy szli bardzo szybko — rzekł — to do obozu dojdziemy za godzinę. Ale śpieszmy, bo za godzinę będzie ciemno.

I podczas gdy Wabi, oszołomiony, sam nie wiedział, co podziwiać bardziej: te nosze, sporządzone tak w porę, czy też fakt, że chłopak wie, gdzie leży obóz — Batisi pochylił się już nad

Wolfem.

PONURA WRÓŻBA

W obozie Rod bohatercko odpierał ataki obu kobiet i Mukiego.

— Nic nie wiem — dowodził szczerze. — Wabi nic mi nie powiedział. Mówił tylko, że musi odejść, a im prędzej, tym lepiej — zacytował słowa dokładnie. — Wróci nocą.

— Już jest noc — stwierdziła Minnetaki ponuro. — O, widzisz, księżyc wschodzi.

— W jakim kierunku się oddalił? — cicho pytała Mballa. Indianka była tak małomówna, że to jedno zdanie z jej ust lepiej malowało powszechny niepokój niżli długie wywody pozostałych.

— I tego nie wiem. Nie zauważyłem nawet, jak odszedł. Muki — Rod instynktownie szukał oparcia tam, gdzie najłatwiej mógł je znaleźć — Muki, czy sądzisz, że mu się co złego stało?

— Skądże mogę wiedzieć — stary wzruszył ramionami z irytacją. — Wabi jest prawdziwym mężczyzną, ale puszcza jest puszcza.

— Ale dokąd poszedł? — Minnetaki iście po kobiecemu najbardziej była tą kwestią przejęta. — Przecie nie na polowanie? Mięsa mamy dość! Żebyśmy wiedzieli, w jakiej jest stronie, toby go można poszukać. Jasno jest jak w dzień.

Księżyc wypłynął już istotnie spoza horyzontu, zalewając ziemię mlecznym światłem. Krajobraz rozpadł się od razu na dwie kontrastowe barwy: białą i czarną. Tylko jak daleko sięgał blask płonącego w obozie ogniska, leżało na trawie koło złotej czerwieni. Poza tym kręgiem na.. srebrnej łące. rosły krzaki z oksydowanej stali, dziwaczne i niesamowite. Spoza jednej z kęp, o sto metrów od obozu, wynurzyła się ruchoma sylwetka. Rod dostrzegł ją pierwszy.

— Wabi! — krzyknął.

Porwali się wszyscy. Minnetaki już miała skoczyć bratu naprzeciw, gdy wtem stanęła.

— Tam jest dwóch ludzi — rzekła zdziwiona. — I... z tyłu jakieś zwierzę!

Mukoki trzymał już w garści karabin. Metalicznie szczękniętą odwodzony kurek.

— Coś niosą! — szepnął Rod, za przykładem starego Indianina biorąc fuzję do ręki. Cofnęli się też nieco wszyscy od ognia, by lepiej widzieć, a sami być mniej widziani.

— Co to mogą być za jedni? — rozważała Minnetaki.

A ci kroczyli bardzo wolno,, jak gdyby znużeni czy też niepewni przyjęcia. Księżyc świecił im w plecy, odcinając kontury sylwetek na kształt chińskich cieni, nie dozwalał natomiast rozróżnić twarzy. Stanęli. Złożyli na ziemi dźwigany ciężar. Jeden podniósł dłonie do ust. — Hoo! — popłynął w ciszy dźwięczny głos.

Minnetaki chwyciła dłoń Roda, ściskając ją aż do bólu.

— Wabi! — zawołała i pędem puściła się naprzeciw. Rod, Mukoki, nawet Mballa pobiegli za nią. Nie upłynęły dwie minuty, a już otoczyli Wabiego, zasypując go gradem pytań:

— Gdzie byłeś? Czy nic ci nie jest? Zmęczonyś pewno? Głodny?

Nagle Minnetaki zachwiała się. Jakiś zwierz ogromny wpadł na nią z nienacką i omal z nóg nie zwałił. W pierwszej chwili przerażona, poznała go wnet i zdumienie odjęło jej po prostu mowę.

— Snow! — ledwo zdołała wykrztusić.

A bernardyn skomlił z wielkiej uciechy, podskakując niezgrabnie, po czym kucnął na zadzie i jął ujadać do księżyca.

— Snow... — powtarzała Minnetaki oszołomiona. — Batisi! — krzyknęła naraz.

Pobiegła do samotnej, stojącej na uboczu postaci i chwyciła ją za rękę.

— Tak się cieszę, że cię widzę! — mówiła bezładnie. — Tak się cieszę, że... no, nie wiem! Ale jakim cudem? Czy cię Wabi znalazł?

— To długo gadać — Wabi zabrał teraz głos. — Najważniejsze, że obaj razem znaleźliśmy Wolfa!

— Gdzie jest? — krzyknął Mukoki.

— Tu. Na noszach. Ryś go pokaleczył. Nie wiem, czy żyje. Stary Indianin przykląkł nad noszami i zerwał się natychmiast ruchem prawie młodzieńczym.

— Prędko, prędko, do obozu! — naglił. — Jeszcze żyje! Ale nie traćmy czasu!

Głos i ruchy wskazywały, jak bardzo jest przejęty. Sam ujął nosze z jednej strony, Rod chwycił je z drugiej i po upływie pięciu minut złożyli biednego Wolfa przy ognisku. Rod przyniósł wiadro wody, Mballa czyste szmaty i garnczek z maścią ziołową. Minnetaki usługiwała tymczasem bratu i Batisiemu. Podała im pieczone mięso, placki, kawę i z radością patrzyła, jak jedli.

— Powiedźcie, jak to było? — prosiła, przenosząc świecące oczy kolejno z brata na Roda. — Jak znalazłeś Batisiego, Wabi? I Wolf, skąd się Wolf wziął tutaj? Taka jestem ciekawa, że ledwo mogę wytrzymać!

Zwracała się do brata, czatujJak c jednakże tylko na pretekst, by i Batisiego zasypać pytaniami. Ale Batisi milczał, trzymając oczy spuszczone, przy czym w migotliwym blasku płomieni sprawiał wrażenie dziwnie pięknego pogańskiego bożka.

— Opowiem później, gdy wszyscy będą słuchali — rzekł Wabi. — Gdyż inaczej musiałbym zaraz powtarzać po raz drugi. A jak tam z Wolfem?

Ranny wilk leżał opodal na podłożu derce, Mukoki zaś opatrywał go pochylony. Wabi wstał i wraz z siostrą podszedł bliżej.

— Jakże z nim, Muki?

— Nic. Będzie żył. O mało mnie nie ugryzł. To dobry znak. Widać, że mu siły wracają. Ale...

— Ale...?

— Prawa przednia łapa na nic! Ledwo się trzyma. Nie ma mowy, żeby się zrosła. Gangrena pewna...

— Więc...?

— Trzeba uciąć. Trudna rada.

Wyciągnął z pochwy swój nóż myśliwski, ostry jak skalpel, i począł go wecować na biodrze. Potem wyjąłowił stal nad płomieniem i pochylił się znów nad Wolfem. Minnetaki uczuła, że jej się robi słabo.

— Nie mogę na to patrzeć! — szepnęła i zataczając półkole, by wyminąć żar ogniska, wróciła na poprzednie miejsce. Batisi siedział z podwiniętymi nogami, nieruchomy, wpatrzony w płomienie. Wyglądał jak posąg z brązu. Siadła obok. Uśmiechnął się do niej kątem ust.

— Pora mi iść — rzekł i uczynił ruch, jak gdyby zamierzał wstać.

Przytrzymała go za rękę.

— Dokąd?

— Gdziekolwiek. W las.

— Więc jesteś tu sam? — spytała jak najostrożniej. Twierdząco skinął głową:

— I tu, i w ogóle!

— Zostań w takim razie z nami. Zasepił się i ponuro błysnął oczyma.

— Z wami? Po co? Do jutra?

— Nie do jutra, tylko na zawsze. A po co? Bo cię lubimy. Wabi, Wabi! — zawołała na widok nadchodzących brata, Mukiego i Roda — mówię Batisiemu, by został z nami, a on chce odejść.

Wabi usiadł tuż przy młodym Indianinie.

— Oczywiście, że zostanie — rzekł. — Słuchajcie, opowiem wam teraz, jak to było z Wolfem. Więc by zacząć od początku; skoro tylko powiedzieliście mi dziś rano, że jakiś wilk czaił się w krzakach tuż za mną, zaraz mi Wolf przyszedł na myśl. Nie mogłem uwierzyć, by pierwszy lepszy dziki wilk ważył się na takie zuchwalstwo. Latem i w pojedynkę wilk boi się człowieka, natomiast nasz Wolf mógł to uczynić pchany resztką przywiązania. I dlaczegóżby to nie miał być on? Przecie nam tu właśnie zginął przed półtora Tokiem. Nie chciałem się dzielić z wami moim domysłem, bo nuż by się okazał fałszywy. Postanowiłem sam sprawdzić. Wróciłem zatem na urwisko do padliny karibu, gdzie wiedziałem, że wilk również wrócić musi. No i tam... Obszernie opowiedział całe zdarzenie, kończąc tymi słowami.

— Gdyby nie pies Batisiego, Wolf byłby zginął! Gdyby nie Batisi sam, zginąłby również. O własnych siłach nigdy bym go nie potrafił donieść do obozu!

Minnetaki aż w ręce klasnęła.

— Więc wyratował Wolfa, no i wtenczas mnie! Czyż nie mówiłam, że jest nadzwyczajny? Zostaje z nami! Przyjmujemy go do swego grona! Zostaje i już!

Wabi uśmiechał się, Mukoki chichotał po swojemu, spoglądając na młodego Indianina z wyraźną sympatią. Wabi twierdził ongiś, że po nim samym i Minnetaki stary myśliwiec najbardziej kocha Wolfa. Było w tym niewątpliwie trochę przesady, ale to pewne, że ratując wilka, Batisi po raz drugi trafiał do serca Mukiego. Tylko Rod zdawał się wyłamywać spod ogólnego nastroju.

— Nie pytasz go nawet, czy chce zostać? — wtrącił drwiąco.

— Chce! Naturalnie, że chce! Batisi, prawda, że z nami zostajesz? Mówiłeś przecie, że jesteś sam. Jedziemy razem do Złotej Jaskini, a potem...

— Tss! — syknął Rod ostrzegawczo. Minnetaki, zmiarkowawszy, że powiedziała zbyt wiele, urwała w pół zdania. Lecz już było za późno. Batisi podskoczył.

— Do Złotej Jaskini? — wykrzyknął. — Więc wy tam jedziecie?!

Z kolei oni się zdziwili.

— To ty znasz Złotą Jaskinię? — spytała Minnetaki.

— Wiesz, gdzie leży? — dodał Wabi.

— Wiem. Koło wodospadu. Tam, gdzie stoi pusta chata białych ludzi.

— Byłeś w niej?

— Nie. Ale mówił mi taki, co był. Tam pełno złota: złote bryły, złoty piasek. Ale skarbów pilnują duchy. Kto do jaskini wejdzie — zginie!

— Błaga! — z gniewem wtrącił Rod. — My tam byliśmy: Mukoki, Wabi i ja, i nic nam się nie stało!

— Skarbów pilnują duchy! — powtórzył Batisi z naciskiem. Czarne oczy, dziwnie rozszerzone, wlepił w ogień, jak gdyby widział tańczące w płomieniach zjawy. Głos drżał mu zabobonnym lękiem.

— To są duchy złe. Odbierają ludziom życie, a jeśli życia nie wezmą — odbierają rozum. Są jak powietrze. Człowiek ich nie widzi. Widzą je tylko nietoperze latające w jaskini i ze strachu padają na ziemię martwe. Potem duchy chwytają ludzi za gardło. Duszą. Najdzielniejszy wojownik jest w ich rękach bezsilny jak nowonarodzone niemowlę w łapach niedźwiedzia...

Mówił z takim przejęciem, że obecni odczuli powiew grozy. Minnetaki nieznacznie obejrzała się przez ramię. Nie wierzyła w duchy, a jednak strach nią targnął. Instynktownie przysunęła się bliżej do ognia.

Mukoki zachichotał. Miał to być drwiący śmiech, zabrzmiał jednak fałszywie, ci zaś, co Mukiego

znali lepiej, zmiarkowali od razu, że i na nim opowieść o duchach wywarła niemiłe wrażenie. Siłą się wszakże na ton obojętny, stary machnął ręką.

— Jużeśmy raz myśleli, że mamy do czynienia z duchem, a to był tylko wariat.

— Duchy czy ludzie — uzupełnił Rod — niebezpiecznie z nami zadzierać! Próbowali Woongowie i przegrali! Próbował Woonga sam i zginął z mojej ręki!

Niesamowity nastrój udzielił się także jemu. Czuł na plecach przykry dreszczyk, jak gdyby strach kościstymi palcami przebierał mu po skórze. W tym stanie ducha zrobił to, czego normalnie nie uczyniłby nigdy: chętnie wspomniął o popełnionym niegdyś zabójstwie. Był to mord z konieczności, w obronie życia — niemniej przeto mord! Szlachetna dusza Roda buntowała się przeciwko temu. Nieraz nocą stawała mu przed oczyma ta scena okropna, gdy własnoręcznie zgładził człowieka. Prawda, Woonga był zbirzem najgorszego gatunku, opryskiem i zbrodniarzem — mimo to Rod wzdrygnął się na wspomnienie strasznej sceny. Ilekroć przeżywał koszmar senny, najbardziej męcząca była nie chwila, gdy nóż Woongi rozdzierał mu mięśnie, lecz moment, gdy on sam czuł, jak pod jego dłonią, przedłużoną stalową klingą, rozstępują się z chrzęstem tkanki żywego ciała przeciwnika.

Zapadła kłopotliwa cisza. Rod byłby chętnie uciekł, taki go raptem ogarnął żrący wstyd. Minnetaki podniosła na niego oczy pełne zdziwienia i wymówki. Lecz nagle zerwała się z krzykiem:

— Batisi! Co mu jest?!

Młody Indianin siedział sztywno, z głową odrzuconą w tył, z oczyma w słup, i mimo zwodniczego światła płomieni znać było, jak strasznie jest blady. Minnetaki rzuciła się ku niemu. Wabi, siedzący najbliżej, podparł chłopaka ramieniem w obawie, że upadnie.

— Wody! Wody! — wołała Minnetaki klękając obok. Mukoki śpieszył już z manierką. Przytknął ją do ust Batisiego. Ten łyknął nieco płynu, zakrztusił się, odkaslnął i na pół przytomnie spojrzał po otaczających.

— To nic! — wybełkotał. — Już mi lepiej...

Słowa wybiegały mu z trudem przez zaciśnięte zęby. Poniżej szczupłych policzków kurczowo drgały mięśnie szczęk. Z falującego gardła oddech wylatywał ze świstem.

— Ale co ci jest? Co ci jest? — pytała Minnetaki nieomal z płaczem.

Zwrócił na nią oczy jak dwie czeluście wypełnione mrokiem. Były bez wyrazu, silnie wpadnięte w głąb czaszki.

— Nic! nic! To... no, tak... schodząc z urwiska upadłem. Boli... — przycisnął rękę do piersi.

— Pewno żebro złamane! — wykrzyknął Wabi. — Muki, prędko, trzeba go rozebrać, opatrzyć!

Lecz Batisi odzyskał raptem siły. Głosem zupełnie prawie normalnym zaprotestował gwałtownie:

— Nie trzeba! Nic mi nie jest! Już przeszło. To ze zmęczenia.

— Muki zobaczy. Co ci to szkodzi? — perswadował Wabi trzymając go nadal za ramiona. — Muki zna się na ranach i stłuczeniach jak żaden inny znachor.

— Nie chcę! — Batisi jednym szarpnięciem wydarł się z uścisku Wabiego. — Nie chcę i już! Dajcie oni spokój!

— Ależ stary wariacie! — Wabi był zły i ubawiony jednocześnie. — To dla twego dobra! Przecie nikt ci krzywdy nie robi.

Pochylił się ku Batisiemu, lecz nagle znieruchomiał, takie go ogarnęło zdumienie. Oto Batisi zręcznym ruchem porwał się na nogi, jak żbik uskoczył wstecz i w jego dłoni zabłysnął nóż.

— Nie dam się tknąć! — syknął dziko. — Zabiję, jeśli mnie kto ruszy!

Patrzyli na niego w osłupieniu, jakby zamiast człowieka zobaczyli raptem przed sobą stwór nieludzki. Rodryg pierwszy odzyskał głos.

— Ależ on jest nieprzytomny! — rzekł. — Oszalał, naprawdę oszalał.

Ognisko oświetlało Batisiego do pół ciała; ramiona ledwo majaczyły w mroku; twarz tonęła w cieniu zupełnym. Toteż nikt nie widział w owej chwili jej wyrazu. Usłyszeli tylko głos daleki, obcy, głos matowy i bezbarwny.

— Dajcie mi pokój! Dajcie mi pokój! Ale do Jaskini Złotej z wami... pojedę!

PRZYMIERZE

Wariat albo i gorzej! — mówił Rodryg ponuro. — Po co się do nas przyplątał? Jeszcze nieszczęście sprowadzi. A w każdym razie już nam zepsuł majówkę.

— Jak komu! — wyzywająco rzuciła Minnetaki. — Mnie wcale nie!

— Minni! — upomniał siostrę Wabi, kręcąc głową z wyrzutem.

Splonęła ciemnym rumieńcem, po czym pokornie zajrzała w oczy zasepionego Rodryga.

— Rod, nie gniewaj się! Wiesz przecie, że... no, że wcale o niego nie dbam! Ani tyle! — Na różowym paluszku wyznaczyła cząstkę istotnie mikroskopijną. — Ale mi go żal. Wygląda taki strasznie opuszczony i samotny. Poza tym oddał nam tyle przysług. I wreszcie... no, co tam, powiem, prawdę: interesuje mnie jego tajemnica. Bo że tajemnica się w nim kryje, to fakt. Nie jest z pewnością tym, kim się być wydaje, tylko kimś zupełnie niezwykłym...

— Prawdziwa z ciebie kobieta! — Rod, udobruchany, uśmiechał się wesoło. — Przyznaję, że mnie również intryguje ten jegomość. Wczoraj na przykład...

— Że się tak bronił przed kuracją Mukiego — wtrącił Wabi. — To jeszcze zrozumieć najłatwiej. Indianie mają swoje przesady, swoje zabobony. Mógł sądzić, że mu nasze lekarstwa przyniosą nieszczęście.

— Ale z Mukim się mimo to zaprzyjaźnił — zauważyła Minnetaki.

Był już ranek. Batisi spędził noc w obozie, śpiąc owinięty w derkę, na uboczu, tuż koło: swego psa. Obecnie 'zaś przy dogasającym obozowym ognisku opatrywał wraz z Mukim ранego Wolfa. W pobliżu siedział Snow, zziębnięty po niedawnym pościgu za wiewiórką; wywiesiwszy na pierś ćwierć metra szkarłatnego ozora, przyglądał się ciekawie ludzkim czynnościom.

Wolf miał się lepiej, dla wszystkich już było jasne, że nie umrze z ran. Groziła mu natomiast śmierć z głodu. Wraz z nawrotem sił wracała dzikość wilcza i nabyty w kniei narów, nie dozwalający przyjąć jadła z ręki ludzkiej. W czasie opatrunku bronił się warcząc, a tak groźnie świecił bielą zębów, że trzeba mu było zakneblować pysk. Teraz, mimo że był uwolniony z więzów, nie chciał nic tknąć. Próżno podtykano mu pod nos świeży ochłap mięsa. Boczył się nieufnie i pokarmu nie brał.

— Zdziczał zupełnie! — biadał Mukoki. — Ale jak się wygłodzi, to może złagodnieje.

Na razie więc dano Wolfowi spokój. Rozwidniło się już zresztą, więc należało ruszać w drogę. Łódź spuszczone na wodę i dopiero wtenczas wynikł nowy kłopot.

— Ale jak się wszyscy pomieścimy w łodzi? — rzekła Minnetaki. — Dwie osoby więcej, a nawet trzy!

— Skąd trzy? — zaoponował Rodryg.

— No: Batisi, Snow i Wolf!

— Snow i Wolf! Ładne osoby!

— Ważą w każdym razie tyleż co ludzie, a i miejsca zajmują nie mniej od nas.

Batisi, który pomagał przenosić pakunki, zatrzymał się przy rozmawiających.

— Pójdę brzegiem — rzekł. — Wieczorem spotkamy się nad potokiem górskim.

— Dobrze. Na razie jest to zupełnie możliwe — przyznał Wabi. — Ale dalej będzie gorzej. Tu brzeg jest płaski, otwarty, idzie się więc wygodnie. Lecz potok płynie albo lasem, albo wśród trudno dostępnych skał, tworzących takie wertepy, że koza chyba potrafiłaby je przebyć. Przy tym, i to

najważniejsze, tu jedziemy w górę prądu, czyli względnie wolno, a tam poniesie nas prąd, i to wartki! Pieszko nie nadażysz, nie ma mowy!

Batysi uśmiechnął się. Od wczoraj był to pierwszy uśmiech; opromienił mu ciemną twarz i 'zmiękczył' surowe rysy.

— Ja nie pójdę pieszko — rzekł. — Nad potokiem mam swoją łódź.

Po czym gwizdnął na psa i oddalił się. Obecni śledzili go wzrokiem. Wreszcie spojrzeli po sobie. Wabi parsknął śmiechem.

— Coraz to nowa niespodzianka. Zabawmy chłopak!

— A największa niespodzianka jeszcze będzie — wtrącił Mukoki zagadkowo.

Rzucili się na niego wszyscy.

— Co takiego? Muki? Co wiesz o nim? Powiedz?! Stary myśliwiec bronił się chichocząc.

— Może coś wiem, a może i nic nie wiem. Jeżeli nie zauważyliście sami, to wam i tak nie powiem!! — I puszczając dalsze pytania młodzieży mimo uszu, zajął się szykowaniem łodzi do odjazdu.

Minnetaki nie mogła się uspokoić. Przenosząc wzrok z Roda na Wabiego, powtarzała w kółko:

— Ale co mieliśmy zauważyć? Co? Powiedzcie, co?

Oni jednak wiedzieli tyleż co ona, to znaczy nic, że zaś Mukoki okazał się nieugięty, zagadka została na razie nie rozwiązana.

Batysi, tak jak obiecał, zjawił się wieczorem w obozie. Zjadł, co mu dano, i milczał wpatrzony w ogień. Minnetaki rzekła niby od niechcenia:

— Ale co za dziwny traf, że się wtenczas z Wabim spotkałeś...

Odpowiedział nie zmieniając wyrazu twarzy i nie odrywając oczu od płomieni:

— To nasze strony. Polowałem tu nieraz.

— Słyszałeś? Nasze strony! — szepnął Rod Wabieniu na ucho, gdy szli z wiadrami po wodę. —

Co to znaczy — nasze? Co za plemiona tu mieszkają?

— O ile wiem, stale — żadne — odpowiedział Wabi po chwili namysłu. — Koczują za to i polują najrozmaitsze: Woongowie, Psie Żebro, niektóre szczepy Komanczów. Nie mam pojęcia, o kim on mówi, tym bardziej że z wyglądu nie zdaje się należeć do żadnego. Woongowie są bardzo brzydki i mają charakterystycznie wystające kości policzkowe; Pisie Żebro, wywinięte wargi i cerę żółtawą, zbliżoną do Eskimosów; Komancze wreszcie krótkie nogi i szerokie bary. Gdy tymczasem on...

Wracali już do obozu i nie dochodząc świetlnego kręgu ogniska, stanęli wstrzymani ostrzegawczym „psst!” Minnetaki. Wszyscy czworo: ona sama, Batysi, Mballa i Mukoki, patrzyli w jednym kierunku. Chłopcy spojrzeli również.

Na podesłanej derce, mając przed sobą kawał mięsa, leżał Wolf a wkoło niego krążył Snow. Wielki bernardyn to zbliżał się do inwalidy, to oddalał, czasem stawał bokiem, patrząc w dal, jak gdyby go nic na świecie nie obchodziło, to znów przysuwał się nieznacznie. Trudno było orzec, co pociąga go bardziej: smakowite mięso czy też chęć zawarcia znajomości z burym zwierzem i ciekawość, dlaczego ten się nie rusza. Wilk spoczywał na boku z podkurczonymi trzema łapami, wystawiwszy ku przodowi obandażowany kikut czwartej. Ogon schował pod brzuch, uszy przyklepił do czaszki. Włos na karku zjeżył niby szczotkę. Krwawe ślepia łykały spod opuszczonych do połowy powiek. Warczał cicho, nieustannie, jakby kto darł o siebie chropawe przedmioty. Gdy pies się przysuwał, warkot cichł, natomiast spod odwiniętych ciemnych warg wysuwały się kły, długie, ostre, wygięte jak kościane haki.

Na tę wrogą demonstrację bernardyn cofał się początkowo tyłem niby rak, jeżąc sierść i warcząc

również. Potem coraz mniej zwracał na nią uwagi. Podchodził bliżej. Sapiąc wysuwał ogromny łeb i ciekawie chłonał powietrze w czarne nozdrza. Zapewne odór wilczy, zapach ludzka, płynący z opatrunków i dery, na której leżał Wolf, oraz woń mięsa łączyły się dla jego powonienia w jedną miłą całość.

Nagle Snow wydłużył szyję i złapał mięso zębami. Byłby je wchłonał jednym łykiem, tak potężną miał paszczę, lecz nie zdążył. Wolf, dojęty do żywego, odzyskał pod wpływem pasji cząstkę utraconych sił. Wstać co prawda nie mógł, ale podrzucił głowę, sięgając kłami pyska natręta. Odległość była zbyt znaczna. Nie dostał. Chwycił natomiast mięso, uderzył kęs i z łupem w zębach opadł znów na posłanie.

Snow zaryczał wściekle. Zdawało się, że się na przeciwnika rzuci i rozerwie go na sztuki. Stałoby się tak niechybnie, gdyby nie osłabienie, które zgasiło w ciele Wolfa wszelkie wrogie objawy. Wilk leżał niby szmata, z ochłapem mięsa w pysku. Snow przestał ryczeć i sapnął. Przełknął swoją porcję. Usiadł. Ziewnął szeroko od ucha do ucha. Wreszcie z westchnieniem wyciągnął się na brzuchu jak długi i począł przyjaźnie wachlować ogonem. Wolf, z wolna odzyskując siły, wywracał na psa białka ślepi, jednocześnie przełykając żarłocznie trzymane w pysku mięso.

Ludzie obserwowali tę scenę z zapartym oddechem. Minnetaki nie mogła już wytrzymać. Jak strzała skoczyła do psa, uklękła przy nim i poczęła gładzić ciężki łeb. Snow zaskomlił radośnie i niespodzianie liźnął ją po twarzy gorącym, szkarłatnym jęzorem. Porwała się z ziemi ze śmiechem.

— Ach, jakież on głupi! Jaki strasznie głupi i miły! Tak pocziwie obszedł się z chorym! Inny pies rozszarpałby Wolfa, dlatego właśnie, że jest tak zupełnie bezradny.

— On nigdy słabszego nie ruszy, tak go już uczono — wyjaśnił Batisi z pewną dumą. — A co do Wilka, to będąc małym, Snow chował się razem z wilkiem. Jedna suka ich wykarmiła — jeszcze ślepe szczenięta. Rośli potem nierozłączni jak bracia, aż tamtego wilka przed dwoma laty zabił w lesie niedźwiedź.

— On sądzi zapewne, że Wolf to jego dawny przyjaciel — wtrącił Wabi.

Snow istotnie musiał sobie coś podobnego wyobrażać, gdyż okazywał Wolfowi wyraźne przywiązanie. Noc spędził w pobliżu kaleki, od rana zaś znów się koło niego wałęsał. Wilk jeżył włos, warczał, ale czy to z osłabienia, czy dlatego po prostu, że wracały mu na pamięć dawne czasy, spędzone w otoczeniu psów i ludzi — gniew jego przybierał, formy coraz spokojniejsze.

Rankiem wybierano się w dalszą drogę. Wszyscy byli niezmiernie ciekawi łódki Batisiego. Wabigoon obiecywał sobie, iż z jej kształtu wywnioskuje może cokolwiek o pochodzeniu chłopaka. Przy śniadaniu, które jedli naprędce o pierwszym brzasku, nie wytrzymał i spytał:

— A gdzie twoja łódź, Batisi?

Indianin ruchem głowy wskazał nieokreślony kierunek.

Ledwo przełknawszy nieco mięsa, oddalił się wraz z psem, idąc w górę potoku, i znikł za nierównością gruntu. Podróżni siadali właśnie do łodzi, gdy wtem zobaczyli go znowu. Siedział w mikroskopijnym czółenku z kory brzozy, mając psa naprzeciw siebie. Zręcznie i pewnie robił wiosłem. Potok, napęczniały po niedawnej powodzi wiosennej, niósł kruchą łupinkę z szybkością zawrotną. Ledwo go dostrzegli, już ich minął, lecąc niby ptak po spienionej wodzie. — Uwważaj! Wir! — krzyknął Wabi, lecz chłopak był już daleko.

Podążyli za nim znacznie wolniej, gdyż ich łódź, niosąca większy ciężar, głębiej osiadła w wodzie. Potok biegł środkiem dwu ciemnych ścian niby dnem obszernej rozpadliny skalnej. Bystry prąd znakomicie spełniał rolę wiosła, toteż jedynie Mukoki, siedzący na rufie jako sternik, miał więcej pracy. Rodryg, korzystając z przymusowej bezczynności, opowiadał Minnetaki o zeszłorocznych przygodach, jak to w tym samym miejscu umykali przed złotymi kulami wariata i jak

ich omal wir nie wessał. Obecnie, nauczeni doświadczeniem, zawczasu już przybili do brzegu i po wąskiej kamiennej drożynie przenieśli czołno łodem. Batisiego nigdzie nie było widać. Wabigoon wyraził głośno swój niepokój.

— Byle mu się co nie stało!

— Takiego i diabeł nie weźmie!! — lekceważąco machnął ręką Rod, czym ściągnął na się oburzenie i pełne wyrzutu spojrzenie Minnetaki.

Jak się okazało, Rod miał częściowo rację, gdyż Batisi, zdrów i cały, zjawił się na nocnym popasie. I w dalszym ciągu mogło się zdawać, że instynktownie wyczuwa, gdzie podróżni rozbijają obóz, gdyż przychodził zawsze w chwilę po wylądowaniu. Może po prostu doskonale znał tę drogę i miejsca odpowiednie na postój. Był milczący, zagadkowy, trochę smutny, lecz nie zawadzał nikomu. Tak się przyzwyczajono do jego obecności, że gdy się raz nie zjawił, zdziwili się wszyscy.

— Gdzie Batisi? — spytała Minnetaki rozglądając się wkoło.

Obóz rozbito tego dnia trochę wcześniej, gdyż uroczą kotlina, z trzech stron zamknięta borem, wyjątkowo znęciła podróżnych.

— Rzeczywiście, nie ma go — rzekł Wabi świdrując wzrokiem gęstwę. — Ale jeszcze czas. Zobaczmy ognisko i przyjdzie.

Okazało się, że zapasy spiżarniane się kończą, więc trzeba pójść na łowy. Zazwyczaj polowali gromadnie, znajdując w wyprawach myśliwskich pretekst do wycieczek, tym razem jednakże Mukoki potrzebował pomocnika przy naprawie drobnych uszkodzeń łodzi, Minnetaki zaś musiała łątać odzież. Wabigoon więc ruszył sam. Zagłębiwszy się w las, szukał najpierw tropów jelenich, a nie znalazłszy grubszej zwierzyny, postanowił zadowolić się ptactwem wodnym. Z łodzi jeszcze zauważył kręty strumyk, zasilający wody potoku, że zaś odległość była nieznaczna, postanowił poszukać tam kaczek lub gęsi. Z wysokopiennego sosnowego boru wy dostał się wkrótce między rzadki zagajnik i oto zobaczył przeświecającą przez krzaki toń strumienia, rozlaną w krągły staw.

Ciemno upierzone kaczki oraz siwe gęsi polatywały chmarami. Na tle seledynowego zachodu szybowało stadko cyranek. Wabi zmienił kule w lufach na ładunki drobnego śrutu i celując z podrzutu, nacisnął cyngiel.

Huknął strzał, odbił się rześko od tafli wodnej i jako echo poszedł w las. Kilka kaczek zawirowało w powietrzu, siejąc z wiatrem pióra, i pacnęło w nadbrzeżne trzciny. Wabi, rad, że spadły na suszę, oszczędzając mu machania nóg, szparko skoczył po zdobycz. Lecz wtem stanął jak wryty.

O kilkanaście kroków gwałtownie rozdzieliły się szuwary i przeniknęła pośród nich — rusałka. Mignęło tylko smagłe, obnażone ramię, rozgarniając w biegu las sitowia, i kształtna główka, ozdobiona pękiem złotych kaczęńców, spod których spływał płaszcz długich, lśniących włosów. Nim Wabi oprzytomniał — zjawa znikła.

Wabigoon mrugnął oczyma, po czym przesunął dłonią po powiekach. Pewien był, że mu się przewidziało. Bo i któż by to mógł być o setki mil od wszelkiej osady ludzkiej? Lekki dreszcz przebiegł mu po plecach. Zabobonami gardził, a jednak wolałby się stąd wycofać zaraz. Kto wie, czy naprawdę nie spłoszył dziwożony? Kto wie, czy nie oplącze go raptem zła siła i nie wciągnie w bagno? Lecz ambicja i honor łowiecki nie pozwalały wracać bez zdobyczy, kaczki zaś leżały właśnie na drodze ucieczki rusałki.

Wabi mocniej ścisnął fuzję w garści, jak gdyby broń mogła mu co pomóc w spotkaniu z wodnicą, i wszedł między trzciny. Rosły tak gęsto, że o kilka kroków nie było nic widać. Jakby kto wetknął w ziemię tysiące zielonych dzirytów. Znaleźć cokolwiek w tej gmatwaninie było niezmiernie trudno. Lecz trudności podnieciły Wabiego. Zajęty szukaniem, zapomniał po chwili o rusałce. Zgięty w pół,

rozgarniał trzciny oburącz, jak się rozsuwa firanki, i raptem błysnęło mu coś pod stopami, niby dukatowe złoto. Na ziemi leżały kaczeńce.

Podjął je z obawą podświadomą, że mu się w dłoni rozwieją w nicość. Lecz nie! Kwiaty pozostały kwiatami. Obracał je właśnie w palcach, gdy w pobliżu krótko zaszczekał pies.

Wabi wyprostował się gwałtownie. Przez las trzciny nie mógł nic dojrzeć, wydało mu się wszakże, iż słyszy słaby plusk wiosła na wodzie strumienia i ściszony szmer głosów. Dumął przygryzając wargi. Był tak zamyślony, że z pewnością nie znalazłby cyranek, gdyby nie leżały tuż obok. Wziął je zatem, zabrał także kwiaty i pośpieszył do obozu. Nim trafił nad potok, była już prawie noc. Wszyscy siedzieli przy ogniu, lecz się porwali za jego nadejściem.

— Wiesz? — rzuciła się do brata Minnetaki. — Batisiego jeszcze nie ma!

— Wiem — flegmatycznie odparł Wabi. — Ale zaraz powinien być.

— Widziałeś go?

— Nie. Ale siadajcie, to wam coś ciekawego powiem. Zajęli miejsca.

— Czy pamiętacie, cośmy mówili pierwszego wieczoru po odnalezieniu Minnetaki? — zagadnął Wabi.

Zapadła cisza.

— Czy ja wiem? — bąknęła Minnetaki pierwsza. — Mówiliśmy tyle rzeczy...

— Ale najbardziej interesowała nas jedna kwestia — dopomógł Wabi. — Czy Batisi jest sam, czy też jest z nim ktoś jeszcze...

— Jakaś kobieta! — wykrzyknął Rod.

— Właśnie, jakaś kobieta — potwierdził Wabi. — Przyznaję, że długi czas skłonny byłem sądzić, że tej kobiety nie ma. Dziś jednak wiem, że jest!

— Widziałeś ich razem? — wtrącił Mukoki.

— Nie. Lecz widziałem ją samą!

— Widziałeś ją?! — wykrzyknęli jednocześnie Minnetaki i Rod.

— Tak. Musiała się kąpać w jeziorku. Twarzy co prawda nie dostrzegłem, lecz gdy uciekała, widziałem włosy rozpuszczone i kwiaty we włosach. Kwiaty te później znalazłem.

Dobył kaczeńce z zanadrza i wyciągając ramię pokazywał wkoło. Nagle zgłupiał po prostu. Mukoki wybuchnął śmiechem. Mukoki, który w najzabawniejszych okazjach życiowych chichotał tylko po cichu, zanosił się teraz śmiechem jak małe dziecko. Wszyscy, nie wyłączając Mballi, wytrzeszczyli nań oczy.

— Muki, co ci jest? — spytała Minnetaki nieomal z lękiem.

— Nic, nic! — machnął ręką stary. Widać było, że chciałby się powstrzymać, lecz nie może opanować wesołości. Ilekroć spojrział na kaczeńce w dłoni Wabiego, parsknął na nowo, aż mu łzy płynęły z oczu.

— Doprawdy, Muki, mógłbyś się uspokoić i powiedzieć; co ci jest? — prosił Wabi trochę gniewnie. Czuł, że to on jest powodem kpin starego, i przykro mu było, choć nie miał pojęcia, o co chodzi. — Myślisz może, że to była dziewczyna z jakiegoś koczowniczego plemienia, nie mająca nic wspólnego z Batisim? Ale zapomniałem powiedzieć, że w stronie, w którą uciekła, szczekał później Snow. Na pewno Snow, a nie żaden inny pies. Jego bas poznaję o milę. Gdzie zaś jest Snow, tam jest Batisi! No, powiedzże co? Słyszysz, Muki?

Stary myśliwy już się uspokajał, lecz zanim usta otworzył, od lasu zahuczało donośne ujadanie i do obozu wpadł Snow. Skoczył łapami na pierś Minnetaki, pokręcił się przy ognisku i pokłusował do leżącego na uboczu Wolfa.

Zaraz też zjawił się Batisi. Skinął głową obecnym i milcząc jak zwykle, siadł przy ogniu. Nagle

dostrzegł kwiaty w ręku Wabiego i zeszywniał cały.

— Kto to znalazł? — spytał nerwowo.

— Ja! — odparł Wabigoon.

Wtenczas Batisi spojrział na niego pokornie jakoś, prosząco, niemal błagalnie i zaraz spuścił oczy. Wabigoon obserwował ukradkiem czyste czoło chłopaka, wspaniałe rzęsy, nisko schodzące na szczupłe policzki, orli nos, drobne, pąsowe usta, miękki zarys brody, a potem spoczywające na kolanach dłonie o wąskich, długich palcach. Machinalnie oskubywał trzymane w ręku kwiaty. Zanim Mballa podała kolację, Wabi oskubał ostatni złoty płatek.

U CELU PODRÓŻY

Wolf wracał do zdrowia dziwnie szybko. Jest rzeczą wiadomą, iż zwierzęta dzikie, nie rozpieszczone cywilizacją, łatwiej pokonują wszelkie niedomagania. Wiadomo również, że u zwierząt rany zadane kłębem lub pazurem goją się prędzej niż dziury wywiercone kulą lub cięcia noża. Nic dziwnego zatem, że po upływie tygodnia od przeprawy z rysiem Wolf przestał gorączkować, sierść jego nabrała puszystości i połysku, a jedynie smugi rzadszego włosa uwidoczniały świeże szramy blizn. Charakter uległ też zmianie na lepsze. Wolf pozwalał się dotykać, przyjmował jedzenie z rąk ludzkich i o byle co nie szczyrzył zębów. Nie znosił tylko pieszczot, lecz tych, jako prawy wilk, nie uznawał nigdy.

Jedyna bieda była z łapą. Goiła się co prawda szybko, tym szybciej, że Wolf, zerwawszy bandaż, całymi dniami masował ją językiem, zlizując krew i ropę. Wreszcie żywe mięso powlekł naskórek, a opuchlina znikła. Ale chodzić wilk nie mógł. Jego długie ciało potrzebowało koniecznie czterech punktów oparcia. Zdając sobie z tego sprawę, nie ruszał się z pośłania, tylko ponuro wlepiął oczy w dal lub też drzemał zwinięty w kłębek. Czasem jednak, zbudzony raptownie, zapominał o kalectwie, wstawał, siłą rozpędu wykonywał parę dziwacznych skoków i straciwszy równowagę padał bokiem lub też pyskiem zarywał się w ziemię. Ogarniała go wtenczas pasja, że niebezpiecznie było się doń zbliżyć. Tarzał się rycząc przeraźliwie i na oślep miotał kłębami, toteż nawet Mukoki wołał go z dala wymijając.

Stary Indianin z całej duszy pragnął ulżyć doli ulubieńca. Zmajstrował w tym celu coś na kształt protezy. Wziął suchą gałąź sosnową, uciął na odpowiednią długość, jeden koniec wygładził i zaokrąglił lekko, drugi, grubszy, rozdwoił cięciem podłużnym, wyźłobił, wyościł króliczym futerkiem i rzemieniami umocował całość do kikuta Wolfa. Wolf przyjmował te zabiegi dość obojętnie, ledwie się wszakże Mukoki oddalił, jednym szarpnięciem zębów zerwał cały aparat. Lecz Mukoki nie dawał za wygraną. Co wieczór ponawiał próbę. Co wieczór Wolf zdierał protezę. I tak rywalizowali między sobą w wytrwałości: wilk zdenerwowany i posepny, człowiek wyrozumiały i cierpliwy.

Kaleka zyskał także nowego druha — był nim Snow. Między tymi dwoma zawiązała się szczególnego rodzaju komitywa. Bernardyn, zdrowy, silniejszy, choćby już samym ciężarem mógł łatwo wilka zgnieść, a jednak znosił kaprysy inwalidy z zadziwiającą dobroduszością. Ilekroć Wolf wpadał w furję, Snow kręcił się w pobliżu i wzdychał, jak gdyby chcąc zaznaczyć, że i on również cierpi. Gdy wilk wyczerpany zacichał, pies przysiadał obok lub ostrożnie usiłował liźnąć przyjaciela. Czasem coś oberwał, ale się tym nie zrażał. Uskakując w bok, potrząsał ciężkim łbem, jak gdyby go mucha ugryzła, po czym ponawiał próbę. Wreszcie Wolf, znużony, zobojętniały, przymykał oczy i przestawał świecić kłębami. Wtenczas Snow z westchnieniem ulgi układał się tuż i drzemali razem w najlepszej zgodzie.

Zgoda zapanowała również między ludźmi. Na razie po zdarzeniu z kwiatkami Minnetaki i Rod nie mogli się uspokoić.

— Po co kłamał mówiąc, że jest sam! — perorował Rod z oburzeniem. — Po co się ta dziewczyna ukrywa?

— Dlaczego jej do nas nie przyprowadzi? — dodawała Minnetaki. — Czemu robi z tego sekret? Chcieli koniecznie przyprzeć Batisiego do muru i wydobyć zeń prawdę. Lecz Mukoki, Wabi, a

nawet Mballa stanęli po stronie chłopca.

— Sama przecie mówiłaś, że ta kobieta nie powinna nas nic obchodzić — przypominał siostrze Wabi.

— Czyżbyś była zazdrosna? — podrwiwał Mukoki.

— Daj mu pokój, gołąbko! — dobrodusznie tłumaczyła Mballa. — Zobaczysz, że prawda sama na wierzch wyjdzie. I to niedługo.

Ostatecznie Minnetaki dała się przekonać, a Rod naturalnie skapitulował przed zwartym frontem koalicji.

Wkrótce zresztą inne sprawy zaprzętnęły umysły podróżników. Minęli bowiem od dawna pierwszy wodospad, minęli drugi i cel wyprawy był tuż. Przed Wieczorem jeszcze mieli ujrzeć opuszczoną chatę oraz trzeci wodospad, który szerokim płaszczem wodnym osłaniał wejście do tajemniczej jaskini.

Płynęli wolno, hamując rozpęd wleczonej prądem łodzi odpowiednimi ruchami wiosł. Nasłuchiwali czujnie, rychło li zaszemrze w powietrzu daleki grzmot wodospadu. Ten ostatni etap Batisi, rzecz dziwna, odbywał wspólnie. Jego drobne czółenka tańczyło na spienionym nurcie tuż za rufą większego statku. Gdy przybili wreszcie do brzegu, wylądował wraz z nimi, wywłókł swą brzozową łupinkę na płaskie głązy nadrzeczne i czekał, spode łba rozglądając się wkoło. Wabi zbliżył się doń z uśmiechem.

— Boisz się duchów jaskini? — spytał.

Lecz Batisi zatrzepotał tylko długimi rzęsami i odwrócił głowę, po czym pierwszy ruszył krawędzią rzecznej łóżyska w stronę trzeciego wodospadu. Pośpieszyli za nim. Po upływie dziesięciu minut musieli stanąć znowu.

Ścieżka przechodziła w chaos głazów nie do przebycia. W prawo masyw górski piął się coraz wyżej w nieregularnych, ogromnych blokach, w lewo zaś łóżysko potoku gwałtownie opadało w dół, tworząc próg skalny, wysoki na piętnaście metrów. Z tego progu, niby z gigantycznego stopnia olbrzymich schodów, leciała wełniasta kaskada, harmonijnie nakreślonym łukiem wiążąc szczyt urwiska z podnóżem. Huczał ustawiczny, chrapliwy grzmot, jak gdyby we wnętrzu ziemi dwa potwory przedpotopowe wiodły, warcząc, bój zaciekły. Drobny pył wodny wirował w powietrzu, a łowiąc blaski słońca mienił się to biało, to tęczowo, jak płatki prószącego śniegu w pogodny dzień zimowy. W dole kłębiły się piany zmydlone i skaczące, a dalej jeszcze wyczerpany potok przeobrażał się w leniwą rzekę, szeroko rozlaną na oba płaskie brzegi.

— Więc to tam? Więc to tam?! — pytała Minnetaki, kurczowo ściskając rękę Roda. — Och, Rod, żebyś wiedział, jak mi bije serce!

Lecz nie ona jedna była przejęta. Wszyscy okazywali podniecenie i niepokój. Twarze miały wyraz skupiony; oczy rzucały w krąg spojrzenia nieufne. Powietrze zdawało się naładowane elektrycznością jak przed burzą. Chcąc rozproszyć dziwaczny nastrój, Rodryg zabrał głos:

— Minni, patrz, to chata Johna Balla i jego towarzyszy, o tu, w prawo, w kotlinie, pod wielkim cedrem. Jest bardzo stara, zatem nie sposób w niej mieszkać. Ma pół setki lat mniej więcej. Lecz ponieważ zostaniemy tu dłużej, więc zbudujemy szalas jak się patrzy, prawdziwy pałac!

— Ale jak tu zejść w dół? — rzekł Wabi. — Po linie, tak jak w zeszłym roku, to dobre dla mężczyzn, lecz nie dla dam!

— Już wiem! — wykrzyknął Rod. — Zrobimy drabinkę linową.

— To potrwa zbyt długo.

— Ja też nie mówię, żeby zaraz. Dziś wieczór albo jutro. Na razie urządzimy takie krzeselko. Zobaczycie!

Wziął dwa wiosła, złożył je razem i owiązał liną oba końce, tworząc coś na kształt huśtawki.

— Spuście najpierw mnie — prosił — by stwierdzić, czy to dość mocne. Inżynier, który zbuduje most kolejowy, zawsze sam przejeżdża na pierwszej lokomotywie.

Mukoki i Wabi ujęli za rzemienie, Rod siadł na wiosłach i szybko zjechał w dół ściany skalnej, rękami trzymając się lin, nogami zaś odpychając huśtawkę od ostrych głazów. Stanąwszy na twardej ziemi, między pionowym murem a wrzącą wodą, zawołał przekrzykując łoskot katarakty:

— Doskonale! Zjazdźaj, Minni!

Improwizowane krzeselko uniosło się ku górze, po chwili zaś Minnetaki stanęła obok Roda. Nie troszcząc się na razie o towarzyszy, jak dzieci wzięli się za ręce i pobiegli ku opuszczonej chacie. Przez „rozwarne drzwi i okna wnętrza ziało zupełną pustką. Zajrzeli do środka, starając się cokolwiek w mroku rozeznąć, gdy wtem pisnęło coś przenikliwie i długi, wąski kształt śmignął im między nogami, by natychmiast zniknąć w trawie.

— Uf, to tylko gronostaj! — westchnęła Minnetaki z wyraźną ulgą. — A ja myślałam prawie, że duch!

Rozejrzała się po kotlinie. Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, od skał zaś padały długie, granatowe cienie. Wodospad grzmiał i szumiał, na przekór nadchodzącej nocy coraz bielszy. Zdawało się, że posiadał własną, widmową fosforescencję. Minnetaki zerknęła bokiem na towarzysza.

— Rod, czy ty... czy ty wierzysz temu, co Batisi mówił, że... że tam w jaskini są duchy?

Biały chłopak rozłożył ręce i odpowiedział z wielką powagą:

— Sądzę, że nie... ale, tak na pewno... nie wiem.

Lecz od ściany skalnej gnał ku nim Wabi, wołając wesoło:

— Rod, Minni, do roboty! Noc za pasem!

Rzucili się więc pomagać, a robota kipiała im w ręku. Pracy było moc: rozstawić namiot, narąbać drzewa, przyrządzić posiłek, przede wszystkim zaś spuścić na dół oba czółna, psa i wilka. Wolf, otulony w koc jak dziecko w powijaki, silnie skrępowany rzemieniem, zjechał na linie szybko i bezpiecznie. Snow ciekawie przyglądał się tej operacji, lecz gdy z kolei Batisi chciał go liną owiązać, pies cofnął się i umknął spod ręki.

Wołano nań, proszono, grożono. Snow zapalczywie machał ogonem, robił minę pokorną, najwidoczniej bardzo przeproszał za nietaktowne zachowanie, ale zwabić się nie dał. Wreszcie gdy zabawa trwała zbyt długo, dano mu pokój, Batisi, zły i ubawiony jednocześnie, rzekł:

— Co robić? Niechże sobie sam drogę znajduje!!

W pobliżu opuszczonej chaty wielkie ognisko rzucało już wkoło refleksy złote i krwawe, a nad płomieniem skwierczały nanizane na rożen cztery piękne cietrzewie. Mukoki biedził się z Wolfem. Przymocowawszy wilkowi drewnianą protezę, zachęcał go do zrobienia paru kroków z pomocą tej sztucznej łapy. Pewien był, że jeśli wilk raz jeden da się namówić, później sam się o skuteczności przyrządu przekona. Wolf jednak stanowczo spróbować nie chciał. Próżno stary Indianin, podpierając i unosząc z ziemi kalekie zwierzę, stawiał je na nogi. Ledwo człowiek ręce cofnął, wilk wywracał się jak łachman łapami do góry.

— Śmierdziel jesteś! Skunks! — irytował się Mukoki. Dał wreszcie za wygraną i tylko siedząc w pobliżu pilnował, by wilk nie pogryzł protezy. Wolf, czując, że jest pod obserwacją, drewnianka nie ruszał, łypał natomiast oczyma i leżąc na boku pomrukiwał z głębi piersi.

W tej chwili właśnie zjawił się Snow. Wypadł spomiędzy krzaków porastających podnóże góry od strony zachodniej i mijając ognisko zwolnił nieco. Zauważyli wtenczas, że coś niesie w pysku.

— Co on ma? — wykrzyknął Rod.

— Zająca albo królika — rzekł Wabi, dłonią osłaniając oczy przed jaskrawym blaskiem płomieni. — Tak, zająca!

Snow był ogromnie ze swej zdobyczy dumny. Machnął ludziom ogonem, jak gdyby przepraszając, że nie ma dla nich czasu, i podbiegł do Wolfa. Wilk nasrożył uszy, uniósł z ziemi trójkątny łeb i sprężył się cały w nerwowym oczekiwaniu. Jakkolwiek jeszcze zająca nie dotknął, wiedział już, czuł nieomylnie, że szarak żyje. Miało to być pierwsze żywe mięso od czasu choroby, więc dzika natura dygotała z uciechy. Karmiono go dobrze, lecz dostawał zawsze tylko sztuki martwe; mając zatem co dzień rozkosz jedzenia, pozbawiony był od dawna rozkoszy mordy.

Snow, wywijając ogonem niby cepem, podszedł tuż i złożył szaraka pod samym nosem Wolfa. Lecz stała się rzecz niespodziewana. Wolf sięgnął już po zdobycz, ale zając istotnie nie był martwy, tylko zdławiony i ogłuszony. Teraz na widok paszczy wilczej odzyskał część utraconych sił, porwał się więc z ziemi i kicając niezdarnie, jął umykać ku najbliższym zaroślom.

Snow zgłupiał. Wolf natomiast wobec tej uciekającej zwierzyny nie zawahał się ani chwili. W tym samym mgnieniu, w którym zając dał pierwszego susa, Wolf stał już na nogach, w następnej zaś sekundzie rwał za szarakiem.

Trzy zdrowe łapy służyły gibkiemu ciału jako odskocznie sprężyste; czwarta, ułomna, przedłużona protezą, dozwalała zachować równowagę, jakkolwiek muskała ziemię tylko przelotnie. Normalny zając byłby naturalnie umknął inwalidzie, lecz ten, którego Snow przydźwigał w pysku, ledwo zipał. Wolf dognał zbiega na przestrzeni kilkunastu metrów, schwytał zębami za kark i potoczył się z nim razem w trawę.

Od ogniska nadbiegał Mukoki, chcąc pochwalić ulubieńca za zdany egzamin. Lecz wilk pokazał zęby, więc człowiek cofnął się chichocząc. W identyczny sposób Wolf powitał psa. Snow wcale nie urażony, oddalił się trochę, siadł i ziewając nerwowo, łakomie obserwował kolegę. A Wilk wyciągnął się jak długi, wziął zająca między przednie łapy, tę własną i tę drewnianą, po czym, warcząc nieustannie, zabrał się do ciepłego mięsa.

NIETOPERZE

Rodryg spał bardzo źle. Z wieczora sen w ogóle go odbiegał, a gdy około północy zadrzemał wreszcie, nawiedziła go zmora tak przykra, że wolałby raczej do rana wcale oczu nie zmrużyć. Śnił, że jest w jaskini podziemnej, pełnej nietoperzy wiszących u pułapu, i że te nietoperze poczynają raptem spadać na ziemię z głuchym łoskotem, jak jabłka przejrzałe. Rod wie, że to nadchodzi zły duch jaskini, by go pozbawić życia. Chce się cofnąć, uciec, ale stopy ma bezwładne, kroku uczynić nie może, choć już czuje, jak mu się do gardła przysuwa dłoń upiorna i z wolna zamyka dopływ powietrza.

Obudził się zlany potem i tak przerażony, że siadłszy na posłaniu, dzwonił zębami jak w febrze.

Obok spokojnie spał Wabi; dalej nieco Muki jak zwykle poświstywał nosem przez sen. Lecz Rodryg byłby przysiągł, że w obozie coś się rusza. Przeczulone nerwy nawet bez pomocy słuchu upewniały go o tym. Obracając głowę jał się rozglądać.

Sądząc po bladych światełkach gwiazd, świt był już niedaleko, choć panował jeszcze mrok zupełny. Ogień prawie wygaś; przez siwy popiół i czarne grudy węgla tu i ówdzie lśnił szkarłatem konający żar. Przy ognisku ktoś siedział.

Rodryg wstał, pomacał nóż za pasem i zbliżył się, stąpając jak najciszej. Ciemna postać spojrzała na niego w górę. Był to Batisi.

— Co ty tu robisz? — szorstko zagadnął Rod.

A chłopak odpowiedział nieśmiało, prawie pokornie:

— Nie mogłem spać...

Rod obserwował go chwilę, przygryzając wargi. Między nim a Batisim istniało coś na kształt zawieszenia broni czy też zbrojnego rozejmu. Starali się sobie wzajem w drogę nie wchodzić; to było widoczne dla wszystkich. Batisi szczególnie unikał Rodryga, lecz zaczepiony odpowiadał raczej niegrzecznie, z hamowaną jak gdyby wściekłością. Dzisiejszy ton, wręcz od zwykłego odmienny, przejął Rodryga zdumieniem, ale, rzecz dziwna, zamiast ucieszyć, zaniepokoił go po prostu. O dalszym śnie nie mogło być mowy, biały chłopak zajął się więc przygotowaniami do rannego posiłku. Dmuchał na czerwony żar i podsycając iskry chrustem rozniecił ognisko na nowo, przyniósł wody i zanim reszta towarzystwa wstała, nad buzującym wesoło płomieniem kipiał już kociołek z kawą.

— Cóżes taki ranny ptak? — spytał Wabi przyjaciela śmiejąc się.

— Miałem paskudny sen — wyjaśnił Rod. — A ty śniłeś cokolwiek?

— Ja w ogóle nigdy nic nie śnię — stwierdził Wabi z radosnym zadowoleniem człowieka zdrowego psychicznie i nie wiedzącego, co to nerwy.

Po śniadaniu wynikło pytanie, kto dziś pójdzie do jaskini, bo że pójdzie się właśnie dziś, niezwłocznie, było rzeczą samo przez się zrozumiałą, której nikt nie myślał kwestionować.

— Idę ja — rzekł Wabi — ty, Rod, i Muki.

— I ja! — przerwała Minnetaki.

— Ty może następnym razem?

— O, nie! Dlaczego następnym? Właśnie teraz!

— No, dobrze. Ale w obozie musi przecie ktoś zostać: Mballa i Batisi.

Stara piastunka zgodziła się dobrodusznie, jak w ogóle godziła się zawsze na wszystko. Ale Batisi zmarszczył brwi.

— Ja także idę! — rzekł stanowczo.

Słońce ledwie zajrzało do kotliny — była dopiero szósta rano, gdy mała gromadka stanęła gotowa do podziemnej wycieczki. Broń parną: rewolwery i fuzje, owinięto ceratą; Mukoki i Rod mieli je dźwigać. Wabi natomiast niósł sześć pochodni żywiczych. Gdy zeszli nad krawędź potoku, Wabi rzekł:

— Idziemy w porządku następującym: pierwszy — ja, za mną Minnetaki, dalej Rod, Batisi i na końcu Muki. Nie śpieszcie się zanadto, żeby jeden drugiego nie trącił.

Wkroczył w nurt potoku tuż u podstawy ściany skalnej i sunąc wzdłuż niej znikł pod wodospadem. Minnetaki, zaczerpnąwszy w płuca powietrza, śmiało poszła za przykładem brata. Bała się trochę, odrobinę, choć zapewniała sobie, że jest to zupełnie to samo, co dać nurka w czasie kąpieli. Bryzgi piany, chłodne i siekące, uderzyły ją w twarz; potem welon wody, lecący z góry, zakrył ją wraz z głową. Niewidzialna siła targała za ramiona i gnioła wlokąc w dół. Łoskot podobny do grzmotu oszołamiał i ogłuszał. Szła jednak mężnie z zamkniętymi oczyma, ostrożnie stawiając stopy na śliskim dnie, a lewym bokiem opierając się o skałę. I właśnie kiedy płucom poczęło braknąć powietrza, uczuła, iż ktoś dotyka jej twarzy.

— Otwórz oczy, Minni — mówił Wabigoon. — Przeprawa skończona.

Po omacku ujął za rękę i pomógł wyleźć, na półmetrowy próg skalny. Jeden po drugim gramolili się z wody pozostali. Wabigoon skrzesał ognia i zapalił pochodnię; mogli się wtenczas rozejrzeć w otoczeniu.

Stali na kobiercu miękkiego piasku pod nisko nawisłym czarnym pułapem. Smolna pochodnia płonęła jasno, pryskając i trzeszcząc; światło tańczyło po stropie z litej skały, po ścianach z bloków kamiennych, wywołując cienie dziwaczne i niesamowite. Tu i ówdzie ostra krawędź głazu odbijała blask niby szlifowany diament, skrząc się i mieniając wszystkimi barwami tęczy. Z tyłu monotonicznie grzmiał odmęt kaskady, zamykając wejście białą firanką. Na przedzie korytarz podziemny ginął w ciemności.

— Jak tu dziwnie! — rzekła Minnetaki, mimo woli ściszej głoś.

Stąpiła parę kroków naprzód i znów stanęła.

— A ten piasek taki miękki, jak nieraz bywa nad rzeką!

— Bo też to było niegdyś na pewno rzeczne łożysko — objaśnił Rod. — Stąd w tym piasku tyle złota.

— Jak to? Złoto jest tu?!

Uklękła. Wabi zniżył pochodnię; Rod zapalił od niego drugą. Mocniejszy blask rozlał się szerzej i raptem Minnetaki krzyknęła:

— Mam! Mam! Patrzcie!

Pokazywała na dłoni bryłkę wielkości włoskiego orzecha, zielonkawą, słabo błyszczącą. Tylokrotnie widywała podobne bryłki w rękach poszukiwaczy złota, że nie mogła się mylić. Lecz już Wabi wybierał z piasku garść owalnych kamyków, niby ziarn fasoli.

— I ja mam! I ja! — wołał. — Tu można złoto koszami zbierać!

Przykucnąwszy gonili za skarbami, wyławiając mniejsze i większe grudki. Chłopcy napychali kieszenie; Minnetaki gromadziła złoto na rozpostartej chusteczce. Dopiero gdy płócienny kwadracik nie mógł nic więcej pomieścić, odetchnęła, wyprostowała się i zaraz poczęła wołać:

— A to ładnie! Mieliśmy zwiedzić jaskinię, a tymczasem zachowujemy się jak ostatni chciwcy!

Nie wyznałaby za nic, że ona pierwsza gotową by tu ślęczyć do jutra, taki urok rzuca na ludzi złoty, lśniący metal.

Rod wstał z klęczek, otrzepując z piasku kolana, i trochę zażenowany przyświadczył:

— Minni ma rację. Zachowujemy się obrzydliwie! No, dalej, idziemy badać tajemnice jaskini!

Podjął z ziemi swoją fuzję i świecąc niesioną nad głową pochodnią, zagłębił się w korytarzu. Reszta podążyła za nim. Grunt, na razie równy, zaczął się powoli wznosić. Piasku było mniej więc kroki dudniły głucho po kamiennych flizach. Dobrą chwilę szli pod górę, po czym droga jęła opadać. Korytarz się rozszerzał. Nagle idący na przedzie Rod stanął.

— Tu — rzekł — jest woda, nad którą znaleźliśmy Johna Balla. .

W prawo i w lewo czarne ściany rozbiegały się półkoliście, niby w ramy ujmując sporą sadzawkę. Zbliżyli się wszyscy. Wabi również poświecił pochodnią. Woda, bardzo ciemna, leżała dziwnie martwo; tu i ówdzie lśniły tłuste oka, tęczowo odbijając blask żagwi.

— Jak to zabawnie błyszczą! — rzekła Minnetaki.

— Wygląda niby rozlany na wodzie olej — uzupełnił Rod. — Może to nafta?

Minęli sadzawkę bokiem, gdyż z prawej strony wąski gzyms wiódł między ścianą a wodą.

— Tu wkraczamy już w świat nieznany zupełnie — rzekł Wabi. — W zeszłym roku ze względu na Johna Balla dotarliśmy tylko do sadzawki. Ale może na dziś dosyć? Czy nie zimno ci, Minni? Zmokłaś przecie.

— Już dawno wyschłam!

Na dowód trzepnęła rękoma po odzieży. Miała zresztą słuszność zupełną. Z doskonale wyprawnych skór jelenich woda spłynęła bez śladu jak z nieprzemakalnego płaszcza,

— Patrzcie! — wykrzyknął naraz Rod — korytarz się już kończy.

Na przedzie ciemny mur zamykał przejście. Skoro jednak podeszli bliżej, stwierdzili, iż jest to tylko pozornie koniec podziemi. W prawo bowiem, niemal pod kątem do poprzedniego korytarza, rozpoczynał się nowy, węższy znacznie, o podłodze zawalanej stosami kamieni i okruchów skał. Stąpali bardzo ostrożnie z obawy, by się nie potknąć. Chodnik wił się kapryśnie, załamywał, cofał prawie, aż rozdwoił się raptem na dwie odnogi, biegnące jedna w prawo, druga w lewo.

— Masz tobie! Dokądże teraz pójdziemy? — spytał Wabi niezdecydowany.

— Znów w prawo — rzekła Minnetaki.

Uszli kilkanaście kroków we wskazanym kierunku. Rod, unosząc pochodnię ku górze, pilnie oglądał ściany i strop.

— Co tak patrzysz, Rod? — spytał go Wabigoon.

Rod odpowiedział nie od razu. Przykucnąwszy badał teraz ziemię, wreszcie oświadczył z wahaniem: .

— To... hm... to dziwaczne, ale mnie się zdaje, że tu niedawno było trzęsienie ziemi albo wybuch. Czy ja wiem...

— Wybuch?!

— Tak. To jest, bo ja wiem... Ale spójrzcie tylko, jak to dookoła wygląda. Jakby kto wszystko do góry nogami przewracał!

Przyświecając pochodnią wskazywał ściany pełne szpar i wnęk oraz rumowisko pod stopami. Od stropu oderwał się raptem kamyk i potoczył pod nogi Mukiego. Stary myśliwiec zaklął. Minnetaki krzyknęła lekko.

— Wracajmy lepiej! — rzekł Rod nerwowo. — Jeszcze się sufit zawali i zasypie nas!

Spiesznie, w milczeniu zupełnie wycofali się z zagrożonego miejsca. Właściwie mieli już wracać do obozu, lecz przy mijaniu drugiego chodnika, biegnącego w lewo, Minnetaki z ciekawości lub może dla prostej brawury zaproponowała:

— Spróbujmy jeszcze tu.

— Spróbujmy — przytaknął Rod, który pierwszy dawszy sygnał do odwrotu, wyrzucał już sobie

tchórzostwo.

Mukoki warknął pod nosem. Stary wojak, w kniei i prerii odważny do szaleństwa, pod ziemią czuł się nieswojo. Wolałby wszakże wleźć prosto w paszczę diabła niż cofnąć się, gdy inni szli naprzód. Batisi milczał. Wabi podjął wyzwanie.

— Dobrze, spróbujmy i tu! — rzekł, po czym pierwszy wkroczył w czarną czeluść.

Chodnik okazał się tak ciasny, że już po małej chwili musieli sunąć gęsiego. Nie trwało to długo. Korytarz poszerzył się wnet, a strop zaczął się podnosić. Natomiast podłoga wyraźnie zbiegała w dół. Pochyłość, dość łagodna, stawała się coraz spadzistsza.

— Uważaj, Wabi! — przestrzegł druha Rod. — Tam może być jakaś dziura!

Ale Wabiemu ta możliwość również przyszła na myśl, sunął więc krok za krokiem, coraz to świecąc pod nogi. Zważał natomiast mniej, co się dzieje po bokach. Nagle Minnetaki krzyknęła. Od razu stanęli wszyscy.

— Ojej! — mówiła dziewczyna. — Gdzie my jesteśmy?

— Jak to gdzie? — niepewnie spytał Wabi.

— No, bo nie ma ścian — wyjaśniła Minnetaki z lekką chrypką w głosie.

Pochodnie, rozchwiane dotychczas ruchem i prądem powietrza, świeciły już jaśniej. Obaj chłopcy podnieśli je wyżej. W prawo, lewo, na przedzie i z tyłu leżała ciemna, głucha pustka. Było tylko widać ziemię pod nogami, nic więcej.

— Jakaś duża jaskinia — rzekł Wabi. — Trzeba więcej światła. Hej, Muki!

Stary Indianin zapalał już trzecią pochodnię. Minnetaki czwartą. Zrobiło się widno i zobaczyli naraz, gdzie są.

Znajdowali się w olbrzymiej pieczarze, niby w nawie gigantycznej katedry. Wypukły strop podpierały w głębi wielkie stalaktyty na kształt kolumn kamiennych, tworząc istny las sztywnych, nagich pni.

Światło wywlekało spośród nich ruchome cienie. Zdawało się iż, między słupami coś się czai, coś pełza, coś zewsząd osacza intruzów. Rod wspomniał opowiadanie Johna Balla o bestiach niesamowitych, potworach przedpotopowych, zamieszkujących świat podziemny, i strach przebiegł mu po grzbiecie, jakby mu kto wylał za kołnierz strużkę lodowatej wody. A w pieczarze zbudził się tymczasem ruch i dźwięk. Zaszemrało coś, zaszleściło, pisnęło, urywając na nucie tak wysokiej jak bzykanie komara.

Batisi, który od chwili wejścia do jaskini nie przemówił ani słowa, rzekł głucho:

— Nietoperze.

Jak na komendę podnieśli w górę głowy i pochodnie. Oczy, przyzwyczajone już do drgającego światła, rozróżniły pod pułapem całe więzie ciemnych kształtów, zwisających od stropu w dół niby gniazda os.

— Prawda, nietoperze! — potwierdziła Minnetaki z widoczną ulgą. — Ale jak się tu dostały? Czym żyją? Przecie nie przelazły pod wodospadem tak jak my.

— Oczywiście, że nie! — Rod za nic by nie przyznał, że przed chwilą już lęk go obleciał. Musiał jednak jakoś wyładować podniecenie nerwowe, toteż zaczął wyjaśniać wesoło i spieszenie:

— Oczywiście, że nie! Ale czy ci już przez myśl nie przeszło, że ponieważ oddychamy swobodnie, ponieważ pochodnie palą się świetnie i dym nam nie dokucza, musi istnieć dostęp świeżego powietrza? Tam w górze są jakieś szczeliny i przez te szczeliny nietoperze trafiają do jaskini na spoczynek nocny, przepraszam — dzienny!

— Och, przeszkodziliśmy im spać! — zawołała Minnetaki z żalem.

Pod powałą wszczął się ruch. Owalne kształty przyklepione do stropu poczęły się tu i ówdzie

trzepotać, otrząsać, wreszcie odrywać od skały i krążyć chyżo nad głowami ludzi. Długie skrzydła sprawiały przykry, chrzęszczący łopot. Naraz jeden nietoperz zatoczył się w powietrzu, jakby go niedostrzegalny wiatr z boku uderzył; planując zjechał w dół i głucho pacnął o ziemię u stóp Minnetaki. Dziewczyna schyliła się i podniosła bezwładne stworzonko.

— Biedactwo, co mu jest? — rzekła ze współczuciem. — Światło go tak oślepiło...?

Nietoperz szamotał się słabo. Rod wyjął go z ręki Minnetaki.

— Boże,, co za paskudztwo! — rzekł przyjrzawszy się bliżej. — I śliskie to, jakby je kto olejem natarł.

— O, zaraz paskudztwo! — ujęła się dziewczyna. — Dla nas może brzydkie, ale kto wie, czy u nietoperzy nie jest to właśnie skończona piękność.

Jednakże mimo sympatii do wszelkich stworzeń i ona również nie mogła ukryć odrazy. Okropna szczególnie bywa głowa, niepomierne duża w stosunku do całości, spłaszczona, z ogromnymi, sterczącymi na boki uszami, z nosem jak u buldoga, szerokim i zadartym, i mikroskopijnymi oczkami, osadzonymi głęboko. Z rozwartego pyska sterczały zakrzywione szpileczki kłów. Brunatne futerko, delikatne, gładkie i gęste jak u kreta, lepilo się do rąk. Długie, gołe skrzydła łopotwały niemrawo z szelestem pergaminu. Wabi odchylił jedno z nich i krzyknął mimo woli:

— O! Toż to mama z małymi! Bliźnięta!

U piersi nietoperza, kurczowo uczone pazurkami, wisały dwa małe potworki, niewiele większe od dużych żuków, lecz stanowiące już miniaturową kopię matki. Minnetaki, schyliwszy się szybko, złożyła całą rodzinę na ziemi.

— To jest jednak niemiłe stworzenie! — rzekła, ze wstrętem ocierając dłonie o suknię. Wtem szeroko otworzyła oczy. Nowy, nietoperz bęcnął opodal. Chwila — i z góry zleciał trzeci.

— Co to jest? — zaniepokoił się Rodryg.

Naraz Batisi wyciągnął przed siebie ręce, jakby się broniąc przed czymś bliskim i okropnym.

— Nietoperze spadają! — wrzasnął przeraźliwie. — Idzie zły duch jaskini! Idzie śmierć!

Nastała wielka cisza. Pryskała tylko, trzeszcząc, żywica pochodni i coraz to miękko uderzał o ziemię spadający nietoperz, jakby kto wolno trząsał dojrzałe gruszki.

ZŁY DUCH JASKINI

Co to jest? — powtórzył Rodryg ze zgrozą.

Nie odpowiedział mu nikt. Wtem Minnetaki podniosła rękę do gardła.

— Tak tu jakoś duszno... — rzekła głosem dziwnie zmienionym.

Batysi rzucił się do Wabiego i składając ręce błagał:

— Uciekaj! Uciekaj! Jeszcze czas! Uciekaj!

Mukoki tkwił bez ruchu jak słup, tylko pochodnia dygotała mu w rękę. Rod obejmował wpół Minnetaki, bełkocąc coś bezładnie. Wabi odtrącił Batisiego i skoczył do siostry, ale chłopak włókł się za nim, kurczowo uczepony odzieży.

— Uciekaj! Uciekaj! — jęczał — To duch ją dusi! Lecz Wabi już się nad siostrą pochylał.

— Minni, na miłość boską, co ci jest?

Dziewczyna była przeraźliwie blada; usta miała sine. Wyprostowawszy się z trudem, uśmiechnęła się żałośnie.

— To nic — rzekła rwącym się głosem. — Tylko to powietrze takie dziwne...!

— Rzeczywiście — rzekł naraz Wabi przesuwając dłońią po oczach — duszno tu! I mnie się w głowie kręci.

Batysi nic już nie mówił, tylko jęczał cicho, wodząc wkoło wzrokiem półprzytomnym. Zdawało się, że widzi jakieś straszne, tylko jego oczom dostępne zjawy. Rod, sam, tak blady, że aż zielony, spojrział na przyjaciela, na Minnetaki, na nietoperze, leżące już na podłodze pokodem, i nagle wrzasnął:

— Uciekajmy! Uciekajmy! To...

Urwał, zachłysnął się i zatoczył kaszłąc. Wabi parsknął chrapliwym śmiechem.

— Rod, oszalałeś, ja w duchy nie wierzę!

— Ależ nie duch, nie duch! — wołał Rodryg, a oczy miał zupełnie nieprzytomne z przerażenia. — Gaz, gaz trujący!

Minnetaki zachwiała się. Rodryg zdołał dopaść w porę, by ją chwycić w ramiona. Podparł dziewczynę, podtrzymał i wlokąc wstecz, wołał:

— Prędeż, prędeż, do wyjścia! Wabi, Muki pomóżcie...! Minnetaki traciła przytomność. Pochodnia wypadła jej z ręki i potoczyła się po ziemi. Ale z drugiej strony podparł ją już Mukoki. Stary Indianin przed chwilą gotował się na śmierć. Apatycznie przyjmował swój los, pewny, że to zła siła dławi go za gardło. Zabobonny lęk odbierał mu inicjatywę, wiedział zresztą, że z duchami walczyć nie potrafi. Jednakże na krzyk Rodryga: „gaz!”, pojął, co się dzieje. Zdarzało mu się widzieć w kniei pieczary lub rozpadliny z trującymi gazami. Rozumiał, że pozostać tu dłużej — znaczy zginąć, natomiast uciec, zanim trucizna odbierze resztę sił — znaczy ocaleć.

Trzymając z dwóch stron Minnetaki pod pachy, wlekli ją ku wyjściu. Wabi śpieszył za nimi. Jedyne Batysi tkwił nadal na tym samym miejscu. Strach czy może durzący wpływ gazu odebrały mu możliwość ruchu. Wabi obejrzał się i krzyknął:

— Batisi! Batisi, to gaz, uciekaj!

Chłopak ani drgnął. Wtenczas Wabi zawrócił, podbiegł ku nieruchomej postaci, chwycił ją wpół i począł wlec za sobą. Na przedzie widział Roda i Mukiego, niosących Minnetaki zupełnie już bezwładną. Sam czuł, że mu się w głowie mąci. W skroniach rósł łupiący ból. Migotliwe światło

poходni wywoływało w źrenicach ślepiące błyski, po których nastawał okres zupełnej ciemności. Nogi ciążyły, lgnęły do ziemi, jakby zamiast po twardej podłodze kamiennej stapał po grząskiej glinie. W piersi brakło tchu. Zatrzymał się chwilę dla wypoczynku i wnet zatoczył tak silnie, że omal nie upadł. Dobywając resztek sił, ruszył znów naprzód z zaciśniętymi zębami. Nic już nie widział. Kołował idąc. Pamiętał, że chcąc do korytarza dotrzeć, należy iść w górę, tymczasem on wyraźnie zstępował w dół. Potknął się, upadł. Padając zgubił pochodnię. Macając po omacku, szukał jej po ziemi, a drugą ręką trzymał wciąż bezwładne ciało Batisiego. Dłonią natrafił na tłący koniec żagwi. Wrzasnął z bólu i oprzytomniał.

Teraz dopiero usłyszał, że ktoś go woła. Ukląkł. Otworzył oczy. Na przedzie zobaczył światło dwu pochodni, obramione czarną wnęką. Doleciał doń zdławiony głos Roda:

— Wabi, trzymaj się! Idę ci na pomoc! Wabi...

Głos ten dodał mu energii. Wstać co prawda nie mógł, lecz klęcząc zaczął się czołgać. Pochodni już nie podniósł, ale Batisiego wlokł za sobą, choć wiedział, że sam uratowałby się na pewno, gdy tymczasem we dwóch mogą zginąć. Ale Batisi . widać ożył również, gdyż drgnął, zabełkotał coś i począł także pełzać na czworakach.

Światło pochodni było coraz bliższe. Z wnęki skalnej wypadł Rod,, chwycił Wabiego pod ramię i tak jeden drugiego wlokąc, wydostali się z jaskini do korytarza.

Tu powietrze było czystsze. Wabi upadł twarzą do ziemi i oddychał głęboko. Tak był wyczerpany, że za nic by nie wstał, gdyby nie to, że Rod, trzęsąc go za bary, począł błagać:

— Wabi, wstawaj! Gaz zaraz i tu dojdzie! Wabi! Podniósł się więc z trudem i usiadł. Pochodnia, którą Rod stojąc trzymał w ręku, dawała więcej dymu niż ognia. Ledwo tłała; gasła wyraźnie. Wabi dostrzegł jednak opodal Batisiego, niezdarnie gramolącego się na nogi. Nikogo więcej nie było. Spytał:

— Gdzie Minnetaki?

— Muki ją poniósł. Prędzej, Wabi, prędzej! Podparł przyjaciela i ciągnął naprzód.

— Bitisi! — zawołał Wabigoon. — Rod, jemu pomóż, ja pójdę sam!

Rodryg zawrócił posłusznie, gdy tymczasem Wabi, czepiając się ścian, brnął przed siebie. Na razie każdy krok był męką niewysłowioną. Nogi trzęsły się i ugiwały, głowa trzeszczała z bólu. Ciężki młot walił miarowo w nasadę czaszki. Lecz z wolna mózg jaśniał, siły wracały. Po pewnym czasie Wabi stanął i rozejrzał się.

— Rod! — zawołał.

— Idę! — odkrzyknął Rod. — Idziemy! — poprawił.

Jego pochodnia ledwo tłała, lecz na przedzie zamigotał jaśniejszy płomień pochodni Mukiego. Minnetaki siedziała pod ścianą, łamiąc ręce; Mukoki tkwił obok niezdecydowany.

— Jesteś! — rzuciła się Minnetaki do brata. — Och, Wabi, myślałam, żeście zginęli! A gdzie Rod?! — krzyknęła naraz strasznym głosem. — Gdzie Batisi?!

— Idą — uspokoił ją Wabi. — Nadchodzą już.

Ci dwaj wynurzyli się właśnie z korytarza. Batisi szedł już o własnych siłach. Minnetaki podbiegła do Roda, zarzucając mu ręce na szyję.

— Rod! Rod! Tak się o ciebie bałam! — wołała z płaczem niemal. — Drogi, kochany, czy nic ci nie jest?! Naprawdę nic?

A Rodryg, blady, pokrwawiony od uderzeń o ostre krawędzie skał, uśmiechnął się, jak się uśmiecha człowiek zamknięty w ciemnicy do słonecznego promienia.

— Minni! — zdołał tylko wyjąkać. Wabi szarpnął go za ramię.

— Rod! Pochodnie gasną! Białe chłopak oprzytomniał.

— Minni, musimy iść dalej, czy potrafisz?

— Tak! — spojrzała na niego odważnie. — Tylko daj mi rękę.

— Idź pierwszy, Muki! — skomenderował Wabi.

Ruszyli śpiesznie w milczeniu zupełnym. Trwoga, nie rozumowa nawet, lecz czysto instynktowna, podcinała ich niby biczem. Im dalej od pieczary i nietoperzy, im bliżej wodospadu, tym silniejszy niepokój targał sercem Roda. Jakby go ktoś z tyłu gonił ktoś niewidzialny a straszny jak upiór. Byłby biegł, gdyby siły Minnetaki na to pozwalały lub gdyby ją potrafił unieść w ramionach. Przysięgnąłby, że groza gorsza niżli gaz trujący depcze im po piętach. Droga dłużyła się niewysłownie. Powitał jeziorko westchnieniem ulgi. Po raz pierwszy przemówił:

— Już blisko!

— Wypocznijmy tu trochę! — prosiła Minnetaki. — Jestem okropnie zmęczona.

— Nie! Nie! — zaprotestował Rod z przerażeniem. — Och, Minni — błagał gorąco w chwilę potem — jeszcze kawaleczek!! Jeszcze trochę! Odpocznijmy na zewnątrz!

Posłusznie szła dalej. Minęli czarną wodę, na której jedyna, niesiona przez Mukiego, pochodnia nakreśliła w przejściu parę szkarłatnych arabesków. Chodnik piał się pod górę. Minnetaki stanęła.

— Nie mogę — rzekła z żalnym uśmiechem. — Doprawdy nie mogę! Tak mi słabo, że zaraz upadnę. Nie gniewaj się, Rod, wypocznę minutę i pójdę dalej...

Nadchodzący z tyłu Mukoki, Wabi i Batisi zatrzymali się również. Rodryg spojrzał na nich z rozpaczą.

— Idźmy! — błagał. — Ja...

Nie skończył. Gdzieś w dali, w samym jądrze jaskini rozległ się straszliwy huk, łoskot potworny jak salwa armatnia. Ziemia zatrzęsa się pod stopami. Prąd powietrza na kształt huraganu uderzył w gromadkę ludzi, roztrącił ją i zgasił pochodnię, pogrążając wszystko w zupełnej ciemności. Zaraz za pierwszym trzaskiem Rod, po omacku wyciągnawszy rękę, schwycił dłoń Minnetaki, po czym, nie troszcząc się już o innych, pędem skoczył z nią ku wyjściu. Ciągnął dziewczynę, włókł, dźwigał wreszcie, krzycząc jakieś słowa wskazówek czy otuchy, ginące zresztą w ogólnym zgiełku. Za nimi, trzeszcząc, kruszył się strop chodnika, dudniły spadające głązy, kurz i pył tamowały dech. Rod nie widział nic; ręce mu krwawiły; krew ciekła po czole, zalewała oczy. Nagle potknął się, runął w dół, a jednocześnie chłodne bryzgi zalały mu twarz. Oprzytomniał. Uczuł, że tonie. Wyprężył się. Nogami sięgnął dna. Wlokąc za sobą bezwładne ciało, Minnetaki, dał parę kroków po ramiona w wodzie, zawadził o coś nogami i upadł.

Strach i ból nie dały mu zemdlec. Zerwał się i obejrzał. Stał na brzegu rzeki tuż poniżej wodospadu. Minnetaki leżała obok. Od obozu, krzycząc, nadbiegała Mballa.

Wtenczas Rod puścił Minnetaki, której suknię dotychczas gniótł w rękę. Spojrzał na wodospad. Zasłona wodna kryła po dawnemu wyjście jaskini. Z odmetu wyskoczyli raptem Mukoki, Wabi i Batisi, pokrwawieni, osmoleni, straszni. Mukoki stanął na sekundę, zaczerpnął w płuca powietrza, krzyknął coś niezrozumiale, po czym pochylił się, chwycił Minnetaki na rękę i zataczając się, pobiegł z nią w kierunku obozu.

— Uciekajcie! — wrzeszczał Wabi. — Tam pożar!

Gramolił się na brzeg, mając Batisiego o krok przed sobą. Rod chciał już odbiec w głąb lądu, już się z miejsca porywał, gdy nagle odjął mu nogi przeraźliwy, stokroć od poprzednich gorszy huk. Szalony wstrząs targnął ziemią. Wodospad pękł na dwoje. Fontanna dymu i ognia wyrosła ze skał, niby świerk niebotyczny, skąpany w zachodzącym słońcu. Potem trysnął słup wody, wyższy jeszcze, zielonkawomodry, jak ośnieżony chojar. Gejzer czarnożłoty i gejzer siny złączyły się ze sobą, zlały, splotły z trzaskiem ogłuszającym. Strzelił obłok pary na kształt chmur gradowych. Aż z głuchym

stęknieniem rozwarła się ziemia, pochłaniając od razu wszystko.

Próg skalny znikł. Znikła wstęga wodospadu. Została głęboka wyrwa, na kształt studni, wypełniona wnet spienioną wrzącą wodą. Poniżej zbałwaniony nurt rzeczny, który wezbrał jak po roztopach, włókł szczątki głazów i dwa ciała ludzkie.

Wabi i Batisi! Rod, ogłuszony, półprzytomnie dźwigając się na nogi, zobaczył dramat, lecz przeszkodzić mu nie zdołał. Żaden wszakże szczegół nie uszedł jego wzroku. Widział więc, jak silny bałwan, uderzywszy Wabiego jak taranem, przewraca go i porywa, jak Batisi rzuca się na pomoc tonącemu i jak obaj razem, ciskani, objani o głazy, giną w rozszalałym odmiecie.

Rod próbował wstać i skoczyć za przyjacielem w wodę. Choć zginąć wspólnie, jeśli się go uratować nie da! Osłabłe kolana jednak odmówiły posłuszeństwa. Zaczął się wtenczas czołgać na czworakach. Nagle minął go ktoś cwałem, zziajany, dyszący. Mukoki? Nie, Snow!

Pies dopadł rzeki i z rozpędu buchnął w wodę. Znalazł się od razu na głównym nurcie. Wir porwał go, zakręcił nim, uderzył o głaz. Nie dał jednak za wygraną. Prychając, sapiąc, płynął za dwoma ciałami wleczonymi prądem, ciasno szepionymi w jedno.

Zanim Rodryg zdołał wstać, ludzie i pies zginęli mu z oczu. Począł więc biec brzegiem, wołając coś chrapliwie i beładnie. Potknąwszy się o kamień, upadł, ale zerwał się znów i gnał jak szalony, krzyżąc. Osłabłe nogi niosły go niepewnie. Upadł ponownie. Wpierając pięści w ziemię, podnosił się z trudem, lecz to, co ujrzał, momentalnie dodało mu sił.

O kilka kroków Snow wyłaził z wody na ląd. Czynił to tyłem, niby rak. Szeroko rozstawiwszy tylne łapy, prężąc przednie, cofał się krok za krokiem i z trudem wywlekał coś na suszę. Łeb miał znizony; w potężnych szczękach trzymał ciemną szmatę: strzęp odzieży ludzkiej.

Rod przyskoczył do psa. Do połowy wywleczone na kamienie przybrzeżne, do połowy tonące w wodzie, ujrzał dwie postacie: Wabigoona i Batisiego. Snow trzymał w zębach kurtę swego pana; Batisi kurczowo obejmował Wabiego.

Rodryg wszedł w wodę po kostki, ujął przyjaciela wpół i wyciągnął go z rzeki. Wabi oczy miał zamknięte, twarz szarą i pokrwawioną. Sprawiał wrażenie trupa. Rodryg do tego stopnia stracił głowę, że zamiast cucić zemdlonego, padł przy nim na kolana i począł jęczeć przeraźliwie:

— Wabi! Wabi...!

Łzy ciekły mu po twarzy. Łamał ręce.. Wtem Wabigoon drgnął. Zatrzepotał powiekami, otworzył oczy i spojrzał na Rodryga.

— Rod, uspokój się, ja żyję! — szepnął. — Nic mi nie jest! Ale ratuj ją...

Rod doznał takiego przyływu szczęścia, że począł się śmiać przez łzy. Uniósł przyjaciela do pozycji siedzącej i zapewniał wesoło:

— Minnetaki zdrowa. Mukoki ją ocalił. Patrz, właśnie idą... Od obozu nadbiegał Mukoki, za nim Minnetaki i Mballa.

Wyprzedzając ludzi, mimo drewnianej nogi, leciał Wolf. Lecz Wabi ledwo spojrzał na siostrę. Nerwowo obracając głowę rzekł:

— Ja nie o Minni pytałem! Gdzie Batisi? Ratujcie Batisiego! Snow wyciągnął już pana swego na suszę. Wabi wstał z trudem, zbliżył się i ukląkł nad ciałem bezwładnym.

— Żyje! — szepnął po chwili z ogromną ulgą.

— Trzeba się nim zająć! Opatrzeć go! — wtrącił Rod.

— Zanieśmy go do obozu— rzekł Wabi miękko — a tam już Minnetaki i Mballa się tym zajmą.

Rod zdziwił się szczerze.

— Dlaczego właśnie one?

— Bo to przecie dziewczyna! — objaśnił Wabi, uśmiechając się rzewnie.

DOLORES

Minnetaki nie mogła się uspokoić. Gdy całą gromadą wracali do obozu — przy czym Mukoki, jako najsilniejszy, dźwigał w ramionach bezwładne ciało tej, którą przywykli nazywać Batisim — Minnetaki usta się nie zamykały. Stanowczo mniej ją wzruszało wspomnienie katastrofy, w której omal wszyscy nie postradali życia, niż zagadkowa tajemnica nieznanego.

— Więc to dziewczyna? — powtarzała w kółko. — Więc to nie mężczyzna, ale kobieta? Skąd się o tym dowiedziałaś, Wabi? W jaki sposób?

— Pierwszy domyślił się Mukoki — odpowiedział Wabigoon — i podzielił się swym spostrzeżeniem z Mballą. Ja odgadłem prawdę tego wieczora, kiedy to znalazłem kwiaty nad wodą.

Wtenczas właśnie, siedząc przy ognisku, Nadini spojrzała na mnie tak błagalnie, jak tylko potrafi kobieta. Sądziła, że znam już jej tajemnicę, i bała się, że ją innym zdradzę. Tymczasem zdradziła się sama tym spojrzeniem...

— Nadini?!

— Tak jej na imię.

— Czy i tego sam się domyśliłeś? — złośliwie spytał Rod. Wabi spłoszył.

— Nie. Ona mi powiedziała. Nie pytałem zresztą o nic więcej, tylko o jej imię.

— Nic zatem więcej nie wiesz?

— Nic a nic!

Dochodzili już do obozu. Mukoki znikł w namiocie; za nim wsunęły się Minnetaki i Mballa. Po chwili stary Indianin wynurzył się sam i zaraz wziął się do opatrywania Wabiego. Wabi był silnie podrapany i posiniaczony, ale większego szwanku nie poniósł. Po umyciu twarzy i rąk oraz zmianie ubrania przybrał znów wygląd normalny. Nie mógł się tylko doczekać wieści o Nadini. Coraz się koło namiotu kręcił. Nie wytrzymał wreszcie i zawołał półgłosem:

— Minni, jakże tam?

Zamiast Minnetaki wyjrzała Mballa. Twarz uśmiechnięta świadczyła wymowniej od słów, że żadna tragedia nie grozi.

— Tss... — szepnęła kładąc palec na ustach. — Już się obudziła, biedactwo. Ale taka jeszcze słaba...

Cofnęła się w głąb namiotu. Wabi, słuchający z naprężeniem, roześmiał się zmieszany.

— Wielkie dziwo, że mnie jej los obchodzi — rzekł unikając wzroku Rada. — Szczerze mówiąc, zawdzięczam jej życie, tak jak oboje zawdzięczamy życie psu!

Rozejrzał się szukając bernardyna i nagle parsknawszy śmiechem chwycił Rodryga za rękaw.

— To doprawdy komedia! Patrz tylko!

Opodal leżał Snow, rozwalony, postępujący, a Wolf krzątał się wokół, kuśtykając na drewnianej łapie, i skrzętnie wylizywał krew zakrzepłą w długich kudłach przyjaciela.

— Nareszcie biedny Snow ma też swój dzień! — zauważył Rod śmiejąc się.

— Ale żeśmy w ogóle wszyscy uszli z życiem! — rzekł Wabi, wzdrygając się mimo woli na wspomnienie strasznych chwil. — Kiedy te nietoperze zaczęły spadać, myślałem, że zwariuję. Bo choć niby w upiory nie wierzę, przez chwilę skłonny byłem sądzić, że to, co Nadini mówiła o złym duchu, jest prawdą.

— A mnie właśnie nietoperze nasunęły myśl o gazach trujących — wtrącił Rod. — Słyszałeś

może, że istnieją zwierzęta specjalnie na gazy wrażliwe. Górnicy zabierają z sobą nieraz do kopalni białe myszki lub drobne ptaki w klatkach i przy pracy obserwują je często. Dopóki powietrze jest czyste zupełnie, stworzonka zachowują się normalnie, ale przy najmniejszej domieszce gazu tracą natychmiast przytomność. Otóż opowiadał mi pewien stary górnik, że i nietoperze mają tę właściwość.

— Skądże się tam wzięły gazy? I ten pożar potem! Ten wybuch!

— Tego ci już nie potrafię wyjaśnić dokładnie. Wiem, że są gazy ziemne, zupełnie bezwonne, ale trujące i o wielkiej sile wybuchowej. Pożar mogły wywołać iskry z naszych pochodni, no i nafta. Pamiętasz tłuste plamy na jeziorku podziemnym?

W tej chwili odchyliło się skrzydło namiotu i wyrzała zeń Mballa, ruchem ręki przyzywając chłopców. Wabi skoczył jak jeleń. Rodryg pośpieszył za przyjacielem.

— Co się stało? Gorzej z nią? — pytał Wabi, zaniepokojony okropnie.

— Nie. Czuje się już dobrze. Wstała i chce odejść.

— Odejść? Dokąd?!

— Zupełnie. Mówi, że nie może tu zostać.

— Dlaczego? Nic nie rozumiem!.

— Nie chce wyjaśnić. Pytaj zresztą sam.

Z wnętrza dochodziły podniecone głosy; jeden silniejszy, Minnetaki, i drugi słabszy. Wreszcie ukazała się siostra Wabiego, a tuż za nią Nadini. Dziewczyna nosiła suknię Minnetaki, gdyż jej własna odzież zbyt ucierpiała w przeprawie i pozostały z niej tylko strzępy. Włosy przedzielone pośrodku głowy, przyczesane gładziutko, opadały na piersi jako dwa grube warkocze. Była blada, zmieszana i taka śliczna, że nawet Rod spojrział na nią z uznaniem.

Wabi zastąpił jej drogę.

— Dlaczego chcesz odejść? — spytał miękko.

Starannie unikając jego wzroku, bezradnie rozłożyła ręce.

— Muszę.

— Czeką cię kto? Teraz spojrzę na niego.

— Nikt! — szepnęła głucho.

— Więc czemu? Po co? Zostań z nami. Pokochaliśmy cię wszyscy. Zabierzemy cię z sobą...

Załamano ręce.

— Nie mogę! Nie mogę! — odparła z rozpaczą. — Och, gdybym mogła...

Minnetaki, Mballa, Rod i Mukoki słuchali w najwyższym napięciu. Nikt się wszakże do rozmowy nie wtrącał, jak gdyby rozumieli wszyscy, iż rozwikłanie dramatycznej tajemnicy należy zostawić wyłącznie tym dwojgu.

— Dlaczego nie możesz? — serdecznie pytał Wabi. Ujął dłoń dziewczyny i mocno trzymał w swojej. — Powiedz, dlaczego? Wiesz, jak ci jesteśmy życzliwi. Postaramy się pomóc...

— Tu nikt mi nie pomoże — trzęsła głową Nadini. — Nikt! Nikt!

— Powiedz jednak. Wiesz, że pytam nie przez ciekawość...

— Wiem — spojrzęła mu w oczy z gorącym oddaniem. — Dobrze, powiem, ale wtenczas sami każecie mi odejść!

Milcząc dała się podprowadzić do ogniska i dopiero gdy usiedli wszyscy, zaczęła mówić:

— Jestem córką wodza. Matka odumarła mnie w kołysce, nawet twarzy jej nie pamiętam. Wkrótce potem ojca łoś zabił na łowach. Wychowywali mnie brat i pewien misjonarz, którego my, Indianie, zwaliśmy Przyjacielem Całego Świata. Taki był dobry. Dojeżdżał do nas aż z Zatoki Hudsona, nauczał, chrzczył, udzielał ślubów i wracał znów do miasta. Lecz raz choroba powaliła go

na łożę, a choć wyzdrowiał później, ciało miał prawie bezwładne. Nie mógł się ważyć na tak długą podróż sam jeden, a nikt mu nie chciał towarzyszyć. Został więc z nami. Zamieszkiwał małą chatkę na skraju wsi, otoczony czeredą zwierząt. Miał psa, olbrzymią sukę, białą W żółte łaty. Mówił, że pochodzi z za morza, z wielkiej góry, zwanej imieniem świętego, którą zamieszkują zakonnicy niosący pomoc zbłąkanym podróżnym.

— Góra świętego Bernarda — wtrąciła Minnetaki.

— Tak, tak, właśnie z góry świętego Bernarda — pochwyciła Nadini i przelotny uśmiech okraszył jej stroskaną twarzyczkę.

— Nazywała się Neige, co podobno w obcym języku, języku Ojca Antoniego, znaczy śnieg. Pewnej zimy Neige zginęła w lesie. Wróciła wiosną i wkrótce wydała na świat dwoje szczeniąt. Jedno — to Snow. Drugie zwało się Wild i wyglądało zupełnie jak dziki, leśny wilk. Wild zginął później w walce z niedźwiedziem.

— To dlatego Snow tak łatwo zaprzyjaźnił się z Wolfem — zauważył Mukoki.

— Właśnie. Sądził pewno, że odnalazł zaginionego brata. Oprócz psa Ojciec Antoni miał różne zwierzęta, między innymi tę sowę śnieżną, starego Wooto, którego widzieliście u mnie w jaskini. Gdy Ojciec Antoni umarł...

Głos jej drgnął. Przygryzła wargi aż do krwi. Mimo to, gdy znów zaczęła mówić, słowa wybiegały jej z ust roztrzęsione i żałosne.

— Tak dobrze ten dzień pamiętam, choć to już było przed laty. Przyszłam jak zwykle rano, a on leżał na tapczanie biały jak śnieg. Nie powitał mnie, więc się zlekłam, myśląc, że nie żyje. Krzyknęłam. Wtenczas leciutko poruszył głową i uśmiechnął się pogodnie samymi tylko oczami. Nie mógł mówić. W jednej ręce trzymał krzyż, taki małe krzyżyk z dwóch związanych trawą gałązek jodłowych; w drugiej — skórzany woreczek. Kiedy uklękłam obok, patrzył wciąż to na ten woreczek, to na mnie. Wyjęłam mu go z ręki. Wtenczas uśmiechnął się znowu, patrząc na swój krzyżyk. I tak skonał, uśmiechnięty...

— A. ten woreczek? — spytała Minnetaki nerwowo i natrętnie. — Czy wiesz, co w nim było?

— Nie — Nadini ruszyła głową przecząco. — Był zamknięty, zaszyty na głucho. Jakże miałam go otwierać? To może talizman? Wiem, że Ojciec Antoni chciał, bym nie rozstawała się z nim nigdy, więc od tego dnia noszę go stale na piersi.

Wszystkie oczy zwrócone były ku Nadini; nikt nie obserwował Minnetaki, nie zauważono zatem, iż siostra Wabiego jest tak czerwona, jakby jej krew miała trysnąć z policzków.

— Co było dalej? — pytał Wabi.

— Dalej... zostałam sama. Nie, nie sama; był jeszcze brat, o wiele ode mnie starszy, ponury, groźny, ale zawsze brat. — Umilkła i siedziała chwilę cicho, ze ściągniętymi brwiami. — Nie wiem, czy go kochałam; myślałam nieraz, że jest mi zupełnie obcy, a jednak gdy zginął...

— Więc zginął — przerwał Wabi.

— Tak! — zawołała Nadini, podnosząc głos niespodzianie. — Zginął! Zamordowano go! Zamordował go on!

Ostatnie słowa wrzasnęła, zrywając się jednocześnie z ziemi. Wyciągniętą ręką wskazała Roda. Porwali się wszyscy. Nadini, wykrzywiona, półprzytomna, krzyczała:

— On! On! Wasz przyjaciel! On jest mordercą. Jakże mogę z wami zostać! Jakże mogę jeść wasz chleb, siedzieć z wami przy jednym ogniu? Och...!

Zatoczyła się i byłaby upadła, gdyby jej Wabi ramieniem nie, podparł. Rodryg, blady okropnie, rzekł głucho:

— To nieprawda! Zabiłem w życiu jednego tylko człowieka — Woongę. Przysięgam, poza tym

jednym nikogo nie mam na sumieniu!

— Ja jestem siostrą Woongi! — krzyknęła Nadini.

Po tych słowach zapadła cisza tak zupełna, że słyhać było tylko ciężkie oddechy obecnych, trzask płomieni ogniska i odległy bełkot rzeki. Rod spuścił głowę i wymówił z widocznym trudem:

— Nie chciałem go zabić. Dałbym wiele, żeby się to nie stało. Musiałem. Bronilem własnego życia i czci Minnetaki. Co miałem robić?

— A co ja mam robić?! — zawołała Nadini. Wyrwała się z ramion Wabiego i wyciągnęła ręce, jakby błagała o pomoc. — Co mam robić teraz? Gdy was spotkałam, szukałam właśnie zabójcy brata, by na nim wyrzucić zemstę. Znalazłam go, sam przyszedł, ale wraz z nim przyszedłeś ty! — patrzyła w twarz

Wabiego oczyma pełnymi łez. — Gdy was później trapiłam w puszczy, nie wiem, co mnie gnało: miłość czy nienawiść. Ileż razy chciałam poniechać zemsty i odejść. Nie mogłam i nie wiem, kto mnie na uwięzi trzymał; on — wskazała Roda — czy ty — zawisła znów oczami na twarzy Wabiego. — Dziś rano jeszcze zamierzałam pchnąć go nożem. Zabrakło mi sił! Jest przecie twoim druhem. Myślałam potem, że zginiemy razem w jaskini, że się męka skończy, ale gdy śmierć zbliżyła się do nas, zrozumiałam, że zniosę wszystko, byleś ty żył. Ja... odejdę...

Nagle odwróciła się i zaczęła biec ku rzece, kędy zamiast wodospadu czyhały teraz głębia i wir. Chłopcy, oszołomieni, nie zdołali jej przeszkodzić. Tylko Minnetaki oprzytomniała w porę. Zabięła drogę dziewczynie i jęła się z nią szarpać.

— Puść! Puść! — błagała tamta. — Chcę umrzeć!

W tej chwili dopadł Wabi i chwycił Nadini w pól. A Minnetaki krzyczała głośno:

— To nieprawda! To nieprawda! Ty nie jesteś siostrą Woongi!

— Skąd wiesz? — rzucił się do niej Rod.

Minnetaki poczerwieniała, lecz wnet wyznała szczerze, hardo podnosząc głowę:

— W skórzanej torebce Nadini jest papier. Tam napisane... Nadini kurczowo przycisnęła ręce do piersi.

— Och, masz ją na szyi! — Minnetaki śmiała się zmieszana, a twarz jej zlewał rumieniec coraz ciemniejszy. — Gdy rozbierałyśmy ciebie, Mballa i ja, spostrzegłam, że torebka jest rozdarta i zawiera skrawek pergaminu; wyczytałam wówczas to jedno zdanie: „Nadini nie jest córką wodza Woongów”.

— To... niemożliwe! — szepnęła Nadini głucho.

— Pokaż ten papier! — brutalnie niemal rozkazał Wabi. Posłusznie wyjęła swój talizman z zanadrza. Był to skrawek skóry, wyprawiony miękko, zeszyty ścięgnem jelenim w formę koperty. Szwy puszczały tu i ówdzie. Wabi rozciął je nożem do reszty, odrzucił futerał i rozłożył kartę pergaminu wypełnioną drżącym pismem. Wzrokiem przebiegł arkusz i zbladł.

— Co ci jest — trwożnie spytała Minnetaki.

Lecz Wabigoon na nią nie zważał. Spojrzał na Nadini, potem na Roda i rzekł głosem tak wzruszonym, że ledwo rozróżnili słowa.

— Nadini! Rodryg nie zabił ci nikogo! Rodryg uratował ci ojca!

— Wabi, zwariowałeś! — zaczęła Minnetaki prawie z płaczem. — Wabi, co ci jest? Oprzytomnij!

A Wabi zaczął się śmiać pogodnie, radośnie, jak człowiek oszołomiony szczęściem.

— Nie, nie zwariowałem, tylko to jest tak cudowne jak w bajce, jak w najpiękniejszej z bajek! Słuchajcie, co Ojciec Antoni napisał na tym pergaminie...

W grobowej ciszy zaczął czytać:

Nadini nie jesteś córką wodza Woongów ani siostrą młodego Woongi. W roku 1890, w Złotej Jaskini, do której wejście zamyka wodospad, stary Woonga znalazł młodą Indiankę imieniem Dolores, zemdloną i chorą. Wiedziony litością zabrał ją do swej wsi. Po upływie pół roku kobieta ta umarła, wydając na świat dziecko, córeczkę, którą na cześć matki ochrzciłem również imieniem Dolores. Stary Woonga zatrzymał dziewczynkę u siebie, zowiąc ją z indiańska Nadini. Łudziłem się myślą, że dane mi będzie kiedyś zawieść ją do cywilizowanego kraju, lecz śmierć starego Woongi oraz moja własna niemoc stanęły temu na przeszkodzie. Nowy wódz, młody Woonga, nie pozwoliłby zabrać Dolores, gdyby się zaś kiedykolwiek dowiedział, że dziewczyna jego siostrą nie jest — zatrzymałby ją tym bardziej. W obawie, by Dolores nie spotkało co złego, ani jej, ani nikomu nie wyjawiam na razie prawdy. Wyznam jej wszystko przed śmiercią, a spisuję te zeznania na wszelki wypadek, bo może mi Bóg niespodziani e odjąć mowę. Paraliż czyni postępy z każdym dniem. Nogi mam już bezwładne. Ręka odmawia posłuszeństwa. Ale umysł mam jasny, więc stwierdzam raz jeszcze, że Nadini, wychowanka wodza Woongów, jest córką Indianki Dolores i białego poszukiwacza złota, imieniem John Ball.

— John Ball?! — szepnął Rod, jakby mu tchu brakło.

— John Ball! — triumfalnie krzyknął Wabi. — John Ball, którego ty, Rod, znalazłeś w Złotej Jaskini i ocaliłeś od śmierci! John Ball, którego żona Dolores zginęła w tym miejscu przed dziewiętnastu laty! John Ball, który czeka na nas w Wabinosh House.

— To nie może być! — wyjąkała Nadini, wodząc po obecnych szeroko rozwartymi oczyma. — To niemożliwe!

— To prawda! To szczerą prawdą! — wołał Wabi śmiejąc się. — Nadini, zostaniesz z nami! Wrócisz z nami do swego ojca!

Usta Nadini drżały. Broda trzęsła się. Naraz z głośnym płaczem rzuciła się na szyję Minnetaki.

Tegoż dnia o zmierzchu Rod i Minnetaki przechadzali się nad rzeką. Księżyc wstawał. Woda migotała srebrzyście jak łuska rybia. Minnetaki rzekła pierwsza:

— A nasze złoto przepadło...

— Żałujesz tego? — z pewnym niepokojem spytał Rod. Spojrzała na niego poważnie.

— Nic a nic. Lecz co dziwniejsze, nie żałuję także wcale, że przygody nasze skończone. Dolores chce co prędzej wracać do ojca. Sądzę zresztą, że John Ball zyska za jednym zamachem córkę i zięcia. Niedługo wyprawimy wesele w Wabinosh House.

— Czyje wesele, Minni?

Ujął ją za rękę. Nie bronila mu tego uścisku. Unikając jednak natarczywego wzroku Roda, trzepała dalej:

— Czyjeż by? Dolores i Wabiego. Ale, wiesz, jak to nieraz od drobiazgu zależą rzeczy ważne. Dolores twierdzi, że gdyby jej sowa, Wooto, nie zdechła w dniu naszego poznania, nigdy nie porzuciłaby jaskini, nie chcąc skazywać ptaka na śmierć głodową, a nie mogąc go przecie zabrać z sobą. Biedny Wooto, był taki. śliczny!

Umilkła na chwilę i raptem poczęła się śmiać cichutko.

— A teraz to mi się znów przypomniało, jak Dolores zgubiła nad jeziorkiem kwiaty, które Wabi potem znalazł. Dolores, tak bardzo podobna do chłopca... a jednak pokochawszy, chciała się choć w kaczeńce ustroić i chociaż w wodzie przejrzeć, by zobaczyć, czy jest dość ładna dla umiłowanego...

Mijali rosnący nad rzeką krzak głogu. Minnetaki wolną ręką urwała pąk na pół rozkwitły i wpięła go w warkocz przy uchu.

Lecz nagle krzyknęła lekko, tak gwałtownie Rodryg porwał ją w ramiona. Chłopak jednak nie puszczał. Gorącym szeptem, tuż u jej twarzy, mówił:

— Minni! I mnie już przygody nie nęca, i ja nie żałuję straconego złota. A wiesz dlaczego? Bo mam ciebie. Bo cię kocham. Bo chcę mieć dom, nasz wspólny, i pracować dla ciebie, i cieszyć się z tobą, i smucić, gdy będziesz smutna, i wierzyć, że znów będzie dobrze. Minni, wiesz co, myślę, że cała nasza wyprawa była po to tylko, bym ci mógł teraz powiedzieć — kocham!

— I ja kocham ciebie, Rod! — szepnęła Minnetaki jak echo.

Przygotowano na podstawie bookini.pl